



**ZBIGNIEW KAMIŃSKI
ANDRZEJ OBECNY**

POŁĄCZYŁA ICH SZKOŁA WE WRZEŚCIU

1945-2015

CZĘŚĆ PIERWSZA



h

**SŁUPSK 2016
SŁUPSKA BIBLIOTEKA
MOJEGO MIASTA**

TOM IV

Zbigniew Kamiński
Andrzej Obecny

**POŁĄCZYŁA ICH SZKOŁA
WE WRZEŚCIU.
1945-2015**

Część pierwsza

SŁUPSK 2016

Słupska Biblioteka
Mojego Miasta
TOM IV

Wydawnictwo z serii:
Słupska Biblioteka „Mojego Miasta”
TOM IV

Wydawca:
Agencja Reklamowo-Wydawnicza „Moje Miasto”

Autorzy:
Zbigniew Kamiński, Andrzej Obecny

Projekt okładki i skanowanie zdjęć:
Zbigniew Kamiński, Andrzej Obecny

Redakcja:
Andrzej Obecny

Korekta:

Jolanta Kamińska, Zbigniew Kamiński

Zdjęcia:
Andrzej Obecny, archiwum SP we Wrześciu, archiwa rodzinne, internet
Copyright © Agencja Reklamowo-Wydawnicza „Moje Miasto”
2017-05-01

Wydanie 1
Część pierwsza

ISBN
978-83-944354-2-4

Druk publikacji:
TOTEM.COM.PL

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA	5
WSTĘP	7
OD WYDAWCY	13
FREIST	19
Historia Niemki, która została Polką	25
WRZEŚCIE - PIERWSZE LATA POLSKOŚCI	41
Byliśmy Tutaj już w 1945 roku- <i>Genowefa Sopata...</i>	63
Z ziemi węgierskiej do Wrześcia - <i>Stefan Nagy...</i>	68
PATRON SZKOŁY - GEN. STEFAN ROWECKI „GROT” ...	79
HISTORIA SZKOŁY W SZEŚCIU ODSŁONACH	95
Czasy pionierskie 1945-1960	96
Jak zmieniała się szkoła	108
Działalność pozalekcyjna w latach 1945-1990...	121
Tworzenie tradycji szkoły	131
Wychowanie przez sport	156
Nauka i wychowanie	158
KALENDARIUM	163
WSPOMNIENIA STANISŁAWA BEDNARSKIEGO	173
Przed wrześniem	175
W wojnie obronnej 1939	185
Niewola	201
Ucieczka	207
W domu	225
Podporucznik „Drzazga”	233
We Wrześciu	255
WSPOMNIENIE CÓRKI O RODZICACH	257
O mamie	257
O tacie	262
WSPOMNIENIA WŁADYSŁAWA DYMKA	265
WSPOMNIENIA ZBIGNIEWA KAMIŃSKIEGO	279

WSPOMNIENIA NAUCZYCIELKI ALEKSANDRY JAKUBCZYK ..	291
WSPOMNIENIA UCZNIÓW	299
Pracowało mi się dobrze - <i>Julia Wolska</i>	299
Dawne lata wspominam bardzo dobrze	
- <i>Genowefa Sopata</i>	304
Musieliśmy zbierać chrust aby było nam ciepło	
- <i>Emilia Bielecka</i>	308
Przyjazd fotografa - <i>Czesław Cekała</i>	310
Uczyła mnie moja mama - <i>Elżbieta Owczarek</i>	313
Panny się zbuntowały - <i>Lucyna Ziatyk</i>	316
Dobrze pamiętam szkolne lata - <i>Dariusz Bielecki ...</i>	321
Lubiłam czyny społeczne - <i>Mariola Bielecka</i>	326
Czuję do szkoły sentyment - <i>Monika Kowalczyk..</i>	328
Byłem szczęściarzem - <i>Andrzej Wolski</i>	332
Pamiętam wprowadzenie stanu wojennego	
- <i>Marek Winiarczyk</i>	335
Powróciłam do mojej szkoły - <i>Izabela Lemańska...</i>	339
Moje wspomnienia - <i>Daria Sawka</i>	342
70-LECIE SZKOŁY	347
WYKAZY IMIENNE	351
Dyrektorzy	352
Nauczyciele	352
Pracownicy administracyjni	356
Rada rodziców	359
Uczniowie	359
INDEKS OSÓB	377
BIBLIOGRAFIA	394
SŁUPSKA BIBLIOTEKA „MOJEGO MIASTA"	397

PRZEDMOWA

Z zainteresowaniem przyjąłam informację o inicjatywie spisania dziejów Szkoły Podstawowej we Wrześciu i wydania ich w formie książkowej. Jeszcze bardziej ucieszył mnie fakt, iż losy szkoły wplecione w niej mają być w losy miejscowości i jej mieszkańców. Jestem wdzięczna po-



Barbara Dykier.

mysłodawcom i wykonawcom projektu - panom Zbigniewowi **Kamińskiemu** i Andrzejowi **Obecnemu** - tym bardziej, że wychodzi on naprzeciw zamiarowi spisania historii wszystkich miejscowości w gminie Słupsk.

Na przykładzie szkoły we Wrześciu można zaobserwować jak przez lata zmieniała swój wygląd, ale także jak zmieniała się jej funkcja. Dziś to właściwie placówka szkolnoprzedшкоlna z rozwiniętym zapleczem terapeutycznym. Placówka, która dzięki specjalistycznym obiektom sportowym pozwala rozwijać się jej wychowankom również

pod względem fizycznym. Cieszę się, że dzięki właściwej polityce finansowej, prowadzonej od lat w naszej gminie, możemy sprostać nowym inicjatywom dyrekcji i nauczycieli szkoły, wychodzić naprzeciw potrzebom dzieci i uczniów. Nie przypadkiem zwracam uwagę na wygląd i zadania dzisiejszej szkoły.

Książka, opowieść, którą czytelnik dostaje do ręki, ma za zadanie pokazać, jak placówka się zmieniała, jakie były jej początki, jakie były warunki nauki i pracy w czasach, które dzisiejsi uczniowie nazywają zamierzchłymi. Mam nadzieję, że lektura tej publikacji wzbudzi refleksje młodych, często nastawionych roszczeniowo, chętniej mówiących o tym, czego jeszcze nie ma, a nie potrafiących się cieszyć z tego, co jest.

Z opowieści dawnych uczniów przebija głównie radość z bycia razem, możliwości wspólnej nauki, zabawy. Warunki materialne, bytowe są najczęściej pomijane. To z opowieści o tych właśnie „zamierzchłych” czasach wyłania się prawda, że najważniejszą rzeczą dla tamtych uczniów było koleżeństwo, uczciwość, ale też wspólna zabawa, psoty, które budowały przyjaźnie na długie lata. Liczę, że książka oddana do rąk czytelnikom, zwłaszcza młodym, będzie miała też walor wychowawczy. To bardzo ważna jej cecha.

Autorzy książki w wystarczający sposób pokazali rolę szkoły w tworzeniu społeczności lokalnej, więzi jej mieszkańców. Jest to ważne szczególnie dzisiaj w 2016 roku, gdy po latach oddajemy w użytkowanie nową, piękną świetlicę wiejską.

Czytelnicy z zaciekawieniem szukać będą na kartach monografii również opowieści o budowaniu tradycji patriotycznych. Jak się okazuje, budowanie tych tradycji w oparciu o etos Armii Krajowej, począwszy od postaci jej założyciela, przebija przez wszystkie lata istnienia szkoły, a najbardziej przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. Często powtarzam na spotkaniach, uroczystościach, że szkoła we Wrześciu uczy mieszkańców naszej gminy patriotyzmu.

Autorzy zapowiadają w tytule drugą część książki. Życzę panom wytrwałości w zbieraniu materiałów. W swym dziele możecie zawsze liczyć na przychylność władz gminy Słupsk, a mojej osobistej w szczególności.

Barbara Dykier

WSTĘP

Nigdy nie myślałem, że będę pisał książki. Owszem pisywałem wiersze, opowiadania, jak wielu w młodości, ale nigdy nie myślałem o publikowaniu tego. Jestem autorem kilku prac (magisterska, podyplomowe), wielu artykułów, które zmuszały mnie do dłuższych wypowiedzi pisemnych...

Ale książka?

Od 24 lat jestem dyrektorem szkoły, która w roku szkolnym 2015/2016 obchodziła jubileusz 70-lecia. To dużo zarówno dla szkoły, jak i dla mnie. To historia wielu ludzi: uczniów, rodziców, nauczycieli, pracowników i zwykłych mieszkańców Września.

W styczniu 2016 roku otrzymałem od pana Andrzeja **Obecnego** propozycję napisania kilku artykułów na temat historii i teraźniejszości szkoły. Był on właśnie po rozmowie z przyjacielem szkoły i moim Zdzisławem **Dróbką**. W charakterystyczny dla siebie sposób,



*Zbigniew Kamiński.
Fot. arch. rodzinne.*

obrazowo i z przekonaniem pan **Zdzisław** zachwalał szkołę we Wrześciu. Ponieważ byliśmy akurat w trakcie realizacji programu obchodów 70-lecia szkoły pomysł wydawał się „strzałem w dziesiątkę”. Troszkę zachwiała moje dobre samopoczucie druga propozycja, aby po tych artykułach powstała książka. Moje zastrzeżenia, oprócz trudów samego procesu twórczego, wzbudziła rozterka „kto to będzie czytał”? Od razu umówiliśmy się, że jeśli ma powstać publikacja książkowa to musi ona nieść znacznie więcej treści, które mogą zaciekać kogoś jeszcze, a nie tylko tych, którzy związani są ze szkołą.

Dlatego czytelnik w niniejszej publikacji otrzyma informacje o dziejach polskiego Wrześcia i niemieckiego Freist'u.

Zostały one podzielone na dwie części: do 1945 roku i czasy powojenne. Wiąże się to oczywiście z faktem, że do 1945 roku historia Wrześcia związana była z jej niemieckimi mieszkańcami, a po tej dacie głównie z Polakami przybyłymi z różnych rejonów naszego kraju w celu zasiedlenia tzw. Ziem Odzyskanych. Aż trudno uwierzyć, że ta mała miejscowość ma już kilkaset lat. Ileż to losów ludzkich. Ile wydarzeń, które odeszły w zapomnienie.

Książka zawiera wspomnienia ludzi związanych ze szkołą, z Wrześciem. Tylko tych kilkanaście umieszczonych w książce pokazuje, że warto jak najwięcej z nich zachować dla przyszłych pokoleń.

Zaprezentowane historie życia tylko trzech osób: młodej Niemki Gizeli **Däske**, Stanisława **Bednarskiego** - pioniera wrześciańskiej oświaty czy Stefana **Nagiego** pokazują, że świat, nawet ten lokalny, wioskowy, nie jest prosty, czarno-biały. Myślę, że choćby te, ale też i pozostałe ludzkie historie mogłyby służyć za kanwę niejednego interesującego filmu. Mogłyby nauczyć poprzez przykład, jak należy zachować się w życiu, a czego się wystrzegać.

Wspomniałem, że przed przystąpieniem dopisania targałymną obawę. Miałem wiele rozterek, co w książce powinno się znaleźć, lecz także z czego zrezygnować. Przypuszczam, że właśnie przez to, co nie zostało ujęte w książce, u niektórych czytelników może pojawić się uczucie niedosytu, ba rozczarowania. Wyobrażam sobie tych wszystkich

związanych z historią szkoły i Wrześcia, którzy na kilkuset stronach książki nie przeczytają o sobie. Albo przeczytają akurat nie to, co było dla nich najważniejsze. Z góry ich przepraszam, ale historia opisywana w tej publikacji nie jest zamknięta, będziemy ją pisać nadal...

Treść książki koncentruje się na dziejach szkoły, jej uczniów, nauczycieli i pracowników. Pisząc o ludziach skupiłem się na ich losach w momencie uczęszczania do szkoły bądź pracy w niej. Nie otrzyma więc czytelnik informacji o dalszych losach naszych absolwentów. Oczywiście, że wielu z nich osiągnęło w życiu bardzo wiele, zrobiło



W latach 2010–2013 dane mi było drugi raz w życiu pełnić obowiązki wychowawcy klasy. Tak się złożyło, byłyto same dziewczyny. W dolnym rzędzie siedzą od lewej: Klaudia Turska, Karolina Lemańska, Martyna Brandt, Justyna Zywert, Dagmara Misztal. W górnym rzędzie siedzą od lewej: Karolina Trela, Wiktoria Bąkowska, Zbigniew Kamiński, Wiktoria Furmanek, Magdalena Zielonka i Magdalena Skierka. Fot. arch. Z. Kamińskiego.



*Na zdjęciu: dzieci i uczniowie, rodzice, nauczyciele i pracownicy oraz przyjaciele Szkoły i Punktu Przedszkolnego.
10 września 2016 roku podczas otwarcia świetlicywiejskiej i obiektów sportowych we Wrześciu. Fot. Łukasz Cysewski.*

kariery naukowe, zajmuje wiele ważnych stanowisk. Pomyślałem jednak, jakie mam prawo wartościować ludzi? Bo kto jest bardziej wartościowy: dyrektor, prezes czy doktor, a może matka pięciorga dzieci, która ledwo wiążąc koniec z końcem wychowuje wspaniale swoje pociechy. A może ktoś, kto nie pełniąc żadnych stanowisk poświęcił swoje życie lokalnej społeczności. Dlatego właśnie o dalszych losach piszą sami absolwenci, oczywiście ci, którzy zechcieli to zrobić.

Jestem wdzięczny wszystkim, którzy zechcieli powspominać dawne lata przelewając te wspomnienia na papier lub rozmawiając ze mną. Starałem się, aby choć jedno takie wspomnienie pochodziło z każdego dziesięciolecia istnienia szkoły. I tutaj ciekawa uwaga, stosunkowo najwięcej wspomnień mieli ci, którzy najdawniej opuścili szkolne mury.

Osobną kwestią było pisanie samej historii szkoły. Tu zaistniał problem dwojakiego rodzaju. Wiąże się on z dostępnością źródeł. Czasy najdawniejsze opisane zostały głównie na podstawie jednej kroniki, która w bardzo skrótowy sposób opisywała kolejne lata istnienia placówki. W latach sześćdziesiątych pojawiły się również księgi protokołów posiedzeń rad pedagogicznych. Zachowały się też dawne arkusze organizacyjne i różne sprawozdania, dzięki którym można w szczerotkowy sposób odtworzyć lata pionierskie. Opisując lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte mogłem korzystać, z oprócz wcześniej opisanych źródeł, również z dwóch kronik, które dzięki zdjęciom i opisom ukazywały klimat tamtych czasów.

Opisując lata dziewięćdziesiąte, a szczególnie czasy od 2002 roku bogactwo źródeł nakazało mi dokonać samoograniczeń. Inaczej książka zamieniłaby się w nudne wymienianie wydarzeń, jeśli nie z każdego dnia, to na pewno tygodnia. Od 1992 roku każdy kolejny rok opisany został w osobnej kronice. Dokumentacja dodatkowa zalega na wielu półkach szkolnego archiwum. Od 2002 roku, dzięki inicjatywie szkolnego informatyka Tomasza **Kopysia** dysponujemy stroną internetową, na której zapis wydarzeń z życia szkoły traktowany jest z największą troską. Wierzę, że wszyscy czujący niedosyt trafią na stronę internetową naszej szkoły lub odwiedzą nas i zechcą poczytać o jej dziejach wprost ze źródeł. Warto w tym miejscu wspomnieć, że

POŁĄCZYŁA ICH SZKOŁA WE WRZEŚCIU. 1945-2015

Szkoła Podstawowa we Wrześciu wielokrotnie była opisywana z różnych okazji w prasie, a także w publikacjach książkowych, szczególnie dotyczących jej tradycji patriotycznych. Ukazały się również dwie prace magisterskie na temat szkoły we Wrześciu autorstwa jej absolwentek Aleksandry **Ławrynowicz** i wychowawczyni Punktu Przedszkolnego Magdaleny **Skonecznej**. Również o szkole pisał Zbigniew **Kamiński** w swoich dwóch pracach dyplomowych oraz Jolanta **Kamińska** w jednej. Absolwentka szkoły Wioletta **Klimkowska** w swojej pracy licencjackiej opisała rozwój bazy dydaktycznej, który nastąpił w ciągu ostatnich kilkunastu lat.

Na koniec pragnę podziękować panom Zdzisławowi **Dróbce** i Andrzejowi **Obecnemu** za to, że dostrzegli w przeszłości i teraźniejszości szkoły we Wrześciu materiał wartą publikacji książkowej. Dziękuję wszystkim, którzy pomagali w jej publikacji składając na moje ręce swoje wspomnienia. Za życzliwość i wsparcie wdzięczny jestem Pani wójt gminy Słupsk Barbarze **Dykier**. I najbardziej dziękuję mojej żonie **Joli**, pierwszej i najważniejszej recenzentce wszystkiego, co spod mojego pióra wyszło.

Zbigniew Kamiński

OD WYDAWCY

Pomysł napisania i wydania tej książki pojawił się nagle i niespodziewanie. Stało się to w gabinecie pana dyrektora Zbigniewa Kamińskiego w obecności Zdzisława Dróbki - znanego słupskiego kolekcjonera i entuzjasty historii. Zaproponowałem dyrektorowi szkoły, pod wpływem zapoznania się z tym co pozytywnego szkoła robi w zakresie kształtowania postaw patriotycznych dzieci i młodzieży, aby w 70-leciu istnienia placówki uwiecznić jej historię na papierze. Najpierw gazetowym w formie cyklicznych odcinków, a jeżeli pomysł wypali to wydania na ten temat książki. Pomysł został przyjęty.

Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że pan Zbigniew **Kamiński** okaże się takim solidnym i terminowym współpracownikiem gazety. Przeważnie swoich felietonistów i autorów artykułów do gazety „Moje dwuMiasto” muszę w jakiś sposób „dyscyplinować” (oczywiście słowo na wyrost), przypominać o terminach i z drżeniem serca czekać na materiał z myślą czy zdążę na czas przesłać tekst do drukarni.



Andrzej Qbecny.

W przypadku pana **Zbigniewa** nic podobnego nie miało miejsca. Tekst był zawsze gotowy na czas, ba z lekkim wyprzedzeniem, korekta nie miała co robić, a zdjęcia były zawsze w odpowiedniej jakości. No cóż - wymarzony „materiał” na dziennikarza.

Słowo się rzekło...

Przystąpiliśmy do dzieła. Plan przewidywał książkę o objętości do 200 stron z licznymi zdjęciami. A co wyszło? Każdy widzi, ma szansę przeczytać i ocenić.

Początkowo książka miała dotyczyć tylko samej szkoły. Ale wspomnienia pana Stanisława **Bednarskiego** zweryfikowały nasz pomysł. Stało się dla nas jasne, że wiejska szkoła, szczególnie w tamtych trudnych powojennych czasach, na „obcej” niemieckiej ziemi, była czymś więcej niż tylko szkołą. Nie tylko uczyła i wychowywała dzieci, to było swoiste centrum edukacji, kultury, oświaty, była to kuźnica świadomości, odpowiednich zachowań i postaw patriotycznych, stylu i sposobu życia i to nie tylko w odniesieniu do dzieci, ale całej społeczności wiejskiej.

Szkoła była ostoją polskości, często wykraczała, szczególnie w latach czterdziestych i pięćdziesiątych poza oficjalną linię propagandową. To takie wiejskie szkoły, jak ta we Wrześciu, przyczyniły się do zlikwidowania w powojennej Polsce analfabetyzmu, zwykłym prostym ludziom otwierały oczy na świat. Dzieci wiejskie mogły zobaczyć coś, co nigdy wcześniej nie było im dane. Wyjeżdżały do Warszawy, Gdańska, zwiedzały polskie zabytki, brały udział w rajdach rowerowych po swojej Ziemi, spędzały wakacje na biwakach i obozach harcerskich, a nie na pasaniu krów... Tamte dzieci wiejskie nie odbiegały cywilizacyjnie, w sposób jaskrawy, od swoich rówieśników w mieście.

Mało kto o tym dzisiaj pamięta - a warto.

Książka pokazuje siłaczki i siłaczy tamtych czasów, którymi byli w pierwszej kolejności powojenni nauczyciele, ale niech Szanowny Czytelnik nie myśli, że były to tuzy wiedzy, intelektu czy profesorowie z tytułami naukowymi.

ul. Krakowska 38

telefon Nr 25-17

L. 07..

Końskie, dnia

5 CELTC0

1967 г.

Rado <<aiłodona , HŁuc^clelstEa *olaiiie,3o wrue
z InspeKtoretea Os»tioty i SycLio-ianij » I-ouakicii M^rc-zc
Koitpjmto. Stefania. uerdeczne ^cdzie^OYsania
za aktywny i .luan/?ii;omin^ udjlai w ił./nlesuniu cciDlicbet^iau
i rozcij&niu c.ulupy apoiucjo-iictue v: i.-ier.-.sA/ch lotach ola^I
Ludowo;}•

to uiañoie .ry od.oslcccjác nt E-pel Ludowej fłsdyzy
iøk;l;l;j; lió6io .7Człov7io;u u Ue^ętniość .iewilł 1 cssyta&is bez
iłtóryclci iycie Joct . v>iono vaarvośfi: ^iyicnych i a ciachutobołu

^s!±b y roku £5»-laci.- . clsk*-i uud(X!oJ éwiekujac Kol#
ze trud uDieGiem,y ?! roaaój c;:lov?ioLa Zjczyoy duzo dohro^o
zúroiria satytifekoj i i cdo.iolGoia a życia orcz diilliaojj
twórczyJ procy . dzió!aluoóci społooino-!fycijotfCwCZGj.

WIBM-IMfflUfy
Impf J. ter QElj
aus: 19.02.2002 Rck

PREZES
C>1L Mertol

1.5

Nie zapominajmy, że polska inteligencja w czasie II wojny światowej poniosła ogromne straty, zarówno Niemcy, jak i Rosjanie poddawali planowej eksterminacji i wyniszczeniu polskie warstwy inteligenckie. Zginęło 39% przedwojennych lekarzy, 33% nauczycieli niższych szczebli nauczania, 30% naukowców i profesorów wyższych uczelni, 28% księży katolickich, 26% prawników. Wielu wykształconych Polaków, szczególnie wcielonych do wojska, w 1939 roku, po wojnie obronnej, wyemigrowało i nigdy do Polski nie powróciło.

Po wojnie Polska odczuwała ogromne braki ludzi wykształconych. Potrzebowała ich administracja, gospodarka, służba zdrowia... a nade wszystko oświata.

Warto tutaj na marginesie dodać, że o ile w początkowych pięciu latach po wojnie nie zaglądano zbyt w papiery, szczególnie na Ziemach Odzyskanych, to począwszy od stalinowskich lat pięćdziesiątych XX wieku sytuacja diametralnie się zmieniła. „Czystość ideologiczna” stała się bardzo istotna w procesie awansu społecznego, a na wyższe stanowiska była wymagana niemalże w 100 procentach.

W drugiej połowie lat czterdziestych XX wieku praktycznie każdy, kto potrafił pisać i czytać oraz wyrażał chęci zostania nauczycielem mógł nim zostać.

Opowiadała mi przedwojenna nauczycielka przypadek pana, który w jednej z wiejskich szkół powiatu słupskiego uczył dzieci pisowni wyrazów zawierających „rz” i wyjątków, każąc im przepisać na kartce po dziesięć razy kilkanaście wyrazów, które wypisał na tablicy. Wśród nich był wyraz „piekarz”, który przez pana „profesora” został napisany jako „piekasz” (zapewne potraktowany jako wyjątek). Gdy jedna z uczennic pod wpływem uwag babci napisała poprawnie „piekarz”, nauczyciel zrobił poprawkę na czerwono i obniżył jej ocenę.

Problem słabego przygotowania nauczycieli porusza w swojej książce „Nowa niwa”, słupska, nieżyjąca już, nauczycielka Stefania **Siemińska-Rokita**, która pisze:

Nie zmienia to wcale fakt wielkiego uznania i wysokiej oceny tamtych nauczycieli. Wręcz odwrotnie.

Już w czasie II wojny światowej i kilkanaście lat po jej zakończeniu

Polska w nowych granicach, wyznaczonych jej przez aliantów, stała się terenem niespotykanych dotychczas w historii przymusowych i w mniejszym stopniu dobrowolnych „wędrowek ludów”. Nosiły one nazwy: migracji, repatriacji, przesiedleń, wysiedleń, wywózek...

W ciągu dekady w granice „nowej” Polski, a w szczególności na Ziemi Odzyskanej, w ramach repatriacji wyjechało z terenów Polskich Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej, włączonych do Związku Radzieckiego, około 1,3 mln. Polaków. W ramach Akcji „Wisła” z terenów Małopolski Wschodniej na Ziemi Odzyskanej przesiedlono ponad 140 tys. osób szeroko pojętej narodowości ukraińskiej. Byli wśród nich Ukraińcy, Bojkowie, Dolinianie i Łemkowie.

Ogromne rzesze Polaków za pracą, ziemią, mieszkaniem jechały na Zachód po lepsze jutro. W tym czasie, głównie wschodnie tereny niedawnej Generalnej Guberni były przeludnione. W większej mierze dotyczyło to wsi niż miast.

Nie zapominajmy również o ponad 3,5 mln Niemców, którzy przebywali jeszcze na nowych polskich Ziemiach Zachodnich i Północnych pod koniec 1945 roku. Warto tutaj nadmienić, że Rosjanie, ale i Polacy nie bardzo kwapili się do szybkiego wysiedlania Niemców. Rosjanie głównie ze względu na taniość siły roboczej, a Polacy potrzebowali fachowców do przejmowanych i uruchamianych przedsiębiorstw. Polski rząd, wojewodowie, starostowie ślali ponaglenia o niezatrudnianie Niemców, ale często bezskutecznie. Większość Niemców w tym czasie, ze względu na niepewność losu, sama nalegała o wyjazd za Odrę.

Działy się tutaj, również we Wrześcu, ze społecznego punktu widzenia rzeczy niezwykłe. Rozpatrywać je należy jednak nie dzisiejszym spojrzeniem, a mentalnością i świadomością tamtych ludzi i czasów. Nie jest to ani łatwe, ani takie proste.

Książka jest o szkole we Wrześcu, trochę o samej wsi, ale w głównej mierze o ludziach, bohaterskich pionierach tamtych czasów i tych bliższych współczesności. Nie ma ona ambicji pracy historycznej, chociaż opowiada o historii, która była budowana przez autorów

w oparciu o materiały archiwalne, wspomnienia i literaturę historyczną o tamtym okresie, tak brzemennym w dziejach Ziemi Słupskiej.

Przekazujemy ciąg zdarzeń i koleje życia zwykłych ludzi z imienia i z nazwiska - uczniów, nauczycieli i pracowników szkoły, a także mieszkańców Wrześcia. Prawie każdy, kto mieszkał w tej wsi po wojnie, odnajdzie się na kartach tej książki, odnajdzie bliskich, znajomych i sytuacje, w których brał udział osobiście, albo zna z opowieści.

Książka powinna być bliska nie tylko mieszkańcom Wrześcia, ale również innych pobliskich miejscowości: Lubuczewa, Kępna, Wiklina, Żoruchowa...

Powinna, taką mamy nadzieję, znaleźć się w każdym domu, gdyż pamięć o przeszłości, o swoich korzeniach jest miarą naszej tożsamości, która łączy nas poprzez wspólną pamięć.

Oprócz autorów, do powstania tej książki przyczyniło się wiele osób, chciałbym im w imieniu swoim oraz pana Zbigniewa **Kamińskiego** serdecznie podziękować.

W pierwszej kolejności wszystkim tym, którzy podzielili się z nami swoimi wspomnieniami. To wielka rzecz zapisać na trwale ulotne wspomnienia, które dzięki temu przetrwają lata i będą świadczyć o minionych dniach. Dziękuję za zdjęcia, które trafiły do nas i mogły być zamieszczone na łamach tej publikacji.

Specjalnie dziękuję pani Mirze **Ławryniewicz**, której pomoc w przygotowaniu list nauczycieli, pracowników i absolwentów szkoły była kluczowa.

Dziękuję sponsorom, bez których nie bylibyśmy w stanie wydać książki, a wśród nich szczególnie Pani Barbarze **Dykier** - wójt Gminy Słupsk i Panu prezesowi Andrzejowi **Cyranowiczowi**.

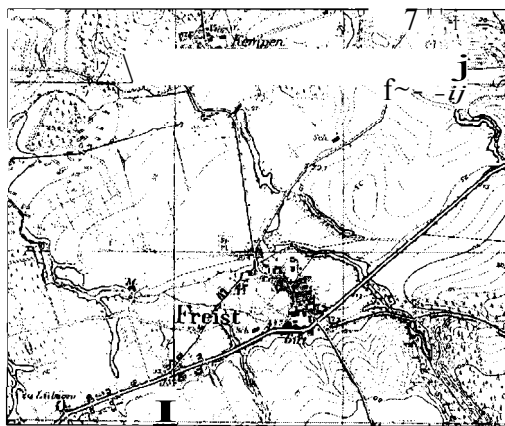
Szczególnie ciepło i z wielką estymą dziękuję Zbigniewowi **Kamińskiemu** - współpraca z Tobą **Zbyszku** była dla mnie przyjemnością i nowym cennym doświadczeniem.

Andrzej Obecny

FREIST

Pierwsza wzmianka o wsi pochodzi z 1285 roku, kiedy to **Mściwój II** (Mestwin II), syn księcia pomorskiego **Świętopełka** i **Eufrozyny**, książę gdański podarował ją klasztorowi w Białoboku i kościołowi św. Mikołaja w Słupsku. Wtedy nazwa jej brzmiała Wressow.

W czasach nam współczesnych, gdzie cezurą jest rok 1945 mamy do czynienia z dwoma nazwami wsi: niemiecką Freist i polską Wrzeście i niech one pozostaną dla nas obowiązujące.



Mapa wsi Freist i Kempen z lat 30-tych XX wieku,

Miejscowość pierwotnie było wielodrożnicą, wielodrogową, to znaczy wsią o zwartej lub luźnej zabudowie, powstałą wzdłuż kilku ciągów komunikacyjnych, o nieregularnym kształcie. Była to typowa jedna z wczesnych form zabudowy słowiańskich wsi.

Osada umiejscowiona została na północ od Słupska w odległości 13 km, na opadającej morenie dennej.

Wiemy, że osada w 1285 roku nosiła nazwę Wressow i była wsią kościelną. Według dokumentów z 1523 roku nazywała się Vresth. Później zmieniła nazwę i do 1945 roku występowała jako Freist. Polska nazwa wsi Wrzeście, którą otrzymała w 1945 roku sięgnęła do pierwowzoru i wywodzi swoje pochodzenie od słowa „**Wrzeszcze**” - wrzosowisko

Od około 1400 roku wieś była własnością rodu von **Gutzmerów**.

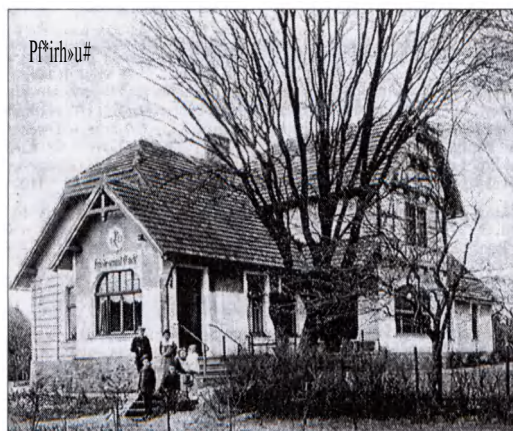
W 1784 roku we wsi istniały dwa folwarki, młyn wodny i 18 domostw.

Od około 1493 roku istniał tutaj kościół, który był odrestaurowany w 1620 roku, lecz już nie istnieje. Świątynia, która jest obecnie, powstała w 1874 roku według projektu inspektora budowlanego **Heithausa**. Część wyposażenia obecnego kościoła została przeniesiona z poprzedniego, jak na przykład chrzcielnica z 1651 roku i organy, które zostały wykonane przez słynnego na całe Pomorze mistrza **Volknera** z Duninowa.



Freist - ewangelicki kościół parafialny wzniesiony w 1874 roku.

Przy kościele w późniejszym okresie wybudowany został dom parafialny, w którym rezydował ostatni niemiecki pastor ewangelicki Reinhold **Roli**. Odprawiał on msze dla Niemców i przybywających Polaków do 1947 roku.



Dom parafialny.

Giitschow'owi. Dalszymi nabywcami byli: Fridrich **Heli** w 1852 roku, potem Luis **Turkheim** w 1855, następnie Eduard **Koch** w 1884. Kolejnymi właścicielami wsi byli kolejno: Artur von **Livonius** od 1896 do 1901 roku, potem jego syn Ernst von **Livonius**, następnie Erich von **Reick-Eggebert**, aż w końcu w 1902 roku ostatnim właścicielem został Wilhelm **Anhalt**.

W dniu 8 marca 1945 roku, gdy Rosjanie wkroczyli do niemieckiego Freist, Wilhelm **Anhalt** zaszył się w nieodległym Kempen (Kępnie), w obszernym domu gdzie mieszkał.

Ciekawa jest historia własności wsi do 1945 roku. Oto ona:

Władający wsią napoczątku XIX wieku Lorenz Adam von **Gutzmerow** sprzedał Freist i Kempen (Kępno) w 1817 roku swojemu zięciowi Magnusowi Friedrichowi von **Schmeling**, który w 1843 roku zapoczątkował handel majątkiem rodzowym odsprzedając ją Gottridowi



Dom Wilhelma Anhalt'a w Kempen (Kępno). Rok 1945

Ostatni właściciel majątku Freist Wilhelm **Anhalt** był synem znanego w Rzeszy przemysłowca - prekursora przemysłu kosmetycznego mającego w Kolberg'u (Kołobrzeg) znaną firmę kosmetyczną AOK (*Anhalt Ostseebad Kolberg*). To on w 1902 roku wyłożył gotówkę i kupił synowi posiadłość nieopodal Stolp'u



Kubki firmy AOK wykopane w Elblągu.
Fot. A. Sieńkowska.

Wilhelm **Anhalt** dobrze zasłużył się rozwojowi swoich wsi. To za jego czasów Freist i Kempen osiągnęły największy rozwój. Wybudował domy z mieszkaniami dla robotników rolnych, które miały również pomieszczenia dla inwentarza, a przy domu ogródki warzywne. We wsi Freist powstała ogromna stodoła o długości 100 m w 1923 roku właściciel i dokonał rozbudowy swojej rezydencji

w Kempen (Kępno) zwiększając dwukrotnie powierzchnię pokoi. Zwiększył znacznie areał gruntów ornych i pastwisk, zwiększył pogłowie bydła, trzody chlewnej, utrzymywał 52 konie.

Na terenie wsi tuż przed wybuchem II wojny światowej prosperowało 35 indywidualnych gospodarstw.

Wieś rozwijała się znakomicie.

Działała tu wiejska kasa pożyczkowo-oszczędnościowa, piekarnia Maxa **Heyer'a**, sklep z materiałami budowlanymi Paula **Albrecht'a**, gorzelnia Wilhelma **Anhalt'a**, sklep rowerowy M. **Heinz'a**, gospoda Willego **Gersova'a**, sklep z towarami kolonialnymi Olgi **Kamin**, młyn Fritza **Kanz'a**. Swoje usługi świadczyli rzemieślnicy: kowal Fridrich **Massel** i krawcy R. **Schroöder** i Fritz **Stork**.

We wsi w 1932 roku znajdowała się trzyklasowa szkoła podstawowa, w której uczęły się 79 uczniów. Personel pedagogiczny stanowiło dwóch nauczycieli.

W dniu 17 maja 1939 roku wieś Freist zajmowała powierzchnię 1103 ha i liczyła 484 mieszkańców, którzy tworzyli 112 gospodarstw domowych. W tym czasie Urząd Stanu Cywilnego i posterunek

żandarmerii dla wsi znajdował się w pobliskim Liibzow (Lubuczewo). Najbliższa stacja kolejowa znajdowała się we wsi Karzin (Karżcino) w odległości 3,5 km.



Rodzina wójta Freist Alberta Ddske. Od lewej stoją: Matka Alberta, Gizela Ddske-bratanica, Albert Däske - syn, Magdalena - żona, Albert Däske - wójt. Freist, pierwsza połowa lat 40. Fot. arch. rodz.

W czasie wojny prawie wszyscy mężczyźni zostali powołani do wojska. Na wsi pozostały kobiety, starcy, dzieci i robotnicy przymusowi. Również wójt Freistu Albert **Däske** poszedł na wojnę, z której szczęśliwie powrócił. Przeżył aresztowanie przez Rosjan w dniu ich wkroczenia do wsi. Po wojnie mieszkał w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

W Kempen w majątku Wilhelma **Anhalt'a**, w miejsce robotników sezonowych zatrudnieni byli jeńcy radziecki, większość z nich

zmarła na tyfus, podczas epidemii. Pochowano ich w zbiorowej mogile na miejscowym cmentarzu. Po wojnie zapadnięta ziemia na końcu nekropoli stworzyła dół, który wskazywał miejsce ich pochówku.

W gospodarstwach bawarskich niewolniczo na przymusowych robotach pracowali Polacy. Po wojnie żaden z przebywających tutaj Polaków nie przejął gospodarki poniemieckiej. Wszyscy wrócili do swoich domów. Lecz w pobliskich miejscowościach takich jak np. Lubuczewo czy Wiklino takie przypadki miały miejsce.

W dniu 8 marca 1945 roku do niemieckiej wioski Freist wkroczyła Armia Radziecka. Władze niemieckie nie zdołały ewakuować mieszkańców, również oni sami z własnej woli nie mogli opuścić miejscowości i uciec przed rosyjskim wojskiem.

Jedyna droga ewakuacji, którą była szosa Stolp-Zezenow (Słupsk-Cecenowo), była pełna pojazdów, które ciągnęły na wschód. Około godz. 14 przez wieś przeszła jednostka SS, która pod Liibzow (Lubuczewo) stawiała opór jednostkom Armii Czerwonej. Ostatnimi żołnierzami tej jednostki byli dwaj esesmani na rowerach, którzy pośpiesznie przejechali przez wieś.

Po piętnastu minutach po nich do wioski weszła spokojnie radziecka piechota i zajęła Freist bez walki.

Potem przybyli żołnierze na koniach i z konnymi wozami, później sprzęt zmechanizowany, w tym czołgi.

Wieś była ponad miarę przepełniona, przede wszystkim uciekinierami ze Stolp'u, ale również z Prus Wschodnich i innych rejonów Pomorza.

Zaczęły się przesłuchania i aresztowania. Szczególnie narażeni byli na nie naziści, funkcjonariusze państwowi i ich rodziny.

Trudno dzisiaj jednoznacznie stwierdzić skalę owych działań, ale nie były one tak okrutne, jak gdzie indziej, na przykład w Słupsku.

Prześledźmy losy Niemki Gizeli **Däske** - bratanicy wójta Alberta **Däske**, która wojnę spędziła w niemieckiej wsi Freist.

HISTORIA NIEMKI, KTÓRA ZOSTAŁA POLKĄ

Gizela urodziła się w Stolp'ie (Słupsk) w dniu 4 czerwca 1930 roku w rodzinie Augusta **Däske** i jego żony **Friedy** z domu **Pillasch**. Rodzice Gizeli przybyli do Stolp'u z Piły. **August** był robotnikiem, a babcia **Frieda** zajmowała się domem i wychowywaniem dzieci. Była chorowita, w dniu 13 lipca 1939 roku zmarła i została pochowana na miejscowym cmentarzu. **Gizela** miała starszego brata **Heinza**, który urodził się w 1923 roku.

Gizela do wybuchu II wojny światowej chodziła do szkoły podstawowej, przy dzisiejszej ulicy Henryka Pobożnego. W czasie wojny była uczennicą szkoły w miejscowości Friest (Wrzeście).

Półtora miesiąca po śmierci matki wybuchła wojna. Ojciec i brat **Gizeli** zostali, we wrześniu 1939 roku, wcieleni do Wehrmachtu. Dziewięcioletnia Gizela zamieszkała u swojego stryjka **Alberta**, we wsi Fraist (Wrzeście) koło Stolp'u. Ciotka **Magdalena** zaopiekowała się uczennicą trzeciej klasy szkoły podstawowej.



*Ceremonia pogrzebowa Augusta Däske na froncie wschodnim w okolicach Staligradu.
Fot. arch. rodz.*



*Brat Gizeli Heinz Däske. Fot. Stolp, lata 30-te.
Fot. arch. rodz.*



*Gizela Däske. Wrzeście, pierwsza
połowa lat 40. Fot. arch. rodz.*

Albert **Däske** stryj **Gizeli** posiadał gospodarstwo rolne oraz równolegle pełnił funkcje miejscowego wójta, miał syna Alberta, również **Gizeli**.

Zimą 1943 roku ojciec **Gizeli** August **Däske** zginął niedaleko Stalingradu. Rodzina wraz z powiadomieniem o śmierci otrzymała zdjęcia z ceremonii pogrzebowej.

Zginął również brat **Gizeli** **Heinz**, który tuż przed śmiercią był na urlopie i odwiedził siostrę na wsi u stryjka. Na jego cześć odbyło się wielkie świniobicie. Rodzina nigdy nie dowiedziała się kiedy i gdzie poległ niespełna dwudziestoletni Heinz **Däske**. Nie było również informacji o stryju **Gizeli** Albercie **Däske**, który również poszedł na wojnę.

Gizela została na świecie sama. Pozostali jej tylko kuzyn **Albert** i ciotka **Magdalena** oraz zamieszkała w Słupsku rodzina od strony matki Friedy, z którą nie utrzymywała bliższego kontaktu.

Gizela **Däske** całą wojnę spędziła u ciotki **Magdaleny**.

8 marca 1945 roku do jej wsi, która niebawem zmieni nazwę na Wrzeście wkroczyli Rosjanie. Wtedy dopiero dla **Gizeli** zaczęła się wojna. Do tej pory

nie odczuwała wojennych niedogodności. Miała 15 lat gdy rozpoczęła swój trzymiesięczny exodus, zakończony w Żukowie koło Kartuz.

Poznawała inny świat, zobaczyła, że oprócz Niemców są jeszcze inni ludzie, o innej mowie, kulturze, religii...

Prześledźmy jej losy.

Pamiętnik Giseli Däske

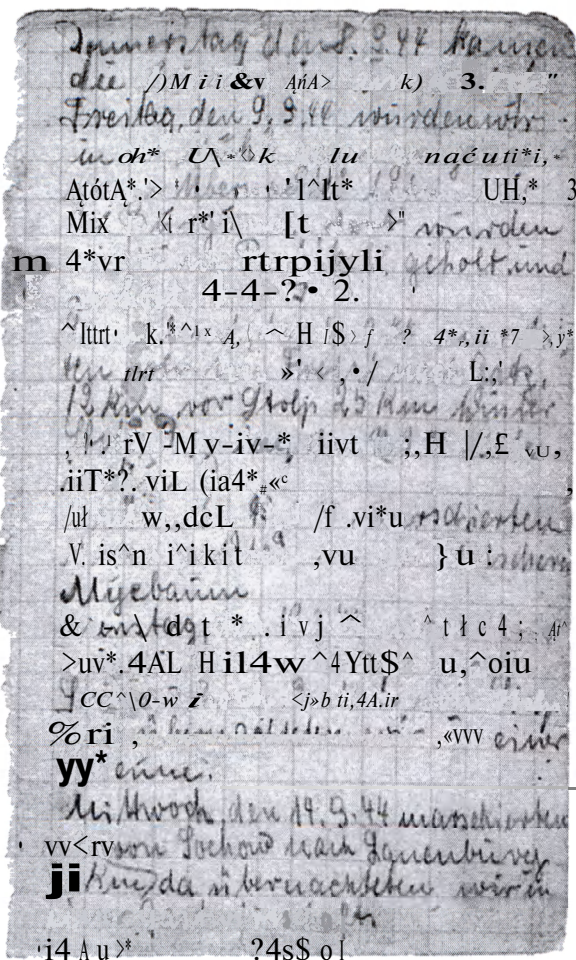
Oto tłumaczenie

z oryginalnego tekstu, bez wyjaśnień, jedynie z poprawieniem ewidentnych błędów logicznych, których nie uniknęła **Gizela**.

Pamiętnik, pisany był kopiowym ołówkiem, opisuje marsz niemieckich kobiet z powiatu słupskiego do Grudziądza. Takich marszy na wiosnę 1945 roku z niemieckiego Stalpu było kilka. W jednym z nich uczestniczył proboszcz kościoła św. Ottona ks. Paweł **Gediga**

Mój marsz

Czwartek, 8 marca 1945 - Do naszej wsi weszli Rosjanie.



Pierwsza strona pamiętnika Giseli Daske. Fot. arch. rodz.

Piątek, 9 marzec 1945, Wzięto nas w młynie do niewoli. Nocowaliśmy u Burgundy, tam też przyszli po nas w celu spisania protokołu i przesłuchania nas.

Sobota, 10 marca 1945, Maszerowaliśmy z Wrześcia (*Freist*) do miejscowości Gać (*Gatz*), 12 km przed Słupskiem (*Stolp*), 25 km za Słupskiem (*Stolp*).

Niedziela, 11 marca 1945, Zostaliśmy we wsi Gać (*Gatz*).

Poniedziałek, 12 marca 1945, Nocowaliśmy u Maybauma w rzeźni.

Wtorek, 13 marca 1945, Maszerowaliśmy drogą Rędzikowską (*Reitzerstrafee*) w kierunku Żochowa (*Sochow*) 26 km od Słupska (*Stolp*). Tam przenocowaliśmy w stodole.

Środa, 14 marca 1945, Maszerowaliśmy z Żochowa (*Sochow*) do Lęborka (*Lauenburg*) 26 km, tam przenocowaliśmy w gospodzie.

Czwartek, 15 marca 1945, Przeszliśmy z gospody do dużego domu w Lęborku (*Lauenburg*) i tam zostaliśmy w piątek 16 marca 1945, sobotę 17 marca 1945 i niedzielę 18 marca 1945.

Poniedziałek, 19 marca 1945, Wczesnym rankiem wyruszyliśmy z Lęborka (*Lauenburg*) do Runowa (*Groß Ruhnow*) - tam nocowaliśmy w pałacu.

Wtorek, 20 marca 1945, Maszerowaliśmy z Runowa (*Groß Ruhnow*) do (?), a nocowaliśmy w domu u chłopca.

Środa, 21 marca 1945, Maszerowaliśmy ze Starej Dąbrowy (*Alt Damerow*) do Słupska (*Stolp*) i tam nocowaliśmy w dużym domu.

Czwartek, 22 marca 1945, i piątek 23 marca 1945, Pozostaliśmy w tym domu.

Sobota, 24 marca 1945, Z tego domu przeszliśmy do więzienia.

Niedziela, 25 marca 1945, Frank trafił do więziennej izolátky dla chorych.

Poniedziałek, 26 marca, wtorek 27 marca, środa 28 marca 1945, byliśmy jeszcze w różnych pokojach.

Czwartek, 29 marca 1945, Przeszliśmy z więzienia do magazynu 2 w Słupsku (*Stolp*). Tam byliśmy w **piątek 30 marca**, i sobotę **31 marca 1945**.

Niedziela, 1 kwietnia 1945, był to pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych.



Gizela Däske. Druga połowa lat czterdziestych. Fot. arch. rodz.

Poniedziałek, 2 kwietnia 1945, drugi dzień Świąt Wielkanocnych.

Wtorek, 03 kwietnia 1945.

Środa, 04 kwietnia 1945, Jeszcze do wieczora byliśmy w magazynie 2. Wieczorem przeszliśmy do kościoła katolickiego, gdzie przenocowaliśmy.

Czwartek, 05 kwietnia 1945, przeszliśmy z kościoła na dworzec kolejowy w Słupsku (*Stolp*), gdzie załadowano nas po 60 dziewczyn i kobiet do bydlęcych wagonów. Tam na słupskim dworcu jeździli-
emy nocą w te i z powrotem.

Piątek, 06 kwietnia 1945, Rano wyjechaliśmy ze Słupska w kierunku Szczecinka (*Neu Stettin*)

(?) Jechaliśmy trasą kolejową z Człuchowa (*Schlochau*) w kierunku Bydgoszczy (*Bromberg*).

Sobota, 8 kwietnia 1945, jechaliśmy trasą na Bydgoszcz (*Bromberg*;) i dojechaliśmy do Torunia (*Thorn*).

W **poniedziałek** dotarliśmy na dworzec w Toruniu (77wrn). W nocy z **poniedziałku** na **wtorek** wyjechaliśmy z toruńskiego dworca i jechaliśmy przez most na Wiśle, który Niemcy wysadzili a Rosjanie na nowo zbudowali. Za Wisłą, gdzie stanęliśmy, widzieliśmy wiele pracujących kobiet. Następnie pojechaliśmy dalej a dzisiaj we wtorek **10 kwietnia 1945** stoimy na dworcu. W tej chwili jesteśmy na dworcu: *Besslershausen.ę???*

Środa, 11 kwietnia 1945 Stoimy rano na dworcu w (?).

Po 8 dniach dostaliśmy na dworcu w Grudziądzu (*Graudenz*) fantastycznie gorącą kartoflanę. Dzisiaj jest najpiękniejszy dzień dla tych, co nie mają czapek, w promieniach słońca jest tak gorąco jak latem. Wieczorem 11 kwietnia wyładowano nas z wagonu a następnie trafiliśmy wszyscy do dużego domu w Grudziądzu (*Graudenz*). Prawdopodobnie była tam kiedyś szkoła.

Czwartek, 12 kwietnia 1945, Ciągłe jeszcze jesteśmy w tym samym obrzydliwym pomieszczeniu. Nie ma tutaj już ani drzwi ani okien.

W **piątek, 13 kwietnia** i w **sobotę 14 kwietnia**, Jeszcze ciągle tam byliśmy, ugotowaliśmy sobie (?).

Niedziela, 15 kwietnia 45.

Poniedziałek, 16 kwietnia 45.

Wtorek, 17 kwietnia 45.

Środa, 18 kwietnia 45.

Czwartek, 19 kwietnia 45.

W środę Gizelę i mnie wezwano, a mianowicie wywołano nas po nazwisku nas i przydzielono do brygady. Wieczorem wysłano Gizelę na dworzec do pracy.

W **piątek 20 kwietnia 45**, wezwano nas ponownie i przeniesiono z góry na dół do małego ciepłego pokoju.

W **sobotę, 21 kwietnia 45**, jeszcze raz mnie przesłuchano i znów przydzielono do brygady pracy.

Niedziela, 22 kwietnia 45, Jeszcze ciągle byliśmy w tym samym miejscu.

Poniedziałek, 23 kwietnia 45.

Wtorek, 24 kwietnia 45.

Środa, 25 kwietnia 45.

Czwartek, 26 kwietnia 45.

Piątek, 27 kwietnia 45.

W nocy z wtorku na środę wróciłam do domu do obozu o 24.30.

Sześć dni byłam u komendanta a dwa dni byłam w innym wagonie wraz z dwoma niemieckimi mężczyznami. Drugiego dnia wróciłam do domu - do obozu,

Piątek, 27 kwietnia 45, Jeszcze tam byliśmy jeszcze.

Sobota, 28 kwietnia 45.

Niedziela 29 kwietnia 45, Wezwano nas. Wszyscy otrzymaliśmy po pół chleba.

(?)

Następnie wyruszyliśmy w większych grupach wzdłuż torów kolejowych do Laskowic. Trasę z Grudziądza (*Graudenz*) do Laskowic

pokonaliśmy w ciągu jednego dnia. Nocowaliśmy w poczekalni dworcowej w miejscowości przed Laskowicami.

Poniedziałek, 30 kwietnia 45, Maszerowaliśmy z tej miejscowości do miasta Laskowice. Po dotarciu na dworzec zostaliśmy tam czekając na pociąg, który miał nadjechać w najbliższym czasie.

Wtorek 01 maj 45, Wędrowaliśmy z Laskowic na dworzec do jakiejś innej miejscowości. Stamtąd pojechałam ja oraz wiele innych dziewczyn pociągiem na inny dworzec, gdzie dużo dziewczyn wysiadło a ja zostałam sama w wagonie. Potem pojechałam dalej do Żukowa (*Zuckau*) powiat Kartuszy.

Środa, 02 maj 45, Sierżant zaprowadził mnie w Żukowie (*Zuckau*) do polskiej rodziny. Byli to dobrzy ludzie. Pomagałam im obierać kartofle. Potem bardzo zachorowałam i trafiłam do innej rodziny. Gdy byłam chora badało mnie dwóch rosyjskich lekarzy, a następnego dnia zawieziono mnie do szpitala do Gdańska.

Tam zbadano mnie ponownie i stwierdzono, że mam tyfus. Obecnie leżę już prawie pięć tygodni w szpitalu. Mam nadzieję, że **23 czerwca 45** wyjdę ze szpitala.

Niedziela 23 czerwca 45, Zwolniono mnie ze szpitala i zostałam do **30 czerwca 45**, u kobiety, którą da się zaakceptować.

(?)

Z Gdańska Wrzeszcza (*Danzig Langfuhr*) poszłam pieszo do Rębowa (*Rambau*). Stamtąd sympatyczny Polak podwiózł mnie wozem z koniem do Żukowa (*Zuckau*). Dotarłam tam w niedzielę a wszyscy byli bardzo zaskoczeni. Jestem tu już od kilku miesięcy, nawet się tutaj już żyłam, a co najważniejsze mam już swój wspaniały pokój i posiadam też parę rzeczy, nawet jeśli nie są one takie jakie kiedyś sobie życzyłam...

Służąca

Po wyjściu ze szpitala Gizela **Däske** koniecznie chciała wrócić do Żukowa, zapewne do polskiej rodziny, u której było jej dobrze. Była sierotą, nie miała gdzie się podziać, nie знаła języka polskiego, jedyne znane jej miejsce, gdzie czuła się bezpiecznie, znajdowało się w Żukowie u pierwszej polskiej rodziny, gdzie była.

Po dotarciu do celu, a było to zapewne 30 czerwca 1945 roku, przy jednym z obejść, za płotem zauważyła kobietę. Była to Polka pani **Trepczyk**. Poprosiła ją po niemiecku o chleb, mówiła, że jest głodna.

W tamtym okresie - jak opowiadała później **Gizela** swoim dzieciom, była drobną dziewczynką, o dziecięcym wyglądzie, czesała się w dwa małe warkoczki.

To zmiękczyło serce kobiety, matki... Nie rozumiała co to głodne dziecko do niej mówi. Zawołała męża, władającego językiem niemieckim.

Po przetłumaczeniu prośby **Gizeli** o jedzenie, pani **Trepczyk** nakarmiła dziewczynkę. W tym czasie **Gizela** opowiedziała o swoim losie i o tym, że właściwie nie ma gdzie pójść.

- Możesz u nas pozostać, będziesz mi pomagala. Jest jednak jeden warunek: musisz nauczyć się mówić po polsku. - zdecydowała pani **Trepczyk**.

Gizela spełniła postawiony jej warunek. Nadzwyczaj szybko nauczyła się mówić po polsku.

U **Trepczyków** było jej bardzo dobrze. Nie była głodna, miała swoje miejsce do spania.

- To była bardzo dobra rodzina - często mówiła - dzięki nim przeżyłam, traktowali mnie jak trzecią córkę. Zawsze dobrze wspominała tamte chwile. Z nimi i ich dwoma córkami **Gizela** przez wiele lat utrzymywała kontakt.

U **Trepczyków** w Żukowie **Gizela** mieszkała cztery lata.

Gdy skończyła 18 lat **Trepczykowie** załatwili jej polski dowód osobisty. Formalnie przestała być Niemką, a stała się Polką. Wcześniej szukała informacji o swoich krewnych, ale nie było żadnego odzewu. Miała świadomość swojego zupełnego sieroctwa.

W międzyczasie dostała pracę w zakładzie fryzjerskim w Gdyni jako sprzątaczką. Do pracy dojeżdżała z Żukowa. W nowej pracy była traktowana bardzo źle. Wykorzystywano jej bezbronność i oszukiwano na płacy. Właścicielka zakładu nie wywiązywała się z ustnej umowy o warunkach płacowych, kazała pracować ponad siły, a praktycznie nie płaciła **Gizeli**.

Gdy upomniała się o swoje pieniądze, pracodawczyni zrobiła jej wielką awanturę. Ale zapewne obawiając się, że jej nierzetelność może ujrzyć światło dzienne, zaproponowała pracę u swoich krewnych w Żabikowie pod Poznaniem.

Gizela wyraziła zgodę, nie chciała być ciężarem dla **Trepczyków**.

W ten sposób znalazła się w Żabikowie koło Poznania u pana **Więckowskiego**, u którego miała być służącą. Można sparafrazować, że trafiła „z deszczu pod rynnę”. **Więckowski** okazał się paskudnym człowiekiem, traktował ją jak niewolnicę, bił, stosował terror psychiczny. Tam przeżyła dwuletni okres upokorzenia i pracy ponad kobiece siły.

Miłość

Nie miała zbyt wielu chwil dla siebie. Pewnego popołudnia wybrała się na wiejską zabawę. Tam poznała Mariana **Różańskiego** z pobliskiego Fabianowa. To była przysłowiowa miłość od pierwszego wejrzenia. Młody mężczyzna upatrzył sobie od razu drobną, szczupłą, jakby zdezorientowaną dziewczynkę, ot takiego zagubionego i przestraszonego Kopciuszka.

Przetańczyli z sobą całą zabawę. Podczas tańca najpierw milczeli, a później opowiadali o sobie. **Gizela**, w męskich ramionach, poczuła zadziwiające bezpieczeństwo i bratnią duszę. Nie myliła się. Opowiedziała i wyrzuciła z siebie swoje całe sieroce życie i swoją krzywdę. Zataiła tylko to, że **Więckowski** ją bije.

Marian, również był pewny... ta, albo żadna inna.

Zaczęli się spotykać. Liczne sińce na rękach ukochanej zaczęły zwracać uwagę narzeczonego. Gdy opowiedziała mu o przyczynie, zagrała w nim słowiańska krew i polska porywczosć w dobrym tego słowa znaczeniu.

Pierwsze co zrobił, ale z pewną niepewnością, to o wszystkim tym, a przede wszystkim o swojej znajomości z **Gizelą** opowiedział domownikom. Po jego opowiadaniu zaległa cisza.

Pierwszy, jakto w rodzinie wielopokoleniowej, odezwał się Józef **Różański**, ojciec **Mariana** i tonem nieznoszącym sprzeciwu powiedział:



Gizela Różańska z synem Leszkiem na wycieczce w zoo. Poznań 1954 rok. Fot. arch. rodz.

- Zabieraj tę sierotę od **Więckowskiego** i niech zamieszka z nami. Nie pozwolę, aby ktokolwiek ją jeszcze w życiu krzywdził!

Jakoś nikt nie protestował, wszyscy milcząco zaprobowali decyzję seniora.

A mogliby.

Józef **Różański** całą wojnę spędził w obozach koncentracyjnych, Oświęcimiu, Dachau, innych. Ile sam doznał krzywd i upokorzeń, męczarni i lęku od niemieckich nazistów - nie sposób wyliczyć.

A może właśnie dlatego aprobowali decyzję zwykłego prostego człowieka, wtedy emerytowanego, przedwojennego kolejarza, Polaka, głęboko wierzącego w Boga.

Józef **Różański** do obozu trafił w wyniku donosu innego Polaka, winą był „mały sabotaż” transportów niemieckich, przyczyną donosu „nagroda” okupanta dla donosiciela. W Oświęcimiu miał nr 14707. Do domu w Fabianowie, po kuracji w amerykańskim szpitalu, wrócił dopiero w 1946 roku.

Gizela nazajutrz stała się domownikiem w rodzinie **Różańskich**. Znalazła swój dom na całe życie.

Ślub

Marian na narzeczoną czekał jeszcze kilka lat. Bo dostał powołanie do służby wojskowej, do marynarki wojennej do Ustki. Przez trzy lata, żył i służył na rodzinnej ziemi **Gizeli**. Narzeczoną nigdy nie odwiedziła narzeczonego w jednostce. W Słupsku po wojnie była tylko raz, z synem **Leszkiem**, ale mimo wyężdżania pamięci nie mogła sobie nic przypomnieć.

Przemierzała słupskie ulice, była na cmentarzu, ale to było dla niej inne miasto. Nie odnalazła śladów swojego dzieciństwa i grobu swojej matki **Friedy**.

W 1953 roku, gdy **Marian** jeszcze służył w marynarce, odbył się ich ślub. Najpierw cywilny. Kościelny po latach, bo... **Gizela** nie miała... właściwego wyznania... czyli jak oficjalnie informowano w parafii wszystkich potrzebnych nauk.

Świadkami w USC byli Zenon **Różański**, brat ojca **Mariana** i **Marian Szaj** - krewny od strony matki pana młodego, przyszłej teściowej **Gizeli**.

Zapewne nie przypuszczała nigdy, że biała suknia i panieński welon wyznaczy jej nowe miejsce na ziemi, ziemi poznańskiej, jak najbardziej polskiej - piastowskiej.

Z tej miłości urodziło się troje dzieci. Pierwszym był syn **Leszek**, drugim **Jan**, który zmarł po porodzie, trzecim dzieckiem była córka **Ewa**.

Tęsknota

Gizela tęskniła za swoimi krewnymi. Gdy opuszczała Słupsk, żyła przecież ciotka Magdalena **Däske** i jej syn, a kuzyn **Gizeli Albert**.

Rozterki **Gizeli** zauważył teść **Józef**.

- Szukaj Gabrysia swoich, bo nazywał ją Gabrysią. To twoja krew. Musisz ich odnaleźć, musi ktoś z nich żyć, to niemożliwe, aby wszyscy poumierali. Musisz wierzyć w to, że gdzieś są. Na pewno ich znajdziesz.

Gizela postanowiła skorzystać z rady teścia i zdobyć informacje o losie ciotki i kuzyna.

Teść pomagał jej, jak mógł. Jeździł z nią do konsulatu niemieckiego do Wrocławia. Pisał wspólnie z **Gizelą** listy do różnych instytucji.

Pomocnym, po wielu próbach, okazał się Czerwony Krzyż.

Był rok 1958.

Odnalazł się kuzyn Albert **Däske**, ciotka **Magdalena** i stryj **Albert**, który przeżył wojnę.

Wpadła w euforię.

Dostała zgodę na wyjazd do Niemiec, do NRD, do miejscowości Parchim, koło Schwerina. Z synową pojechał, jako tłumacz teść, bo **Gizela...** zapomniała przez te 13 lat od wojny języka niemieckiego.



Od lewej Marian Róžański, mąż Gizeli, Gizela Róžańska, Inge Däske, żona kuzyna Alberta, Magdalena Däske, matka kuzyna Alberta, Albert Däske, stryj Gizeli. Dziecko z przodu Birgid Däske córka Alberta s. Alberta i Inge. Zdjęcie robił kuzyn Gizeli Albert Däske. Parchim (dawne NRD), rok 1958. Fot.arch. rodz.

Dopiero po spotkaniu z **Albertem** i kilkudniowych rozmowach, coś się odblokowało i odzyskała umiejętność mówienia po niemiecku.

Tam zobaczyła ponownie zdjęcia rodzinne, z pogrzebu swojego ojca, z rodzinnych uroczystości, z pobytu u stryjka we Wrześciu.

Od tego czasu nawiązał się kontakt rodzinny. Co roku były odwiedziny - raz w NRD, raz w Polsce.

Normalne zwykłe życie

Marian był murarzem, pracował na budowach. Roboty było dużo, szczególnie w Poznaniu, gdzie po wojennych zniszczeniach trzeba było odbudowywać miasto, a w nim zniszczone kamienice. W jednej z nich, **Marian** - złota rączka, urządził żonie „gniazdko” adaptując strych. Tam **Różańscy** mieszkali do 1966 roku.

W 1964 roku **Marian Różański** zmienił pracę, na montera w miejskiej gazowni. Po dwóch latach otrzymał dwupokojowe mieszkanie w bloku. W gazowni pracował do emerytury.

Gizela nie była „kura domowa”. Całe życie pracowała, a dzieci **Leszka** i **Ewę** do południa niańczyła babcia **Różańska**. Pierwszą pracę **Gizela** podjęła w fabryce obuwia, jako robotnica. Później aż do emerytury pracowała również na robotniczych stanowiskach.

W roku 1990 przeszła na emeryturę.



Gizela Różańska z kuzynem Albertem Däske. Poznań 1973 rok. Fot. arch. rodz.



Gizela Różańska z mężem Marianem. Mrzeżyno 1977 rok. Fot. arch. rodz.

Oboje **Gizela** i **Marian** już nie żyją. On zmarł 15 lutego 1999 roku, ona 4 stycznia 2011 roku. Spoczywają razem w grobie rodzinnym w Poznaniu na cmentarzu na Miłostowie.

Epilog

Mówi córka Gizeli **Różańskiej** z domu Däske Ewa **Augustyniak**:

- Mama do końca swoich dni w głębi duszy pozostała wyznania ewangelickiego, chociaż niewiele rozmawiała z nami o swojej niemieckiej przeszłości. Czuła się Polką.

*Po jej śmierci napisałam maila do Słupska do księdza Wojciecha **Frohlicha**, proboszcza parafii ewangelickiej. Podałam dane mamy. Dostałam odpowiedź, że urodziła się 4 czerwca 1930 roku w Słupsku i że mieszkała wtedy przy ulicy Szkolnej (Schulestr.).*



Gizela Różańska z dziećmi i wnuczką. Obok Gizeli: stoi córka Ewa Augustyniak, siedzą, wnuczka Małgorzata Augustyniak i syn Leszek Różański. Poznań 2007 rok. Fot. arch. rodz.

POŁĄCZYŁA ICH SZKOŁA WE WRZEŚCIU. 1945-2015

*Od ks. **Wojciecha** dostałam adres mailowy do pana, panie **Andrzeju** i tak dzisiaj mogę z bratem **Leszkiem** gościć pana w naszym domu w Koziegłowach i opowiadać o niezwykłych losach mojej kochanej mamy. Zwykłej dziewczynce z niemieckiego Stolpu i niemieckiego Freistü, która stała się Polką i ze swoim mężem, swoje dzieci wychowała na zwykłych uczciwych ludzi, polskich patriotów.*

W domu u pani **Ewy** rozmawialiśmy długo o losach ich mamy, która była uczestnikiem kilkumiesięcznego marszu do Grudziądza. Marszu, w którym setki, a może tysiące słupskich Niemców płaciło za chore idee i zbrodnie niemieckich faszystów. Mam pewność, że los każdego z tych tysięcy, mógłby być kanwą pasjonujących wspomnień.

Oczywiście nie jest to możliwe, aby przywołać imiennie pamięć wszystkich. Niech zatem **Gizela** będzie symbolem człowieka ponad podziałami i niech jej towarzyszą dwa inne symbole prawdziwego człowieczeństwa: ojciec i syn - Józef i Marian **Różańscy**.

WRZEŚCIE - PIERWSZE LATA POLSKOŚCI

Cezurą dla historii większości miejscowości dzisiejszego powiatu Słupskiego jest dzień 8 marca 1945 roku. I czy to się komuś podoba, czy nie - dzień ten oznacza koniec niemieckości tych ziem, a początek na tych terenach Polski.

Oczywiście nie stało się to z dnia na dzień.

Był to niewątpliwie proces, ale na tyle szybki, jak to tylko było na tamte czasy i ówczesny potencjał gospodarczy, polityczny i społeczny - możliwe. Polskie osadnictwo na zdobytych przez Armię Czerwoną niemieckich terenach dzisiejszej Ziemi Słupskiej rozpoczęło się niemal natychmiast po wkroczeniu wojsk 2. Frontu Białoruskiego.

Na marginesie należy dodać, że na użytek książki, w tym rozdziale, już od samego początku opisu zdarzeń, czyli od dnia 8 marca 1945 roku, będziemy używać polskich nazw miejscowości, chociaż oficjalnie zaczęły one funkcjonować znacznie później i podlegały wielu zmianom.

Wybuch II wojny światowej w 1939 roku i jej trwanie przez okres ponad 5 lat oznaczał - praktycznie dla wszystkich mężczyzn - obywateli III Rzeszy, pobór do wojska. Zaciąg nie ominął również mężczyzn z niemieckiego Wrześcia. Większość z nich poległa, a ci którzy przeżyli, przeważnie swoje rodziny odnaleźli dopiero po wojnie na

terenie Niemiec w Niemieckiej Republice Federalnej lub Niemieckiej Republice Demokratycznej.

We wsi pozostały tylko kobiety, dzieci i osoby starsze. Do pomocy w prowadzeniu gospodarstw rolnych, które musiały prosperować, aby produkować żywność, głównie na cele wojska, przydzielano robotników przymusowych przywożonych tutaj z podbitych krajów. Stanowili oni przez okres wojny niewolniczą, darmową siłę roboczą, często ponad miarę wykorzystywaną i źle traktowaną.

Na przełomie 1944 i 1945 roku Niemcy, głównie z miast i miasteczek Prus Wschodnich i Pomorza Gdańskiego, gremialnie uciekali przed zbliżającą się Armią Radziecką. Duża część z tych uciekinierów swoją wędrówkę zakończyła na Pomorzu Środkowym. Dlatego miasta i wsie, tego obszaru, w dniu wkroczenia Rosjan były przeludnione. Dotyczyło to również Wrześcia.

Nie jest dzisiaj łatwo, z perspektywy 70. lat zrozumieć atmosferę i świadomość ludzkich umysłów z tamtego okresu, zarówno Niemców, Polaków czy Rosjan.

Większość Niemców zdawała sobie doskonale sprawę z ogromu zbrodni popełnionych przez SS i Wehrmacht w Polsce i na Wschodzie w Związku Radzieckim.

Strach przed zemstą Rosjan wśród Niemców był ogromny. Pchał on ich do uciezek na Zachód za wszelką cenę, często uciekali się oni do aktów samobójczych, aby tylko nie dostać się w ręce Rosjan. Ów strach potęgowała nie tylko szeptana międzyludzka plotka o „wyczynach” Rosjan, ale również oficjalna propaganda głoszona głównie przez fanatycznych SS-manów.

Wieści te nie były bezpodstawne.

Wśród Rosjan było ogromne poczucie krzywdy, jakiej doznali oni i ich bliscy z bestialskich rąk niemieckich. Wielu pałało chęcią zemsty. Tym bardziej, że żołnierze radzieccy mieli pewne przyzwolenie swoich władz zwierzchnich do działań na szkodę Niemców, głównie od momentu, kiedy wojska Armii Czerwonej przekroczyły przedwojenną granicę polsko-niemiecką.



Niemcy z Prus Wschodnich uciekają przed Armią Czerwoną. 1945 rok. Fot. wyborcza.pl

W tamtym czasie znany radziecki pisarz, a w roku 1945 korespondent wojenny Ilja **Erenburg** w swoich artykułach nawoływał:

Nie licz dni, nie licz kilometrów, licz jedynie trupy Niemców, których zabiłeś. Zabijaj Niemców - o to modli się twoja matka. Zabijaj Niemców - do tego wzywa cię Rosja. Nie wahaj się. Nie przepuszczaj okazji. Zabijaj.

Był to wyraz oficjalnej radzieckiej propagandy, dającej prawo żołnierzom do zemsty na Niemcach za ich okrucieństwa na obywatelach Związku Radzieckiego podczas niemieckiej kampanii na Wschodzie. Za mordowanie bezbronnej ludności, kobiet i dzieci, za złe traktowanie jeńców - żołnierzy Armii Czerwonej, przez Niemców.

Części niemieckich uciekinierów w 1945 roku udało się przedostać na terytorium przyszłych Niemiec, do amerykańskiej strefy okupacyjnej, ale wiele tysięcy podczas tych „wędrowek” zginęło z głodu, zimna, wyczerpania, wiele tysięcy ofiar pochłonęło Morze Bałtyckie w zatopionych przez Rosjan statkach z uciekinierami. Był to okres gehenny ludności niemieckiej, która płaciła wysoką cenę za swoją zgodę na nazistowską politykę faszystowskiej III Rzeszy Niemieckiej wydaną w latach 30. XX wieku.



Gehenna nie ominęła również tej części niemieckiej ludności, która dostała się „w ręce” Rosjan, chroniąc się na wsi lub na niej pozostając.

Nie inaczej było we Wrześciu. W dniu wkroczenia żołnierzy radzieckich do wsi była ona znacznie przeludniona, głównie uchodźcami ze Słupska i z Prus Wschodnich. Większość stanowiły kobiety, dzieci i ludzie starzy. Dla wszystkich tych ludzi nastały sądne dni.

Jednak, za źródłami niemieckimi, trzeba dodać, że nie było we Wrześciu aktów grabieży, pobicia i porwania. Chociaż swoim zwyczajem, Rosjanie szukali sprzymierzeńców Hitlera i wymierzali im „sprawiedliwość”.

Pośród wielu relacji tylko jedna osoba wskazała przypadek zgwałcenia i zamordowania przez żołnierza radzieckiego młodej Niemki. Miało to miejsce w Lękwicy.

Negatywny stosunek do Niemców przejawiali w tym czasie, tzn. w latach ich bytności we Wrześciu, również niektórzy Polacy, przybyskający coraz liczniej na te ziemie, również do Wrześcia.

Dobrym przykładem takiej niechęci Polaków do Niemców, chociaż, jak pokaże przykład nie wszystkich, jest sprawa odmowy uposażenia dla Niemki Erny **Ness**, która została zatrudniona przez Stanisława **Bednarskiego** w szkole we Wrześciu jako woźna. Oto fragment z protokołu z posiedzenia Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Lubuczewie w dniu 6 listopada 1946 roku w tej sprawie (pisownia oryginalna):

Pkt. 6

Prezydium po rozpatrzeniu pisma kierownika szk. Powszechnej w Wrzeszczu adresowanego do zarządu gminnego w Lubuczewie w sprawie wypłacenia Niemce Ness Ernie zatrudnionej w szkole w charakterze woźnej poborów za 2 miesiące Prezydium po dłuższej dyskusji uchwala sprawą pozostawić bez załatwienia i powiadomić kierownictwo szkoły że sprawa przyjmowania woźnych do szkół należy do kompetencji zarządu gminnego i na przyjęcie woźnego winna być zawarta umowa o pracy ustalająca należne wynagrodzenie gdyż zarząd gminny w tym wypadku nie ma podstawy prawnej do wypłaty. Jednocześnie Prez. R.N. Wychodzi z założenia, że praca Niemki nie

jest całodzienna a ogranicza się jedynie do uprzątnięcia lokalu szkolnego co zajmuje zaledwie parę godzin i takowa Niemka z powodzeniem może takową pracę wykonywać bezpłatnie a tym bardziej, że wymieniona Niemka zamieszkuje w lokalu szkolnym tym samym korzysta z bezpłatnego mieszkania.

Oczywiście nie było tutaj mowy o jakichkolwiek naruszeniach netykalności cielesnej, gwałtach czy rozbojach na ludności niemieckiej, ale tylko negatywnym stosunku do Niemców, co wzięwszy pod uwagę wszystkie doznane, delikatnie to ujmując - „niegodziwości” w okresie II wojny światowej, było w tym czasie całkowicie zrozumiałe i uzasadnione. Nadmienić należy, że wyrazem tej niechęci było nagminne pisanie przez Polaków słowa „Niemcy” małą literą „n”, nawet przez umiających poprawnie pisać urzędników polskich.

Innym, całkiem odmiennym przykładem stosunku Polaków do Niemców była postawa Polki Zofii **Nagy** z Wrześcia. Otóż w 1947 roku została zorganizowana kolejna, jedna z ostatnich wywozek Niemców za Odrę. Nie tylko z samego Wrześcia, ale również z innych pobliskich miejscowości.

Niemców pognano szosą do Słupska, na dworzec kolejowy przy ulicy Wojska Polskiego. Tam mieli być zapakowani na eszelon.

Pani Zofia **Nagy** ugotowała duży gar grochówki, przelała go do kany na mleko i poprosiła swojego brata Jana **Ciesielskiego**, aby tę grochówkę na rowerze zawiózł głodnym Niemcom. Janek **Ciesielski** popedałował z przytroczoną do ramy rowerowej kaną zupy do Słupska. Tam, na dworcu, gdy wnosił grochówkę na peron, gdzie stali głodni i zziębnięci Niemcy, zatrzymał go polski strażnik pilnujący deportowanych i kazał mu tę grochówkę wylać.

Warto podkreślić tutaj, zasługującą na najwyższe uznanie, postawę Zofii **Nagy**, która przez wiele lat cierpiała permanentny głód w niemieckim obozie pracy, była poniżana i maltretowana przez Niemców, a w odruchu serca ulitowała się nad nimi - przedstawicielami narodu, od którego tyle wycierpiała.

Taki oto, był różny wzajemny stosunek ludzi odmiennych narodowości do siebie w tamtych pamiętnych czasach, drugiej połowy lat czterdziestych, również we Wrześciu.

I z taką wiedzą należy tamte pionierskie czasy dzisiaj odbierać, analizować i oceniać. Trudno zapewne odbierać je jednoznacznie.

Od dnia wkroczenia do wsi żołnierzy Armii Czerwonej władzę we Wrześciu zaczęła sprawować Radziecka Komendantura Wojenna, która stacjonowała w nieodległym Karzcinie.

Wojskowi, przystąpili niezwłocznie do sprawowania rządów, które polegały głównie, zgodnie z wytycznymi władz, na organizowaniu tzw. aprowizacji dla walczących wojsk i pozyskiwaniu mienia na potrzeby przemysłu zbrojeniowego Związku Radzieckiego.

Dla niemieckich mieszkańców Wrześcia nastały ciężkie chwile, głównie związane ze strachem, przed „dniem jutrzejszym”, głodem i niepewnością losu.



Budynek starej kuźni we Wrześciu. Widok z roku 2016. Fot. A. Obecny.

NKWD miało za zadanie wytropić i aresztować wszystkich tych Niemców, którzy sprzyjali nazistom lub stanowili aparat urzędniczy III Rzeszy. Dotyczyło to również ich rodzin. Do identyfikacji Niemców wykorzystywano zeznania robotników przymusowych z różnych państw, głównie Rosjan, ale też Polaków oraz obywateli państw alianckich, którzy byli w niemieckiej niewoli i tam pracowali. Nie brakowało również informatorów wśród samych Niemców, głównie tych, którzy nie sprzyjali Hitlerowi.

Już w dniu 9 marca Rosjanie zaczęli we Wrześciu, swoim zwyczajem, prowadzić śledztwo w poszukiwaniu nazistów, urzędników i ich rodzin. Zatrzymano kilku mężczyzn, którzy powrócili z frontu i przebywali w swoich domostwach. Wśród aresztowanych był m.in. Albert **Däske** - ostatni niemiecki wójt wsi.

Przeżył on rosyjskie aresztowanie i wraz z innymi został przesiedlony za Odrę. Spędził resztę życia w NRD i dożył, pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku, chwili odnalezienia swojej aresztowanej przez Rosjan bratanicy Gizeli **Däske**, która już wtedy miała obywatelstwo polskie.

Wiele niemieckich kobiet, mieszanek Wrześcia, już tego samego marcowego dnia 1945 roku, po krótkim śledztwie, zamknięto w miejscowym młynie. 9 marca popędzono je do miejscowości Gać, na punkt zborny, a potem do Grudziądza.

Wśród nich była 15-letnia Gizela **Däske**, której losy poznaliśmy wcześniej.

Rosjanie w 1945 roku przejmowali majątki i szykowali się do wiosennego obsiewania pól. Wczorajsi panowie - Niemcy, zostali zaprzęgnięci do ciężkiej pracy na rzecz zwycięskiej Armii Czerwonej.

We Wrześciu Rosjanie przejęli tylko młyn i gorzelnię. Nie byli zainteresowani, nie wiadomo dlaczego, majątkiem Wilhelma **Anhalt'a** w Kępnie.

Zaczął się również plądrowanie niemieckiego mienia.

To z tego okresu pochodzi słynne rozbieranie linii kolejowych z torowisk, które transportowano do radzieckich hut. Wprawdzie we

Wrześciu nie było linii kolejowej, ale niemieccy mieszkańcy byli wykorzystywani do rozbierania torów pomiędzy Karżcinem a Żelkowem.

W dużej mierze, jak wcześniej było powiedziane, żołnierze radzieccy mieli pewne swobody w złym traktowaniu Niemców. Dlatego zapewne zdarzały się akty grabieży i gwałty, chociaż źródła niemieckie w przypadku Wrześcia o tym nie wspominają.

Do dnia 30 marca 1945 roku znajdujący się we Wrześciu przybysze z Prus Wschodnich i niektórzy stali niemieccy mieszkańcy musieli opuścić miejscowość. Większość z nich, jak podają źródła niemieckie, udała się do Wieszyna, aby tam poszukać schronienia. Prawdopodobnie było to związane z szykowaniem we Wrześciu miejsca dla polskich osadników. We wsi nie kwaterowali Rosjanie i nie przejęli majątku rolnego, dlatego była im całkowicie zbędna tutejsza niemiecka siła robocza.

Już w lecie 1945 roku wieś przejęła polska administracja. Rok później w dniach od 6 do 8 czerwca 1946 roku niemieccy mieszkańcy Wrześcia wyjechali transportem do Niemiec. Większość wysiedleńców trafiła i pozostała w rosyjskiej strefie okupacyjnej, przekształconej później w Niemiecką Republikę Demokratyczną.

Na miejscu pozostali nieliczni. Niektórzy nawet do końca lat pięćdziesiątych byli to ci z Niemców (oraz ich rodziny), którzy mieli niebieską i czerwoną kartę reklamacyjną, jako przydatni fachowcy do pracy na rzecz polskiej gospodarki lub Armii Czerwonej.

Pierwszy „rzut” polskich osadników we Wrześciu stanowili Polacy przebywający tutaj - w czasie wojny, na przymusowych robotach lub będący więźniami najróżniejszych na Pomorzu niemieckich obozów: pracy, jenieckich (oflagów i stalagów) lub obozów koncentracyjnych.

W drugiej kolejności na tych terenach, w tym również we Wrześciu, pojawili się równolegle: osadnicy z terenów centralnej i południowej Polski, a także z Kaszub, którzy pragnęli otrzymać ponemieckie gospodarstwo i ziemię. W tym samym czasie zjawili się pierwsi polscy repatrianci z polskich Kresów Wschodnich oraz powracający z głębi Rzeszy robotnicy przymusowi i żołnierze formacji wojskowych na Zachodzie.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że jesienią do Wrześcia z Końskich przybył Stanisław **Bednarski**, który już 19 grudnia 1945 roku uruchomił we wsi Szkołę Powszechną.

W tym czasie nauką objęto ponad dwudziestu uczniów, zatem na tej chociażby podstawie należy przypuszczać, że była tu już pokaźna liczba polskich osadników.

Wśród pierwszych polskich przybyszy byli również i to wcale niemało zwykli polscy szabrownicy, kombinatorzy i złodzieje oraz ci, których celem było wzbogacić się poprzez zagarnięcie poniemieckiego mienia. Ci poruszali się tuż za Armią Radziecką.

Pod koniec 1945 roku organizowano na Ziemiach Odzyskanych w miastach i na wsiach osadnictwo wojskowe, polegające głównie na przydzielaniu gospodarstw rolnych zdemobilizowanym żołnierzom Ludowego Wojska Polskiego.

Załączki Związku Osadników Wojskowych w powiecie słupskim powstały pod koniec 1945 roku. Organizatorami zarządu powiatowego byli: Konstanty **Mikucki**, Marian **Krasnowski**, Józef **Skibiński** i Aleksander **Snopkowski**.

Pierwszą siedzibą Zarządu Powiatowego ZOW w Słupsku był dom mieszkalny przy ul. Stalina 2 (dzisiaj ul. Tuwima 2), a następnie przy Alei Popławskiego 3 (dzisiaj Aleja Sienkiewicza 3).

Sekretarzem Związku Osadników Wojskowych była Zofia **Mikucka**.

Tak wspomina ona początki Związku Osadników Wojskowych w Słupsku:

Prowadziłam w Gorlicach w jednostce wojskowej kasyno, a gdy dostaliśmy polecenie założenia Związku Osadników Wojskowych z ramienia MON - po demobilizacji męża wyjechalśmy do Słupska i tu zakładaliśmy Związek Osadników Wojskowych na placu gdzie dziś stoi pomnik Henryka Sienkiewicza.

Zatrzymywaliśmy przejeżdżających wojskowych i w ten sposób został zorganizowany Związek. Bez lokalu, bez maszyn biurowych, papieru i poborów.



*Pierwsza siedziba Związku Osadników Wojskowych przy ulicy Tuwima 2.
Widok z roku 2013. Fot. Andrzej Obecny.*

Praca związku koncentrowała się głównie na pomocy osadnikom-rolnikom oraz wdowom i dzieciom po poległych żołnierzach. Związek mocno integrował środowisko osadników wojskowych.

Już w kwietniu 1945 roku na teren Ziemi Słupskiej, a ściślej dzisiejszego powiatu słupskiego przybywali z tzw. „nakazu pracy” przedstawiciele polskiego rządu z zadaniem organizowania polskiej administracji, oświaty, służby zdrowia, systemu aprowizacji itp.

Do organizacji administracji polskiej przystąpiono po przyjeździe do Słupska w dniu 12 kwietnia 1945 roku grupy operacyjnej z Janem **Kracukiem**, pełniącym funkcję obwodowego Pełnomocnika Rządu Rzeczypospolitej Polskiej.

W dniu 21 kwietnia 1945 roku został utworzony Urząd Pełnomocnika Rządu na obwód słupski.

Już w kwietniu i maju utworzono 53 polskie gminy wiejskie, oparte na niemieckim podziale administracyjnym, a w dniu 1 lipca 1945 roku powołano w tych wsiach polskich wóldarzy, których właściwie można porównać do dzisiejszych sołtysów. We Wrześciu na tę funkcję został wyznaczony Józef **Walczak**, z poborami wynoszącymi 300 złotych.

Podział na 53 gminy nie utrzymał się długo i praktycznie nie został wcielony w życie - pozostał tylko na papierze na biurku wojewody. Już w październiku dokonano reformy administracyjnej i w miejsce istniejących gmin powołano tzw. gminy zbiorcze w ilości 19. Władzę w nich sprawowały Gminne Rady Narodowe, które swoje siedziby miały w następujących miejscowościach powiatu słupskiego: Bruskowo Wielkie, Damnica, Dębica Kaszubska, Duninowo, Gardna Wielka, Główny, Kobylnica, Lubuczewo, Łupawa, Mikorowo, Motarzyno, Nożyno, Pobłocie, Potęgowo, Rokity, Ryczewo, Stara Dąbrowa, Wytowno, Zelkowo (Żelki, dzisiaj Zelkówko).

Wrzeście nazywane wtedy w urzędowych pismach Wrzeszcz znalazło się w gminie Lubuczewo wraz z innymi wsiami tej gminy, które stanowiły gromady. W gminie Lubuczewo było ich początkowo sześć o nazwach: Karczyno, Lękowica, Lubuczewo, Wrzeszcz, Wiklino i Zaruchowo, a potem dodano jeszcze dwie: Swochowo i Kępno.

Przez krótki okres nazwę Wrzeszcz zastąpiła nazwa Września, by około 1952 roku przybrać na stałe dzisiejszą nazwę Wrzeście.

Od późnej wiosny 1945 roku, a od lata w miarę masowo Państwowy Urząd Repatriacyjny w Słupsku kierował przybywających osadników do Wrześcia.

Rodzina Ludwika **Ciesielskiego** do Wrześcia przybyła już późną wiosną 1945 roku. Przykład ich osadnictwa w tej ponemieckiej wsi jest typowy dla pierwszych osadników - Polaków, przybywających na Ziemię Odzyskaną.

Wiosną 1945 roku Ludwik **Ciesielski** powrócił do Brus na kaszubskich Gochach z robót przymusowych w III Rzeszy. Trafiła do niego wiadomość z gazety, że na ponemieckich ziemiach na Pomorzu Polacy mogą obejmować gospodarstwa rolne. Dla bezrolnego wyrobnika była

to duża szansa na własną gospodarkę. Zgłosił się do Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, a tam - ku swojemu zaskoczeniu - „od ręki” otrzymał skierowanie do Słupska.

Natychmiast tam pojechał, tym bardziej, że odległość z Brus nie była zbyt duża. Po otrzymaniu w miejscowym urzędzie repatriacyjnym przydziału na gospodarstwo rolne we Wrześciu udał się w kierunku północnym i tak poprzez Ryczewo trafił do celu.

Upatrzył sobie gospodarstwo, w którym nadal mieszkali niemieccy właściciele o nazwisku **Woldach**, a wraz z nimi „niedobitki” uciekinierów z Prus Wschodnich.

Ludwik **Ciesielski**, na mocy urzędowego nakazu objął gospodarstwo: zabudowania i 9,25 ha ziemi. W ten sposób bezrolny przedwojenny wyrobnik stał się gospodarzem. Wczesną jesienią do głowy rodziny dołączyli pozostali jej członkowie: żona, córka **Genowefa**, synowie **Jan** i **Józef** oraz córka **Zofia** z narzeczonym **Stefanem Nagym**. W dniu 10 października 1945 roku młodzi wzięli ślub w kościele katolickim p.w. św. Ottona w Słupsku, którego udzielał im polski kapłan ks. Jan **Zieja**.



Rodzina Ludwika Ciesielskiego • od lewej) Stefan Nagy, Piotr Nagy, Ludwik Ciesielski, Jan Ciesielski, Zofia Nagy, Genowefa Ciesielska (po mężu Sopata) i Joanna Ciesielska. Fot. arch. P. Nagy.

Niejako, za przykładem pierwszych osadników przybywali inni. W latach pierwszego spisu powszechnego na Ziemiach Odzyskanych, który odbył się pod koniec lat czterdziestych XX wieku, we Wrześciu było już 18 gospodarstw rolnych zamieszkałych przez Polaków.

Oto alfabetyczny spis niektórych osadników-pionierów z gromady Wrzeście oraz numery posesji, w których mieszkali: Jan **Bo-gucki** nr 19, Florentyna **Brzezińska** nr 5, Ludwik **Ciesielski** nr 27, Franciszek **Dawidowski** nr 8, Wiktor **Florek** nr 35, Kazimierz **Grabarek** nr 37, Stefan **Grabarek** nr 36, Stanisław **Grzybek** nr 17, Irena **Januszewska** nr 8, Ludwika **Klusek** nr 8, Michał **Kopacz** nr 4, Stefan **Kuleta** nr 34, Stefan **Lemański** nr 11, Zdzisław **Łosiewicz** nr 1, Stanisław **Młyński** nr 43, Kazimierz **Nowakowski** nr 6, Stefan **Pałosz** nr 29, Bolesław **Pieczykolan** nr 26, Władysław **Pie-ruń** nr 12, Wincenty **Samiec** nr 13, Helena **Świerszcz** nr 20, Jan **Świerszcz** nr 21, Stanisław **Świerszcz** nr 33, Franciszek **Świtoń** nr 16, Janina **Wandachowicz** nr 9, Stanisław **Węclawik** nr 31, Jan **Żołnowski** nr 3.

Ponadto wśród wymienianych polskich mieszkańców Wrześcia z lat czterdziestych XX wieku można w dokumentach odnaleźć jeszcze następujące osoby: Jan **Kruk**, Wiktor **Łagunionek(?)**, Julian **Micha-łowski**, Jan **Rożen**, Antoni **Żuchniak**. Nie ma w tym nic dziwnego, że wiele wymienionych tutaj nazwisk we Wrześciu nie jest znanych, ponieważ przemieszczanie się ludzi w tamtych czasach było nagminne. Często zmieniano miejsce zamieszkania z różnych przyczyn: aby polepszyć sobie warunki bytowania, czy chociażby zagarnąć otrzymane mienie i powrócić do Centralnej Polski.

Oczywiście lista ta nie wymienia wszystkich pierwszych osadników. Część z nich mieszkała w nieruchomościach niebędących ich własnością, jak chociażby państwo Stefania i Stanisław **Bednar-scy** - organizatorzy szkoły we Wrześciu, Maciej **Kolański** - przewodniczący GRN w Lubuczewie, Janusz **Zagożdżon** - sekretarz Komitetu Gminnego PZPR, czy wielu innych mieszkających nie „u siebie”.

Według spisu powszechnego Wrzeście, na początku lat pięćdziesiątych, była najliczniejszą, pod względem liczby mieszkańców, wsią gminy Lubuczewo i liczyło ponad 350 mieszkańców. Biorąc pod uwagę niewiele, jak na taką populację nieruchomości mieszkalnych należy przypuszczać, że w tej liczbie było dużo dzieci. Dlatego nie dziwi, że pierwsza szkoła i pierwsze przedszkole w gminie Lubuczewo powstały właśnie tutaj.

Nie wszyscy przybysze obejmowali gospodarstwa. Niektórzy podejmowali pracę na gospodarstwach u rodziny lub u gospodarzy, a od 1949 roku jako robotnicy rolni, w Państwowych Gospodarstwach Rolnych lub w rolniczych spółdzielniach produkcyjnych.

Nie zawsze pracownicy ci wywiązywali się dobrze ze swoich obowiązków. Pierwsi przybysze byli ludźmi prostymi, często niepiśmieniymi, wielu z nich nigdy nie posiadało jakiejkolwiek własności, a państwową traktowali jak niczyją.

Oto fragment protokołu z obrad Prezydium GRN w Lubuczewie, poruszający ten problem (pisownia oryginalna):

...Dozorca dróg gminnych nie docenia swej pracy kilkakrotnie był w stanie nietrzeźwym w godz. pracy, dostał przez b. Wydział Komunikacyjny nagane z zastrzeżeniem, która poskutkowała częściowo. Prezydium było słabo zainteresowane i nie wpływało na prace dozorczy dróg gminnych...

Później, gdy nastały PGR-y i spółdzielnie produkcyjne z tą niską świadomością społeczną i pijaństwem było już tylko gorzej.

Władzę w terenie sprawował wójt, który stał na czele Gromadzkiej Rady Narodowej. Najczęściej był na stanowisko wybierany zupełnie przypadkowo.

Pierwszy skład Gromadzkiej Rady Narodowej w Lubuczewie, ustalony na podstawie protokołu z obrad prezydium z dnia 27 listopada 1945 roku, najprawdopodobniej przedstawiał się następująco: Władysław **Dworecki** (przewodniczący), Jan **Kruk** (mieszkaniec Wrześcia), Leon **Okrasa**, Czesław **Cekała**, Antoni **Żuchniak** (mieszkaniec Wrześcia).

O trudnościach z adaptacją na Ziemiach Odzyskanych w 1945 roku pierwszych osadników można wnioskować choćby z problemów zaistniałych przy tworzeniu polskich nazw miejscowości i podległości administracyjnej.

Pierwsze dokumenty wystawiane były nie na Wrzeście, a na Wrzeszcz, a do dzisiaj niektórzy starsi mieszkańcy jadą do Karczyna zamiast do Karęcina. Administracyjnie do 1952 roku Wrzeście należało do gminy Lubuczewo. Po zmianie, od tegoż roku aż do 1 stycznia 1973 roku władze lokalne pod administracyjną nazwą gromada miały siedzibę we Wrześciu. Po zlikwidowaniu gromad i przywróceniu gmin do dzisiaj Wrzeście jest częścią gminy wiejskiej Słupsk.

Jeszcze więcej zmian następowało w przynależności do administracji wyższego szczebla. Choć przez większość lat Wrzeście należało do powiatu słupskiego (z oczywistą przerwą, kiedy powiatów nie było) to z województwami już tak dobrze nie było.

Najpierw przez pierwszy okres powojenny mieszkańcy Wrześcia przydzieleni zostali do tzw. III okręgu administracyjnego - Pomorze Zachodnie z siedzibą w Szczecinie.

Od 25 września 1945 roku władze administracyjne tego okręgu mieściły się w Gdańsku. Już jednak od 28 czerwca 1946 roku sprawy wojewódzkie załatwiać trzeba było znowu w Szczecinie.

Droga do wojewody skróciła się po kolejnej reformie administracyjnej, która nastąpiła 6 lipca 1950 roku. Wtedy stolica województwa znajdowała się w Koszalinie. Najbliżej do siedziby województwa było mieszkańcom od 1 czerwca 1975 roku do 31 grudnia 1998 roku, ponieważ powstało województwo słupskie, a do Słupska jest tylko 13 kilometrów.

Dziś, podobnie jak na początku tej drogi, wrześcianie muszą jeździć do Gdańska. Ciekawe, czy to już koniec zmian?

Koniec lat czterdziestych XX wieku był początkiem zmian ustrojowych w Polsce, również na wsi słupskiej, co szczególnie dotyczyło osadników, którzy otrzymali gospodarstwa rolne i ziemię. Na skutek zmian związanych z przebudową wsi została osłabiona motywacja



Plakat agitujący do wstępowania do spółdzielni rolniczej. Fot. internet.

rolników-osiedleńców do gospodarowania. Czuli się oni zawiedzeni i oszukani, wielu opuściło swe gospodarstwa, wielu sprzeciwiało się przystępowaniu do proponowanych form gospodarowania.

Chodziło o kolektywizację rolnictwa, która w Polsce rozpoczęła się po decyzji podjętej przez Komitet Centralny Polskiej Partii Robotniczej we wrześniu 1948 roku. Było to pokłosiem rezolucji Kominformu z czerwca 1948 o rozpoczęciu kolektywizacji we wszystkich państwach w sferze wpływu Związku Radzieckiego.

Mimo zastosowania przez ówczesne władze środków

agitacji i przymusu, jednak nie na tyle silnego, aby zupełnie zlikwidować gospodarstwa indywidualne, do 1951 roku powstało w Polsce tylko 2200 spółdzielni, zajmujących zaledwie 0,8% gruntów rolnych w kraju i zrzeszających tylko 23 tys. członków. W późniejszych latach spółdzielni ubywało. W roku 1963 było ich już tylko 1338 i gospodarowały tylko na 224 tys. ha gruntów.

Na Ziemi Słupskiej te statystyki były jeszcze gorsze. Sprawę uspołecznienia rolnictwa ratowały PGR-y.

Do spółdzielni przystępowali głównie chłopio niskim statusie ekonomicznym. W centralnej Polsce byli to ci, którzy otrzymali ziemię w wyniku parcelacji podczas reformy rolnej w okresie 1944-1948, a na Ziemiach Odzyskanych mała część osadników, którzy otrzymali ziemię podczas parcelacji majątków poniemieckich i osadnicy, którzy przybyli

na Ziemi Zachodnie Północne w drugiej połowie lat czterdziestych ubiegłego wieku. Wśród tych ostatnich duży odsetek stanowili osadnicy z Akcji Wisła.

We Wrześciu dopiero w roku 1950 powstała spółdzielnia produkcyjna. Mimo dużej agitacji nie cieszyła się wśród miejscowych rolników wzięciem, zrzeszała tylko 12 gospodarzy, reszta z liczby 44 odmówiła. Wywierano na nich określone naciski i szykany.

Na przykład Ludwikowi **Ciesielskiemu**, który odmówił wstąpienia do spółdzielni zabrano pastwisko, które miał we Wrześciu, a w zamian dano łąkę o podobnym areale w miejscowości Czołpino koło Smołdзина, odległej od Wrześcia o około 30 km.

Wyprawa po zbiór siana, jednym koniem i drabiniastym wozem trwała kilkanaście godzin. Ludwik **Ciesielski** wyjeżdżał już o godzinie 2. rano, a z sianem wracał trochę przed północą, ale pomimo tego nie załamał się i do spółdzielni nie przystąpił.

Oto fragment sprawozdania rocznego Gminnej Rady Narodowej za 1951 rok wspominającej o Spółdzielni Produkcyjnej we Wrześciu (pisownia oryginalna):

W 1950 roku została założona Spółdzielnia Produkcyjna we Wrześciu licząca 12 członków z małorolnych i średniorolnych chłopów...

i dalej

...dla Spółdzielni we Wrześciu Prezydium dało do prac zbiorowych pól młodzież szkolną i SP. Jednakże praca w tej spółdzielni nie idzie pomyślnie brak wspólnej pracy pomiędzy samymi członkami tak i Zarządu w tym Prezydium mało udzielało pomocy i opieki a to z powodu że Prezydium słabe jest w podołaniu pracy swej. Należałoby zmienić zarząd Spółdzielni we Wrześciu celem usprawnienia pracy. Zarząd Spółdzielni Wrzeście dotychczas nie rozliczył członków za całoroczną pracę, a to z powodu braku rachunków do księgowania i braku bilansu...

Sprawozdanie podpisał ówczesny Przewodniczący Prezydium GRN Maciej **Kolański**.

Członkowie spółdzielni nie bardzo przykładali się do pracy na wspólnym majątku. Był on rozkradany i marnotrawiony. Nie bardzo

kryto się z zaborem wspólnego mienia. Powszechne były przypadki kradzieży paszy, ledwo co urodzonych prosiąt, ziarna w czasie żniw, plonów, mleka, materiałów budowlanych. Co zdumiewające owa kradzież nie była społecznie napiętnowana.

Wrzeście po wojnie było gromadą w gminie Lubuczewo. Pierwsze lata funkcjonowania władzy samorządowej w terenie były fatalne. Wynikało to przede wszystkim z braku fachowych sił. Na funkcyjnych w gminie lub gromadzie wyznaczano ludzi niemalże na siłę. Przy tym byli to przeważnie rolnicy lub zwykli robotnicy rolni o małym i niewystarczającym wykształceniu oraz nikłej wiedzy i zerowym doświadczeniu administracyjnym. Często prowadzili własne gospodarstwa i nie mieli czasu na pracę urzędniczą, mało płatną, a czasowo mocno absorbującą.

Oto fragment z jednego ze sprawozdań przewodniczącego GRN w Lubuczewie, który skarży się do powiatu na niemożliwość podołania obowiązkom (pisownia oryginalna):

...Przewodniczący Prezydium, który objął to stanowisko w miesiącu maju 51 r. jako były robotnik PGR nie orientował się w administracji, tak samo z-ca przewodniczącego Prezydium rolnik z gromady Lękowica, który ma do Prezydium przeszło 8 km. Jako stary liczący 60 lat jest mu ciężko codziennie chodzić, wykształcenie 3 kl. szkoły nie był na żadnych kursach przeto słaboorientuje się w administracji a jednak prowadzi Ref. Rolny który jest zaniedbany...

Sytuację w jakiś sposób ratowali nauczyciele, szczególnie młodzi, którzy trafiali do szkół wiejskich po ukończeniu utworzonych jeszcze w latach czterdziestych liceach pedagogicznych lub kursach dokształcających. Chętnie wyznaczano ich na radnych gminnych lub gromadzkich, a głównym zadaniem, jakim ich obarczano było pisanie wszelkich sprawozdań i protokółów. Idealnie do tego nadawały się młode nauczycielki.

Praca urzędnicza przerastała możliwości miejscowych jeszcze z jednego powodu, którym była niewystarczająca świadomość posiadania władzy. Wielu prostych ludzi myślało, że jak zostawali urzędnikami,

gdy powierzano im funkcję wójta, sołtysa, kierownika referatu gminnego, to wszystko było im wolno. W większości po objęciu urzędu byli wyniośli, apodyktyczni, interesowni, przekupni.

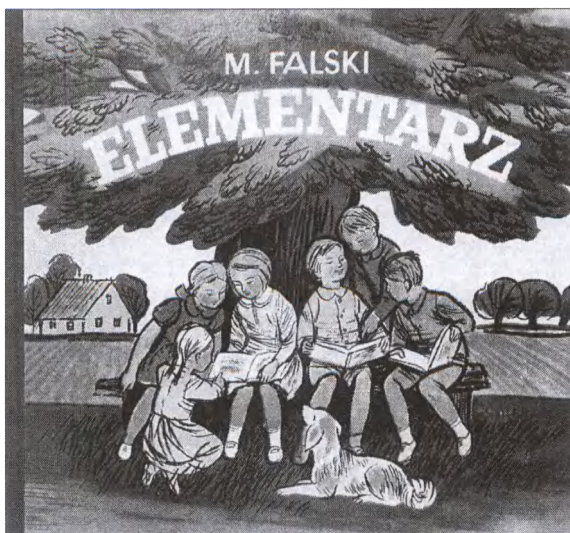
Mnożyły się donosy, anonimy, skargi i denuncjacje. Trafiały one głównie do miejscowej milicji, której funkcjonariusze byli jeszcze mniej przygotowani do swoich funkcji od urzędników gminnych. Były w tym czasie liczne aresztowania, jeszcze bardziej komplikujące sprawę obsady urzędniczej w gminach i gromadach.

Sprawę, pod koniec lat czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych, komplikowała dodatkowo nasilająca się walka klasowa czyli stalinizm, który szybki rozwój społeczny i gospodarczy pierwszych lat powojennych skutecznie zatrzymał, a wręcz cofnął o kilkanaście lat.

W społeczeństwie, a szczególnie na wsi poddawanej propagandzie kolektywizacji, zgasł entuzjazm pierwszych powojennych lat wolności, pojawiła się apatia, zwątpienie oraz beznadzieja na przyszłość.

Niezaprzeczalnym pozytywnym procesem w początkowym okresie polskiej bytności na Ziemiach Odzyskanych była walka z analfabetyzmem. Analfabetą jest człowiek nieposiadający umiejętności pisania i czytania, który skończył 10. rok życia.

Przywilej umiejętności czytania i pisania w dziejach Polski do XX wieku dotyczył przeważnie mniejszej



Elementarz Falskiego, dzięki któremu nauczyło się pisać i czytać wiele milionów Polaków, wśród nich byli również dorośli analfabeci. Fot. A. Obecny.

części społeczeństwa. W średniowieczu pisać i czytać potrafili jedynie przedstawiciele duchowieństwa i urzędnicy dworscy. Trwało to przez stulecia. Analfabetyzm obejmował ponad 90% polskiego społeczeństwa.

Paradoksem jest, że poprawiło się to dopiero pod zaborami. W 1870 roku w zaborze rosyjskim i austriackim analfabeci stanowili „niespełna” 80% społeczności, ale w zaborze pruskim już tylko 30%.

Tuż przed wybuchem I wojny światowej liczba analfabetów w poszczególnych zaborach była następująca: rosyjski 57%, austriacki 40% i pruski 3%.

Po odzyskaniu niepodległości i ustabilizowaniu sytuacji terytorialnej II Rzeczypospolitej analfabetyzmem było dotkniętych w 1921 około 33% Polaków (dane nie dotyczą innych narodowości II Rzeczypospolitej), a przed wybuchem II wojny światowej poziom ten wynosił średnio około 20%. Na wsi był o wiele wyższy od średniego.

Tuż po wojnie, ze względu na ogromne straty, przeważnie wśród inteligencji i mieszczaństwa, a także przez zaniechanie przez okupantów nauki w szkole polskich dzieci, prawdopodobnie odsetek analfabetów był wyższy od przedwojennego. Niestety nie udało się do tych danych dotrzeć.

Już w roku 1960 w Polsce było tylko 2,7% ludzi powyżej 10. roku życia, którzy nie umieli pisać i czytać.

W powojennej Polsce akcją likwidacji analfabetyzmu przeprowadził w latach 1949-1952 rząd Polski Ludowej.

Rozpoczęto już w roku 1945. Ówczesny Departament Oświaty i Kultury Dorosłych Ministerstwa Oświaty opracował projekt dekretu o obowiązkowym nauczaniu analfabetów. Jednak dopiero ustawa z 7 lipca 1949 roku wprowadziła obowiązek bezpłatnej nauki dla analfabetów i półanalfabetów od 14 do 50 roku życia.

Akcja trwała do 1952 roku.

Z analfabetyzmem walczono również we Wrześciu, co rozumiały, w oparciu o szkołę podstawową, angażując miejscowych nauczycieli. Pełnomocnikiem GRN w Lubuczewie do spraw analfabetyzmu został Stanisław **Bednarski**.

Warto przytoczyć fragment sprawozdania Gminnej Rady Narodowej w Lubuczewie za lata 1945-1950, dotyczący sytuacji gospodarczej i oświatowej oraz podjęcia walki z analfabetyzmem i pracy nad krzewieniem kultury w gminie (pisownia oryginalna, oddająca pojawiającą się nowomowę socjalistyczną):

...W roku 1946 została otworzona 1 szkoła podstawowa w gromadzie Wrzeście (w rzeczywistości w dniu 19 grudnia 1945 - dop. autorów) obecnie na terenie gminy jest czynnych 4 szkół podstawowych a to: w gromadach Żoruchowo, Rogawica, Wrzeście i Wiklino, Lubuczewo, oraz 1 przedszkole w gromadzie Wrzeście i 1 w PGR Żoruchowo.

Nad rozwojem gospodarczym i kulturalnym zaczęły ożywioną działalność Związki Samopomocy Chłopskiej partia PZPR i młodzieżowe związki. W roku 1947 zostaje zorganizowana na terenie gminy Spółdzielnia Samopomocy Chłopskiej, która rozwija się pomyślnie dla dobra osadników zaopatrując w artykuły pierwszej potrzeby. W roku 1948 zostaje zorganizowany ośrodek maszynowy przy gminnej spółdzielni, który to zaopatruje w maszyny biednych chłopów przed wyzyskiem bogaczy wiejskich.

W tym czasie zostaje zorganizowana biblioteka gminna która w pierwszych miesiącach posiada zaledwie kilka książek, jednak z każdym rokiem powiększa się i obecnie posiada 1100 tomów. Założono punkty biblioteczne w gromadach Łękawica, Żoruchowo i Wiklino. Nad rozwojem kulturalnym i oświatowym czuwa Gminna Rada Narodowa oraz organizacje polityczne i młodzieżowe.

Przeprowadzono szkołę analfabetów na terenie gminy, przeprowadzono gruntowny remont Domu Społecznego w gromadzie Wrzeście przy Prezydium GRN.

W każdej gminie w Polsce, również w Lubuczewie powoływano komisje społeczne, których zadaniem było wspieranie walki z analfabetyzmem. Rejestrowano analfabetów i półanalfabetów. Osoby te miały obowiązek uczestniczenia w nauce. Od obowiązku zwolnieni mogli być tylko czynni żołnierze oraz osoby upośledzone fizycznie bądź umysłowo.

Obowiązkowa i bezpłatna nauka odbywała się w szkołach lub świetlicach wiejskich. Walka z analfabetyzmem była społeczna.

Odpowiedzialnością za postępy i wyniki w nauce obarczono miejscowych nauczycieli. Mieli oni również obowiązek organizacji wśród społeczności czytelnictwa i kontaktu z kulturą.

Takie były, w ogromnym skrócie, pierwsze lata polskiego funkcjonowania we Wrześciu i najbliższej gminnej okolicy. Nie sposób wymienić i w całościowy sposób zobrazować wszystkich uwarunkowań mających istotny wpływ na rozwój społeczny, gospodarczy i polityczny.

Jedno nie ulega wątpliwości, że szkoła była wiodącym ośrodkiem wzrostu świadomości, poziomu życia i awansu cywilizacyjnego miejscowej społeczności.

Drugim pewnikiem jest to, że niekorzystne zmiany polityczne, które zaszły w Polsce pod koniec 1949 roku i wprowadziły na okres 7 lat w naszym kraju stalinizm na pewno zahamowały gospodarczy rozwój kraju, ale nie osłabiły ducha polskości, który dyskretnie krzewiła kadra szkoły pod kierownictwem państwa **Bednarskich**.

Zawarty na dwudziestu kilku stronach opis początków życia w powojennym Wrześciu w nikły sposób odzwierciedla atmosferę tamtych lat. Warto w przyszłości podjąć się opracowania monografii tej ze wszech miar wyjątkowej miejscowości.

BYLIŚMY TUTAJ JUŻ W 1945 ROKU

Nazywam się Genowefa **Sopata** z domu Ciesielska. Urodziłam się w lutym 1939 roku w Brusach w powiecie chojnickim. Tam mieszkali do 1945 roku moi rodzice. Mama urodziła się w Brusach, tata zaś pochodził z Turka w województwie poznańskim. Nie mieli oni własnego gospodarstwa rolnego. Utrzymywali się podejmując się pracy u gospodarzy i w miejscowych zakładach pracy. Wyjeżdżali też do pracy na Żuławach, żeby zarobić na utrzymanie rodziny.

Podczas wojny mojego tatę Niemcy wywieźli na roboty w głąb III Rzeszy. Również moja starsza siostra **Zosia** pracowała u Niemców, najpierw w Prusach Wschodnich, a później w obozie pracy w Sępólnie Krajeńskim.

Wiosną 1945 roku, gdy mój tata po powrocie z Niemiec dowiedział się z prasy, że można przenieść się na Ziemie Odzyskane i objąć gospodarstwo rolne po wysiedlanych Niemcach, jak najszybciej pojechał w okolice Słupska, gdyż tam skierował go Państwowy Urząd Repatriacyjny. Dalej tata sam już szukał możliwego do zamieszkania gospodarstwa. Przed wyjazdem mama mu przykazała, że na miejscu ma być kościół i szkoła.

I tak znalazł się we Wrześciu.

W gospodarstwie, do którego trafił, nadal mieszkali Niemcy, nazywali się **Woldach**. Mieszkała też tam rodzina z Prus Wschodnich, chyba o nazwisku **Plecke(?)**, którzy jednak szybko się wyprowadzili. My mieliśmy zamieszkać z nimi tymczasowo i razem żyć. Niedługo przyjechała też do nas moja siostra **Zosia** ze swoim przyszłym mężem Stefanem **Nagym**. Poznali się w obozie pracy w Solcu Kujawskim.

Pierwszymi gospodarzami we Wrześciu, jeszcze przed moim tatą, był Stefan **Pałosz** i Kazimierz **Nowakowski**. Później, ci gospodarze, wiatach pięćdziesiątych wrócili do Końskich, a dzisiaj ich gospodarstwa



Zabudowania gospodarstwa od strony bramy wjazdowej, które latem 1945 roku zajął Ludwik Ciesielski. Widok z 2016 roku. Fot. A. Obecny.

zajmują rodziny **Winiarczyków** i **Lemańskich**. Oni wszyscy przyjeżdżali z Końskich. Można ich nazwać pionierami Wrześcia.

Niedługo, po objęciu niemieckiego gospodarstwa tata nas sprowadził do siebie.

Wtedy we Wrześciu było wielu Niemców. Pamiętam, że jakiś czas mieszkał jeszcze w Kępnie właściciel tych ziem **Wilhelm Anhalt**. Ukrywał się przed Rosjanami, ale nie wyjechał od razu, bo nie czuł się niczemu winny. Uciekali tylko funkcyjni, partyjni Niemcy. Było tu też sporo mieszkańców z Prus Wschodnich.

Większość z pozostałych Niemców ewakuowano w dopiero w 1946 i 47 roku. Niektórzy wyjechali dopiero w latach pięćdziesiątych. Wielu z nich długo miało nadzieję, że na te ziemie powrócą Niemcy. Zresztą przyjezdni Polacy też to brali pod uwagę, dlatego wielu po kilku latach opuszczało te tereny. Z tych też powodów normalnością była niechęć do inwestowania w gospodarstwo oraz remontowania zabudowań.

Na początku, aż do 1947 roku kościół prowadził jeszcze niemiecki pastor Reinhold **Roli**. Pomimo, że był to pastor protestancki byliśmy z nim zaprzyjaźnieni. Miał żonę i dzieci. Zresztą większość mieszkańców, również katolików uczęszczała na msze do kościoła protestanckiego, bo przecież innego nie było. My pochodziliśmy z Pomorza i dlatego byliśmy dwujęzyczni. Nie był więc to dla nas problem. Zmieniło się to dopiero, gdy pastor wyjechał, a Wrzeście objął swoim władaniem ksiądz katolicki z Gardny Wielkiej ks. Jan **Nowak**.

Przez długie lata należeliśmy do bardzo dużej parafii w Gardnie Wielkiej. Proboszczem był tam ksiądz kanonik Jan **Nowak**, który pochodził aż z Łucka, to dzisiejsza Ukraina. Opowiadał nam, że jak był jeszcze tam, to w czasie wojny jednej nocy Ukraińcy wymordowali półtora tysiąca osób, Polaków. On sam ukrył się w wieży kościelnej.

Tutaj na Ziemiach Odzyskanych miał pod sobą chyba 35 miejscowości, 5 kościołów. W Gardnie i Smołdzinie odprawiał mszę co niedzielę, w Gąbinie raz w miesiącu, a we Wrześciu i Żelkowie co drugą niedzielę. I wszystko dał radę obsłużyć jeżdżąc furmanką. Po księdza trzeba było pojechać, przenocować, a po mszy zabierał go gospodarz



*Rodzina Ludwika Ciesielskiego (stoi drugi z lewej) z księdzem Janem Nowakiem.
Fot. arch. S. Nagyego.*

z następnej wsi. Bardzo często ksiądz spał i przygotowywał się do mszy u nas w domu.

Kanonik później zachorował i jego następcą został ksiądz **Mrowiec** ze Śląska, ale ksiądz Jan **Nowak** nadal mieszkał na plebanii w Gardnie Wielkiej, aż do śmierci.

W 1972 roku podzielono parafię dekretem biskupa Ignacego **Jeża**. Pierwszym proboszczem na parafii we Wrześcu i Żelkowie był ksiądz Jerzy **Lier**. Najpierw mieszkał w jednym pokoju na starej plebanii, a później wybudował nową plebanię.

We Wrześcu praktycznie od razu po wojnie powstał PGR. Pierwszym kierownikiem był **Hilher**, a później między innymi panowie **Kapusta**, **Laskowski** i **Warszawski**.

Aż do 1956 roku w PGR-ze pracowali mieszkający jeszcze we Wrześcu Niemcy. Dopiero wtedy ostatecznie ich wszystkich wywieziono do

Niemiec. Do tego czasu organizowaliśmy wspólne życie. Odbływały się między innymi dożynki. Niemcy po niemiecku, no a my po polsku. Ale zabawa była wspólna. Waśni nie było. Przeciwnie, dochodziło nieraz do związków Polaków z Niemkami.

PGR kojarzy mi się między innymi z tym, że na świetlicy zakupiono pierwszy telewizor. Tam wszyscy chodzili oglądać programy. To był 1960-ty rok. Drugi telewizor zakupił **Maciulko**, a potem my. Ten nasz telewizor nazywał się „Aladyn”.

Do świetlicy w PGR-ze przyjeżdżało kino objazdowe podobnie jak do Domu Ludowego. Wyświetlali filmy. Zawsze było bardzo wesoło.

W latach siedemdziesiątych we Wrześciu było kółko rolnicze. Ono funkcjonowało bardzo dobrze. Kierownikiem był mój szwagier Stefan **Nagy**. Wtedy byli jeszcze rolnicy z Wrześcia, Wiklina i Kępna. Było dużo maszyn. Wypożyczali je, były też inne usługi.

Jak sięgam pamięcią pierwszym sołtysem we Wrześciu był **Pałosz**, a później Wiktor **Florko**. Na początku lat siedemdziesiątych byłam nawet ja, a później Irena **Sprengel**.

W pierwszych latach po wojnie była też tradycja pilnowania w nocy wsi. Po kolei w każdą noc kolejni gospodarze musieli pełnić nocną wartę. Oznaką tego była specjalna laska, na której wryty był napis „Warta”. I tak kto skończył wartę przerzucał tę laskę przez płot sąsiadowi i kolejny musiał w nocy stróżować, choć właściwie nic się nie działo i ludzie byli temu niechętni. Skończyło się to wartowanie, gdy pewnego razu Stefan **Nagy** wyrzucił tę laskę gdzieś w pole i nikt już jej nie szukał.

Gdy wprowadzono gromady pierwszym przewodniczącym Gromadzkiej Rady Narodowej, aż do 1962 roku był Bogumił **Strzelecki**. Kiedy zmarł obowiązki przejęła po nim jego żona. Pochwałę się, że ja przez kilka lat byłam radną gromadzką, a później gminną, ale już z siedzibą na Ryczewie, ale niestety niezbyt dobrze wspominam tamtą działalność. Najczęściej wszystko było już z góry ustalone i radny miał niewiele do powiedzenia. Przykładową inicjatywą również władz

gminy było postawienie Domu Kultury we Wrześciu. Na planach się jednak skończyło. Dom Ludowy przekształcono ostatecznie (najpierw zajęło to kółko rolnicze) na mieszkania, a Domu Kultury nie ma do dzisiaj. Dopiero teraz powstaje piękna świetlica.

Genowefa Sopata

Z ZIEMI WĘGERSKIEJ DO WRZEŚCIA



Stefan Nagy

Gdy znalazłem się we Wrześciu w 1945 roku, to chciałem stąd uciekać do siebie na Węgry, ale się nie dało. Jakie to losy człowieka są pogmatwane. Nigdy bym nie przypuszczał, że większość swojego życia spędzę w Polsce na poniemieckiej, pomorskiej wsi Wrzeście koło Słupska.

Ale co robić, mój Boże, życie ludzkie jest nie do przewidzenia.

U"rodziłem się w miejscowości Kisela na Bałkanach w dniu 1 lipca 1917 roku, jeszcze przed wybuchem Rewolucji Październikowej. W tym samym dniu zostałem ochrzczony.

Jak wspominała moja matka, był to dzień bardzo gorący.

Ojciec mój był Węgrem, a matka Austriaczką. Ojciec wcześniej zginął, gdy byłem jeszcze dzieckiem, był on kucharzem wojskowym. Zginął w Czechach koło Brna na I wojnie światowej, jest pochowany na tamtejszym cmentarzu wojennym w zbiorowej mogile.

W Kiseli mieszkałem do wybuchu II wojny światowej. Tam chodziłem do szkoły podstawowej. W szkole uczono nas trzech języków: rumuńskiego, węgierskiego i austriackiego czyli niemieckiego. Bo w Kiseli mieszkało wiele narodowości. W domu, jak był ojciec to mówiliśmy po węgiersku, a jak ojca nie było to po niemiecku, tak wspominała matka.

Matka moja była serdeczna i cierpliwa. Jak zbroiłem, gdy byłem dzieckiem, mówiła mi, że tak nie należy robić i ja to zapamiętałem na całe życie.

Po skończeniu szkoły wyuczyłem się zawodu szewca i kamasznika. Początkowo pracowałem u kogoś, a potem miałem swój piękny i duży zakład szewski, tam w Kiseli na Bałkanach.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej zostałem powołany, jako rekrut do Armii Rumuńskiej. Było to latem 1939 roku, miałem 22 lata. Wtedy w niej byli żołnierze różnych narodowości, również tak jak ja Węgrzy.

Na początku mojej służby pamiętam, że zostałem wyznaczony do kompanii honorowej, która na dworcu witała żołnierzy Wojska Polskiego, którzy w 1939 roku przyjechali do Rumuni i tam zostali internowani. Grała nasza orkiestra, a my z honorami wojskowymi, bardzo życzliwie i z wielką przyjaźnią odnosiliśmy się do żołnierzy polskich.



*Polscy oficerowie i ksiądz internowani w Rumuni pozdrawiają rumuńskie dzieci.
Rok 1939. Fot. IPiMS.*

Było tak, że nasze wojskowe łóżka oddaliśmy Polakom, a my spaliśmy na materacach na podłodze, przez parę tygodni.

Pewnego dnia, już w latach czterdziestych, rząd rumuński powiedział, że mamy walczyć po stronie Niemiec, a generałowie naszej armii powiedzieli nie i się zbuntowali!

W tym czasie miałem przykry wypadek i zostałem ranny w płuca. Nie nadawałem się do walki. Gdy Niemcy zaaresztowali zbuntowane wojska, to ja nie nadawałem się do walki i trafiłem do niemieckiego stalagu. Najpierw do Wrocławia, a potem do miejscowości Turek koło Sieradza. Tam wykonywałem pracę szewca, za którą miałem zapłatę.

Po dwóch miesiącach zostałem skierowany do fabryki obuwia do miejscowości Schultitz - po polsku Solec Kujawski w pobliżu Bydgoszczy, w której pracowałem jako kamasznik. W tej fabryce pracowały polskie więźniarki z niemieckiego obozu pracy.

Obóz był przy fabryce. Nie mieliśmy kontaktu z tymi kobietami, ale mogliśmy je obserwować przez okno i przez ogrodzenie z drutu kolczastego. Pamiętam, że rano wynosili im na plac, na którym stały stoły, ugotowane ziemniaki w łupinach i kawę. Po wyłożeniu tych ziemniaków i nalaniu kawy otwierano drzwi od baraków, wtedy szybko, biegiem, na wyścigi te kobiety leciały do tego pożywienia. Ja z kolegami patrzyliśmy na to przez okno. Takie ładne były te dziewczęta, młode. Jadły łapczywie te kartofle na wyścigi.

Nie wszystkie zdołały się najeść, tylko te sprytniejsze. Niektóre, mniej zaradne, słabsze później jeszcze chodziły i szukały resztek na ziemi. Wśród nich była i moja przyszła żona **Zosia**. Jak tak patrzyłem na nią to nie to, że zakochać mi się chciało, a tylko płakać i płakać nad ludzkim losem.

Proszę mi wierzyć, że ja wtedy zaczepiłem wartownika, który pilnował te więźniarki. Ale on nie za bardzo się tym wszystkim przejął. Wtedy postanowiłem z kolegami - jeńcami naszego stalagu, że te dziewczyny trzeba ratować. Mieliśmy w naszym obozie więcej swobody, to mogliśmy im pomóc.

Przekupiłem wartownika i przez dziurę w płocie te dziewczyny dożywialiśmy, tak się poznałem z moją przyszłą żoną, która była wśród

tych dziewcząt. Jak przekazywałem jedzenie to mogłem z nią krótko porozmawiać. Dowiedziałem się, że nazywa się Zofia **Ciesielska** i pochodzi z okolic Chojnic. Oczywiście rozmawialiśmy po niemiecku.

Po wojnie, jak nas oswobodzili, pod koniec stycznia 1945 roku, chciałem jechać do domu, na Bałkany. Ten obcy kraj, który był tutaj, mi się nie podobał. U nas był lepszy świat. Na przykład taki owoc, śliwka, czy jabłko u nas był bez żadnego robaka, bez plamy, dorodny, słodki, pachnący i zdrowy, a tutaj nie. Tam o godzinie dwunastej, jak człowiek stanął, to u nas nie było cienia, a tu jest cień. U nas nie ma wiatru, a tutaj ciągle wieje. Tam jest taka cisza, a tu nie. U nas była inna kultura, inne nauczanie dzieci, w wiosce były dwie restauracje, sale taneczne, ludzie się bawili, tańczyli. We wsi były dwie orkiestry - jedna 18 osób, a druga 28 osób.

A ja tutaj, we Wrześciu chciałem założyć orkiestrę, i tylko trzech znalazłem takich, co znają nuty i nadawali się do grania.

Dlatego chciałem wyjechać do siebie na Bałkany. Jednak nie miałem żadnych dokumentów i byłem w obcym kraju. Ja dokumenty dostałem dopiero po roku czasu. Miałem tylko bilet, do domu, który dostałem od Czerwonego Krzyża, ale on był ważny tylko dwa miesiące i się przeterminował.

Jednak umówiliśmy się z **Zosię**, że pojedziemy najpierw do jej domu i tak z Solca Kujawskiego przez Toruń pojechaliśmy do Chojnic. A z Chojnic do Brus, gdzie mieszkali jej rodzice i rodzeństwo.

Gdy my tam zajechaliśmy, do tych Brus, to oni już mieszkali w takiej szopie, jakby szałasie przy dworcu, ale tylko sama matka i dwoje małych dzieci córka i syn. Tam wielka bieda była. Ja mówię do **Zosi**, abyśmy jechali na powrót do Chojnic, ja tam założę warsztat szewski i damy sobie radę.

Ale matka **Zosi** mówi, że jej mąż pojechał do Słupska, bo wyczytał w gazecie, że tam za darmo gospodarstwa po Niemcach dają. I oni tutaj w tej szopie czekają na znak od niego i zaraz tam jadą do tego Słupska. W szopie było zimno, bo to wczesna wiosna była, a ja się bałem, że mnie zaaresztują, bo nie miałem żadnych dokumentów i nie znałem języka polskiego.



Joanna Ciesielska z wnukiem.
Fot. arch. P. Nagy.



Ludwikowi **Ciesielskiemu**, jak przyjechał do Słupska powie-
dzieli, że do Siemianic już wszyst-
ko jest zajęte, dlatego pojechał
dalej i znalazł gospodarkę we
Wrześciu.

Po jakimś czasie do Wrześcia,
do Ludwika **Ciesielskiego** po-
jechała żona Joanna **Ciesielska**
z dziećmi.

Ja do Wrześcia na Ziemię Od-
zyskane przyjechałem z na-
rzeczoną Zofią **Ciesielską**, tro-
chę później - późnym latem 1945
roku. Zatrzymaliśmy się u przy-
szłych moich teściów **Ciesel-
skich**. Ślub wzięliśmy już tutaj
4 października 1945 roku w ko-
ściele św. Ottona w Słupsku. Bo
tutaj, we Wrześciu nie było jesz-
cze polskiego księdza, tylko nie-
miecki pastor ewangelicki Rein-
hold **Roli**.

Ksiądz Jan **Nowak** pierwszy
proboszcz w Gardnie Wielkiej -
zaczął przyjeżdżać do Wrześcia
dopiero w 1946 roku. Odprawiał
msze raz na dwa tygodnie. Za-
trzymywał się w domu u mojego
teścia.

Ksiądz Jan Nowak, wychodzi z domu
Ludwika Ciesielskiego. Fot. arch. P. Nagy.



Grób księdza Jana Nowaka, pierwszego proboszcza w parafii w Gardnie Wielkiej.

Rok 2016. Fot. A. Obecny

Ja w dalszym ciągu nie miałem dokumentów. Zostałem wezwany do Urzędu Bezpieczeństwa w Słupsku. Zaprowadzili mnie do piwnicy, a tam słyszałem straszne jęki. Kazali mnie się rozebrać i wprowadzili mnie do pomieszczenia, gdzie było już kilku mężczyzn. Wtedy opuścili podłogę i pomieszczenie napełnili zimną wodą.

Proszę powiedzieć mi za co to zostało zrobione?

Ja im powiedziałem, że od dziecka zostałem wychowany w mówieniu prawdy. Matka mi mówiła: - Nie kłam **Stefan** i nie oszukuj. I ja tak żyłem, żyję i żyć będę.

- Ja wojnę przeżyłem i ja mówię prawdę - powiedziałem do nich tam na UB.

I to nie pomogło, oni mnie tam wsadzili, do tej wody, bo nie wierzyli mnie, bo ja do nich mówiłem po niemiecku. Dopiero, jak dotarło do nich, że jestem Węgrem i ktoś to potwierdził, to mnie wypuścili.

W domu czekał na mnie list z Kiseli, od sąsiada **Popescu**, który przysłał mi mój węgierski dowód. Za dwa tygodnie przyszedł drugi list od matki, która przysłała mi mój akt urodzenia. W liście pisała, żeby tutaj, do Kiseli, nie przyjeżdżać, bo wszystkich, takich jak ja przyjezdnych Rosjanie wywożą na Sybir.

Dlatego zostałem, chociaż tęskniłem za moimi Bałkanami.

Te dokumenty przetłumaczyłem w Gdańsku na język polski i z nimi poszedłem na UB. Tam przyjął mnie oficer o nazwisku **Kropelnicki** i powiedział do mnie, abym starał się o obywatelstwo polskie.

Trochę później od nas do Wrześcia przyjechał z Końskich Stanisław **Bednarski**. To on założył szkołę polską i potem prowadził ją z żoną **Stefanią Bednarską**. Ona przyjechała w 1946 roku i została kierowniczką, a on tylko uczył i zajmował się ich domem i sprawami organizacyjnymi szkoły, był radnym gminnym. To był dobry i mądry człowiek.

Mieli 3 krowy, ogródek i kawałek ziemi należącej do szkoły. Jak to na wsi trzymali kury i coś tam jeszcze.

My się bardzo zaprzyjaźniliśmy. Często tu do nas, do mojego teścia oni przychodzili, ja jestem chrzestnym ich córki **Elżbiety**, do dziś utrzymuję z nią kontakt.

Pan **Bednarski** był przedwojennym podoficerem, był odcytany i lubił rozmawiać o różnych sprawach. Rozmawiałem z nim po niemiecku, ale oni z panią **Stefanią** chcieli mnie szybko nauczyć po polsku. Ja chodziłem do pani **Bednarskiej** na lekcje polskiego i dosyć prędko się tego języka nauczyłem. To ona mnie nauczyła rozmawiać po polsku.

Gdy minęło kilka lat, od czasu mojego przybycia do Wrześcia, gdy urodził się nam syn **Piotr** i gdy pogodziłem się z tym, że trzeba tu pozostać i żyć, to chciałem coś pożytecznego robić.

Oczywiście od początku pomagałem teściowi w gospodarce, potem założyłem pasiekę i hodowałem pszczoły, mieliśmy miód, a nadmiar sprzedawałem do spółdzielni w Słupsku.

Oczywiście w domu miałem warsztat szewski i naprawiałem mieszkańcom Wrześcia obuwie. Oprócz tego robiłem nowe dla kobiet, takie



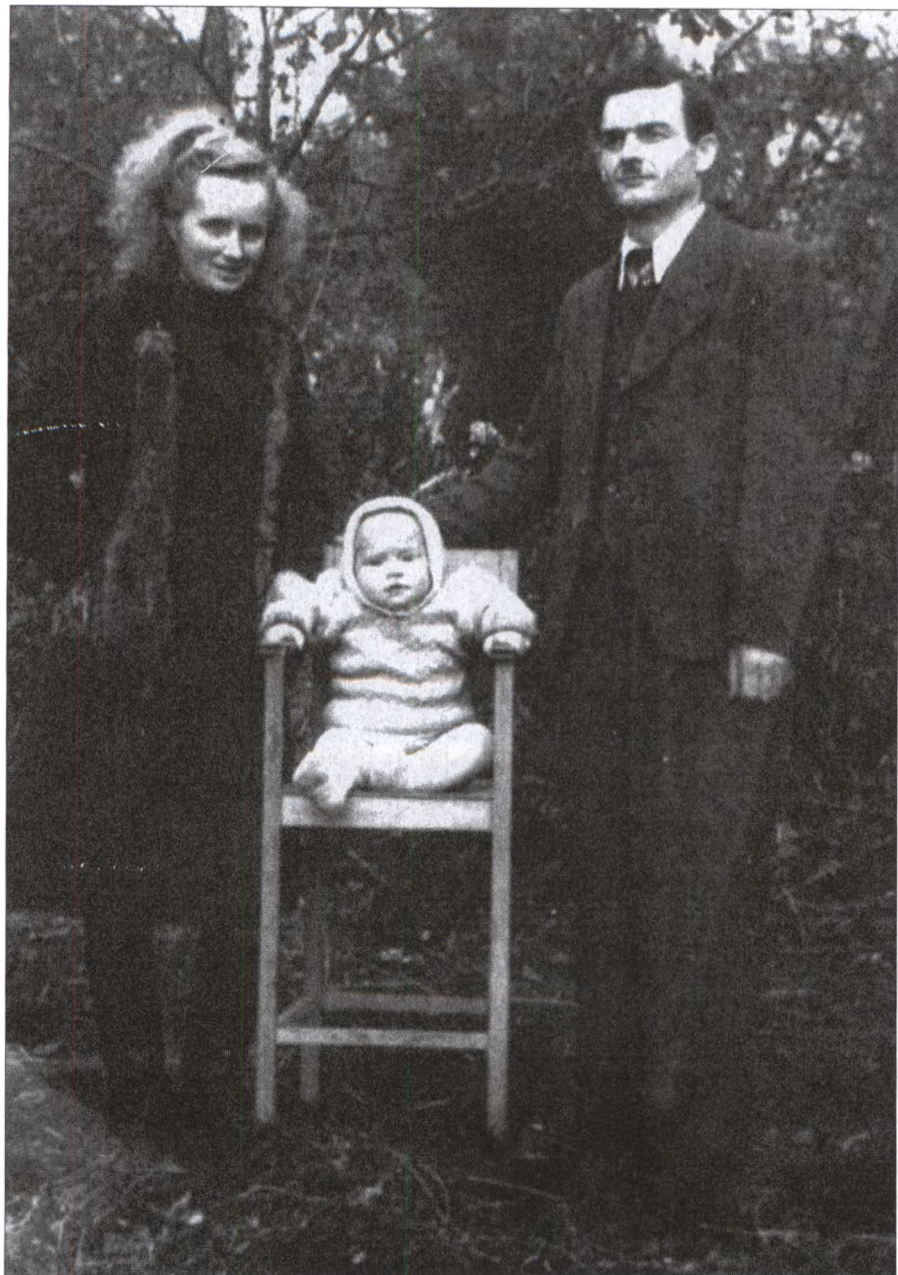
Pasieka Stefana Nagyego. Fot. arch. P. Nagy.



na koturnie z korka. Kobiety za takimi butami szalały. Sprzedawałem je do Słupska do takiej spółdzielni szewskiej, która nazywała się „Dobrobut”. Po korku, na te buty jeździłem do Rowów i kupowałem go od rybaków.

Po pewnym czasie, na początku lat pięćdziesiątych XX wieku podjąłem się naprawiania sprzętu mechanicznego w PGR-erze. Robiłem to początkowo za darmo, ale po pewnym czasie traktorzyści spowodowali, że zostałem zatrudniony w tym naszym PGR-erze za pensję 900 złotych miesięcznie.

*Stefan Nagy z żoną i synem na motorze.
Wrzeście lata czterdzieste. Fot. arch. P. Nagy.*



Stefan Nagy z żoną Zofią i synem Piotrem. Wrzeście lata czterdzieste. Fot. arch. P. Nagy.

Ja nie byłem rolnikiem, ale na rolnictwie się znałem. Tam na Bałkanach, to nie było takie rolnictwo, jak tutaj w Polsce. Jak ja patrzyłem, że tutejsi gospodarze uzyskują plony 200 kg z hektara, to się łapałem za głowę. To było nie do pomyślenia. Oni orali płytko i pole uprawiali pługiem jednoskibowym i jednym koniem.

A cała tajemnica plonów, to była głęboka orka. U nas na Bałkanach była ziemia gliniasta, a nie taki piach, ale orka przed zimą była robiona na 35 cm, a nie tak płytko jak tutaj. Jak ja już miałem swoją ziemię, to właśnie tak głęboko orałem. Zaprzągałem do pługa dwa konie i orałem głęboko. To wszyscy mówili, że jestem głupi.

Zrobiłem jeszcze jedną rzecz... dałem do badania ziemię do szkoły rolniczej w Słupsku. Okazało się, że ta ziemia to jest jeden wielki kwas, kwas i jeszcze raz kwas.



Stefan Nagyu siebie w domu. Rok 2016. Fot. A. Obecny.

Co robić?

Trzeba było likwidować kwas, wapnem, ale nie takim zwykłym, ale magnezowym. To wtedy już był nowy nawóz superfosfat, to ja go wypróbowałem na moim polu za Domem Ludowym.

Po żniwach odstawiłem 6 ton pszenicy z hektara. To na temat tych moich plonów było specjalne zebranie w Powiatowej Radzie Narodowej. Oni wszyscy na tym zebraniu i urzędnicy, i gospodarze nie wierzyli, że może być taka wydajność z hektara.

Potem to samo zastosowałem, jak byłem kierownikiem Kółka Rolniczego we Wrześciu...

Oj moc by opowiadać, co my tutaj przeżyliśmy.

Dzisiaj jestem już sam tutaj w tym domu, który w 1945 roku objął po Niemcach mój teść Ludwik **Ciesielski**. W przyszłym roku skończę 100 lat.

Jakoś Pan Bóg pozwala, że sam koło siebie zrobię. Odwiedza mnie mój syn **Piotr**, robi mi zakupy i pomaga. Ale jeszcze w niedzielę samodzielnie chodzę do kościoła.

Tylko co to się porobiło?

Po mszy, jak wyjdę przed kościół to nikogo nie ma. Jakby tych ludzi wiatr rozwał, nie to co kiedyś. Po kościele wszyscy przystanęli przed kościołem, porozmawiali, jak to między sąsiadami, a dzisiaj tego już nie ma.

Stefan Nagy

PATRON SZKOŁY GEN. STEFAN ROWECKI „GROT”

Stefan **Rowecki** przyszedł na świat 25 grudnia 1885 roku w Piotrkowie Trybunalskim.

Tradycje niepodległościowe w rodzinie Stefana **Roweckiego** były zawsze żywe. Pradziadek jego - Paweł **Chrzanowski** - walczył u boku **Napoleona** w Legii Nadwiślańskiej, a dziadek - Damian **Chrzanowski** - w powstaniu styczniowym, za co był skazany na więzienie i konfiskatę majątku.

Mały **Stefan** niejednokrotnie mógł słuchać o ich walce o niepodległość Polski, ponieważ jego matka pielęgnowała pamięć o bohaterskich przodkach. Z tego pewnie

powodu do najbardziej ulubionych jego zabaw należały wojny z udziałem drewnianych żołnierzyków. Nieco później ze starszymi kolegami bawił się „w wojsko” prowadząc musztrę i dowodząc w bitwach.



*Ppłk Stefan Rowecki • lata 30-te
X X wieku. Fot. arch. SP Września.
Fot. arch. SP Września.*



Mały Stefcio na kolanach swojego ojca chrzestnego Pawła Chrzanowskiego, obok stoi kuzynka Halina Chrzanowska (potem Królikowska). Fot. arch. SP Wrzeście.

W szkole, do której zaczął chodzić w 1906 roku (było to prywatne gimnazjum założone przez inż. Narcyza **Jacobsona**), dobrze sobie radził z przedmiotami ścisłymi. Nie ze wszystkich przedmiotów był jednak prymusem. Miewał też problemy z zachowaniem.

Wczasiewolnymczasłospotykał się ze swoimi kolegami i w ramach samokształcenia zajmowali się historią, geografią i literaturą Polski (był to jeszcze okres zaborów).



Zdjęcie rodzinne. Stefan Rowecki stoi trzeci od lewej i trzyma rękę na kolanach matki. Piotrków ok. 1901 rok. Fot. arch. SP Wrzeście.

wyruszył na kurs organizowany przez Drużyny Strzeleckie, który miał odbyć się w Nowym Sączu.



Zofia z Chrzanowskich Rowecka.
Fot. arch. SP Wrzeście.

W trakcie trwania kursu wybuchła I wojna światowa. Na rozkaz Komendanta Piłsudskiego kursanci podążyli by wstąpić do Legionów. Nowosądeccy kursanci zameldowali się do służby w krakowskich Oleandrach 2 sierpnia 1914 roku. **Rowecki** nie zakwalifikował się do słynnej Kompanii Kadrowej, ale na front ruszył tuż za nią, dzień później bo 7 sierpnia 1914 roku.

Stefan **Rowecki** rozpoczął swoją 30-letnią karierę wojskową jako dowódca pierwszej sekcji pierwszego plutonu pierwszej kompanii V. batalionu. Potem został dowódcą 8^o plutonu przekształconego w pluton zwiadu. Pierwszy raz



Stefan Rowecki z rodzicami i bratem Stanisławem. Fot. arch. SP Wrzeście.

Czas gimnazjalne to dla Stefana **Roweckiego** również okres pierwszych kroków narodowo-wyzwoleńczych. Na przełomie roku 1907/08 wykonał on śmiały zamach na patrol kozaków rzucając... petardę pod nogi koni. Jako starszy chłopiec, uczeń Szkoły Wawelberga i Rotwanda - na przełomie 1911/12 roku - wstąpił do Polskich Drużyn Strzeleckich, gdzie przyjął pierwszy z wielu w swoim życiu pseudonim: „Radecki”.

Możliwość wyładowania swojej energii oraz ciągów wojskowo-patriotycznych odnalazł Stefan **Rowecki** w skautingu, który w tym okresie zaczął powoli docierać na polskie ziemie. Wiosną 1911 roku założył zastęp skautowy w rodzinnym Piotrkowie Trybunalskim, pierwszy w tym mieście i jeden z pierwszych na ziemiach polskich.

Młody **Stefan**, między innymi wskutek swojej działalności, został zmuszony do opuszczenia szkoły w 1912 roku. Ferie zimowe 1912/13 r. (3-25 stycznia) spędził w galicyjskiej Rabce na odbywającym się tam kursie instruktorskim, z którego powrócił jako podoficer Polskich Drużyn Strzeleckich. 8 lutego stanął na czele zorganizowanego przez siebie zastępu szkolnego. Jako instruktor PDS specjalizował się w fortyfikacjach, umocnieniach polowych oraz materiałach wybuchowych.

Jesienią roku 1913 Stefan **Rowecki** przeprowadził się do Warszawy, gdzie zamieszkał u swojego wuja. Przeprowadzka wynikała z podjęcia nauki w Szkole Mechaniczno-Technicznej im. H. Wawelberga i S. Rotwanda, na Wydziale Elektrycznym.

„Radecki” nie zaprzestał jednak w stolicy swojej działalności skautowej i drużyniackiej: nadal uczestniczył w zbiórkach i kursach. Działając wbrew woli ojca i matki **Zofii**, **Stefan** pożyczył pieniądze i przekradając się przez granicę koło miejscowości Szyce k/Ojcowa



Stefan Rowecki w mundurze ucznia Szkoły Wawelberga i Rotwanda. Piotrkówok. 1912 rok. Fot. arch. SP Wrzeście.



*Stefan Rowecki w Legionach.
Rok 1915. Fot. arch. SP Wrzeście.*



*Stefan Rowecki w Legionach.
Rok 1916. Fot. arch. SP Wrzeście.*

(był uprawniony do noszenia nad KW wstęgi w kolorach Virtuti Militari z trzema białymi gwiazdami - symbolami trzech ran). Pierwszą z nich odniósł w bitwie pod Konarami k/Opatowa (16-25 maja 1915).

Po powrocie z leczenia szpitalnego walczył też pod Koszyszcami (29 września - 21 października 1915). Brał też udział w najkrwawszej bitwie Legionów pod Kostiuchnowką (4-6 lipca 1916) - został wtedy ranny po raz drugi (w starciu z rosyjskim patrolem w nocy 6/7 lipca).

W czasie jego trzeciego pobytu w szpitalu po ranie odniesionej w 1917 roku, nastąpił w Legionach tzw. kryzys przysięgowy. Oficerowie zostali internowani w Beniaminowie k/Zegrza. Po opuszczeniu murów szpitala (11 lipca 1917) **Rowecki** solidarnie dołączył do kolegów, pomimo tego, że uważał podjęte przez nich kroki za niewłaściwe.

3 stycznia 1918 roku wstąpił do zorganizowanej przez Niemców Polskiej Siły Zbrojnej (Polnische Wehrmacht), gdzie został instruktorem w Szkole Podchorążych w Ostrowii Mazowieckiej.

Pod koniec 1918 roku stojąc na czele kilkusobowego oddziału wziął w rejonie Sadowa do niewoli niemiecką kompanię (uhonorowany za to został Krzyżem Walecznych po raz drugi). Od końca roku 1918 do wiosny 1919 pełnił funkcję wykładowcy na kursie fortyfikacyjno-saperskim w Modlinie. Między kwietniem a czerwcem 1919 roku walczył na froncie wschodnim w 34. pułku piechoty. Od 16 czerwca do 9 grudnia 1919 roku studiował w Szkole Wojennej Sztabu Generalnego na I kursie, kończąc go z 8. lokatą (398,3 pkt. przy średniej kursu 360 pkt.) i awansując do stopnia kapitana Sztabu Generalnego. W czasie kursu odbył staż w Centralnej Szkole Podoficerskiej Kawalerii w Przemyślu. Po zakończeniu szkolenia i odebraniu dyplomu otrzymał nominację na szefa sekcji wyszkolenia i doświadczenia wojennego w Oddziale I (organizacyjnym) Naczelnego Dowództwa.

Od 11 maja 1920 roku przebywał w 1. Dywizji Piechoty Legionów. Tu m.in. miał za zadanie uporządkować rozbitą brygadę rezerwową oraz (od 25 lipca) dowodzić załogą Kowla. W tym okresie wstąpił się także śmiałym i zręcznym wyjściem z rosyjskiego okrążenia w rejonie Łucka (potem został za to uhonorowany Krzyżem Walecznych po raz trzeci). Czerwiec 1920 do września 1920 roku to okres, kiedy **Rowecki** był szefem Oddziału II (wywiadowczego) Dowództwa Frontu Południowo-Wschodniego, a potem Grupy Uderzeniowej gen. Edwarda **Rydz-Śmigłego** (na której to funkcji przebywał m.in. w czasie bitwy warszawskiej). W tym czasie otrzymał nominację na stopień majora, ze starszeństwem od dn. 1 czerwca 1920 roku.

Od września do listopada 1920 roku pełnił funkcję szefa Oddziału III Dowództwa 4. Armii, a od listopada 1920 roku do lutego 1921 roku szefa Oddziału II. W tym też okresie spotkał się po raz pierwszy z pchor. Eugeniuszem **Świerczewskim**, który jako zdrajca-agent Gestapo miał się w przyszłości przyczynić do zguby generała **Grota-Roweckiego**.

Pomiędzy kolejnymi bojami na froncie wschodnim, w roku 1920 kpt. Stefan **Rowecki** ożenił się z Haliną Sabina z **Paszkowskich**, a owocem ich małżeństwa była córka **Irena**, która urodziła się w 1921 roku. Swoją córkę, pomimo różnych, późniejszych kolei rodzinnych losów kochał ponad wszystko.



Stefan Rowecki z pierwszą żoną Haliną i córką Ireną. Fot. arch. SP Wrzeszcz.

Kolejną funkcją, jaką objął **Rowecki** było stanowisko szefa sekcji planów oraz zastępcy szefa Oddziału III (operacyjnego) Naczelnego Dowództwa, które piastował od lutego 1921 do listopada 1921 roku. Następnie uczestniczył w kursie doszkolenia Wyższej Szkoły Wojennej w dniach 1 września 1921 do 1 października 1922 roku. Po ukończeniu szkolenia - z 10. lokatą - kontynuował swoją działalność w Oddziale III-a Biura Ścisłej Rady Wojennej jako szef sekcji planów i sekcji ogólnej. Działał tutaj do 1930 roku. Wszedł także w skład komisji, której zadaniem było ustalenie polskiej doktryny wojennej.

W roku 1922 jego waleczna postawa z okresu walki w 5. pułku piechoty Legionów doczekała się uhonorowania Krzyżem Kawalerskim Orderu Virtuti Militari (V klasy); w tym samym roku został odznaczony Krzyżem Walecznych czterokrotnie.

Angażował się także w działalność naukowo-badawczą; od 1923 do września 1926 roku kierował Wydziałem Naukowo-Wydawniczym Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego. Pełnił równocześnie funkcję zastępcy szefa Instytutu płk. prof. Wacława **Tokarza**. To z inicjatywy **Roweckiego** i pod jego kierownictwem jako redaktora naczelnego, w 1924 roku zaczął ukazywać się „Przegląd Wojskowy” popularyzujący m.in. myśl wojskową obcych armii. **Rowecki** zasiadał również w komitetach redakcyjnych „Bellony”, „Sapera i Inżyniera



Stefan Rowecki siedzi - pierwszy z lewej w wagonie dla dziennikarzy. Manewry na Wołyniu 1925 rok. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

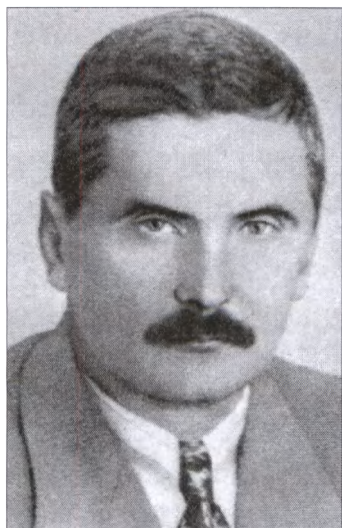
Wojskowego", a także „Przeglądu Kawaleryjskiego".

Ówczesny ppłk **Rowecki** lubił aktywnie odpoczywać: myślistwo, jazda na nartach, pływanie, jeździectwo były jego ulubionymi dyscyplinami sportu.

14 stycznia 1930 roku **Rowecki** został dowódcą 55. pułku piechoty w Lesznie Wielkopolskim, co poczytywał sobie za duże wyróżnienie. W czasie służby w Lesznie został mianowany pułkownikiem dyplomowanym - stało się to 1 stycznia 1932 roku. W tymże roku **Rowecki** ożenił się - po raz drugi w swoim życiu. Tym razem jego wybranką stała się Eugenia z **Fedorowiczów**.



Stefan Rowecki na nartach. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.



*Stefan Rowecki lata 30-te
XX wieku. Fot. arch. SP Wrzeście.*

Na początku 1936 roku, przejął dowództwo Brygady Korpusu Ochrony Pogranicza „Podole” z siedzibą w Czortkowie. W czasie gdy dowodził Brygadą, 28 września 1936 wraz z grupą innych oficerów, został płk **Rowecki** odznaczony Krzyżem Oficerskim francuskiej Legii Honorowej. Służąc na Kresach często bywał we Lwowie; tam poznał gen. Michała **Karaszewicza-Tokarzewskiego**, z którym los miał go jeszcze zetknąć w okupowanej przez Niemców Warszawie.

Państwo **Roweccy** wkrótce zamieszkali w Kielcach (21 czerwca 1938), ponieważ płk **Rowecki** objął funkcję zastępcy dowódcy 2. Dywizji Piechoty Legionów w Kielcach. W kwietniu 1939 roku wziął udział w kursie dowódców artylerii w Toruniu. Po zakończeniu kursu powierzono **Roweckiemu** misję formowania Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej; było to 10 czerwca 1939 roku.



Prace organizacyjne przebiegały w brygadzie powoli i opornie. Dzięki jednak olbrzymiemu zaangażowaniu dowódcy i jego sztabu, pod koniec sierpnia coraz bardziej krzepła w swojej pancerno-motorowej masie Warszawska Brygada.

*Prywatnie z żoną i córką
- lata 30-te XX wieku.
Fot. arch. SP Wrzeście.*

Kiedy 1 września 1939 roku na Polskę spadły pierwsze bomby, oddziały brygady kończyły koncentrację w rejonie Solca. Tu pozostawała ona w dyspozycji Naczelnego Dowództwa kończąc kompletowanie etatów sprzętowych i personalnych. Wobec sukcesów Wehrmachtu w rejonie Częstochowy Naczelne Dowództwo poleciło 3 września płk. dypl. S. **Roweckiemu** wraz z brygadą dozorować przeprawy na Wiśle na odcinku Sandomierz-Góra Kalwaria.

12 września Wisłę w rejonie Księżmierz próbowano forsować niemiecka 4. Dywizja Piechoty. WBPanc-Mot wyprowadziła śmiało przeciwuderzenie zakończone sukcesem i odrzuceniem Niemców z powrotem za rzekę. 14 września brygada w ciężkich bojach broniła przepraw przez Wisłę pod Annopolem.

Brygada w dniach 18-19 września brała udział watakach na oddziałach niemieckich pod Tomaszowem.

Płk **Rowecki** nie miał najmniejszego zamiaru iść do niewoli: wiedział, że choć kampania wrześniowa jest przegrana to do zakończenia wojny jeszcze daleko. Miał zamiar przedostać się na Zachód i tam walczyć z Niemcami. W tej sytuacji polecił żołnierzom swojej brygady zniszczyć sprzęt i pojedynczo lub małymi grupami przedzierać się z okrażeń.

Płk dypl. Stefan **Rowecki** wraz z kilkoma oficerami podążył ku Warszawie.

Stefan **Rowecki** przewidywał zdobycie środków materialnych, które mogłyby zabezpieczyć byt córce oraz żonie, a następnie przedostanie się na Zachód, aby wstąpić do Polskich Sił Zbrojnych. W połowie października skontaktował się z gen. bryg. Michałem **Karaszewiczem-Tokarzewskim** ps. „Torwid” z prośbą, by ten ułatwił mu przedostanie się na Zachód. Generał natomiast usiłował przekonać go, aby włączył się w działalność Służby Zwycięstwu Polski. **Rowecki** nie zgodził się tłumacząc, że praca konspiracyjna to działalność z pogranicza polityki, a on jest oficerem liniowym.

Ostatecznie, po przedstawieniu przez „Torwida” swoich upoważnień oraz zadeklarowaniu przez niego, że weźmie na siebie całą społeczno-

polityczną stronę konspiracji **Rowecki** zgodził się zostać szefem sztabu SZP, biorąc na siebie wyłącznie zadania wojskowe.

Odtąd będąc w konspiracji będzie używał takich pseudonimów jak „Jan”, „Grabica”, „Tur”, „Inżynier”, „Rakoń”, „Kalina”, „Dulęba” i oczywiście „Grot”.



Stefan Rowecki. Rok 1940.

Fot. arch. SP Wrzeście.

Rozkazem z dn. 8 lutego 1940 roku Naczelnny Wódz podporządkował wszystkie istniejące na terenie kraju organizacje wojskowe **Roweckiemu**, który od tej chwili występował już jako Komendant Główny Związku Walki Zbrojnej.

Różnymi środkami Stefan **Rowecki** nie tylko umiał wciągnąć polityków do wspólnego tworzenia Polskiego Państwa Podziemnego, ale także umiejętnie i bezkompromisowo opierał się wszelkim rozgrywkom zakulisowym, których celem było osłabienie jego pozycji jako dowódcy.

W czasie swojej służby przyczynił się do powołania Politycznego Komitetu Porozumiewawczego. Wiosną 1940 roku utworzył Związek Odwetu (przekształcony w listopadzie 1942 roku w „Kedyw” - Kierownictwo Dywersji), współtworzył zasady i metody działania propagandy, kierował organizacją łączności i wywiadu oraz partycypował w przygotowywaniu planów operacyjnych powstania powszechnego.

26 maja 1940 roku - został awansowany do stopnia generała brygady. Tydzień później dnia 30 czerwca 1940 roku **Rowecki** został ostatecznie mianowany Komendantem Głównym Związku Walki Zbrojnej - odtąd jego przełożonym był bezpośrednio Naczelnny Wódz.

Kilka miesięcy później 14 lutego 1942 roku po przemianowaniu ZWZ na Armię Krajową, „Grot” został powołany na funkcję Dowódcy Armii Krajowej lub inaczej Komendanta Sił Zbrojnych w Kraju. Na jesieni 1942 roku objął dowodzenie Kierownictwem Walki Konspiracyjnej,

podejmując jednocześnie decyzję o zintensyfikowaniu walki zbrojnej i dywersyjnej. W uznaniu zasług na polu walki konspiracyjnej, gen. Władysław **Sikorski** odznaczył „Grota” Krzyżem Walecznych po raz pierwszy, drugi, trzeci i czwarty miało to miejsce 1 maja 1943 roku. Tym samym „Grot” dwa razy odznaczony czterokrotnie KW stał się jedynym oficerem w historii posiadającym to odznaczenie w liczbie osiem.

Gen. „Grot” mógł się poszczycić też zorganizowaniem dwóch kluczowych systemów w Polskim Państwie Podziemnym, tj. dowodzenia i łączności (kurierzy, radio, zrzućy, mosty lotnicze itp.). Pozwalało to na sprawne funkcjonowanie konspiracyjnego organizmu państwowego. Stefan **Rowecki** dbał też o systematyczny rozwój wywiadu. Wiarygodność oraz wartość merytoryczna raportów szpiegowskich Armii Krajowej nie miała sobie równych wśród aliantów.

Ważną sferą działalności AK było też uruchomienie organizacji „Wachlarza”, który zajmował się szeroko pojętą dywersją i sabotażem. Położył też podwaliny pod nowoczesną wojnę psychologiczną, animując tzw. Akcję „N”. Koncepcja polegała zasadniczo na redagowaniu ulotek, czasopism i broszur w języku niemieckim w celu obniżania morale żołnierzy i społeczeństwa niemieckiego.

Na przełomie roku 1942/43 z Londynu zaczęły docierać do KG AK coraz poważniejsze ostrzeżenia: Gestapo było coraz bliżej złapania „Grota”. Naczelne Dowództwo próbowało namówić „Grota” do ewakuacji na Zachód. **Rowecki** odrzucił ofertę. W okolicznościach nie do końca dziś wyjaśnionych, dnia 30 czerwca 1943 roku został aresztowany przez Gestapo w lokalu przy ul. Spiskiej 14/10 w Warszawie.

Jak się okazało w toku późniejszego śledztwa, od roku 1942 w łonie

Armii Krajowej działała trzyosobowa grupa zdrajców, której udało się doprowadzić do aresztowania około 200 żołnierzy i oficerów AK, głównie z wywiadu. Byli to: wspomniany wcześniej Eugeniusz **Swierczewski** ps. „Gens”, Ludwik **Kalkstein** ps. „Hanka” oraz jego żona Blanka **Kaczorowska**. Ich zadaniem była eliminacja najważniejszych oficerów AK.

Noc z 29/30 czerwca 1943 **Rowecki** spędził w lokalu przy ul. Topiel na warszawskim Powiślu. Dnia następnego miał odbyć naradę z oficerami sztabu przy ul. Barskiej 5.

Już od momentu wsiadania do tramwaju na Powiślu był obserwowany przez **Świerczewskiego**. Stefan **Rowecki** skierował swoje kroki na Spiską 14/10, a zdrajca powiadomiło tym Niemców. Około godziny 9.20 na ul. Spiską z obydwu stron wpadło siedemnaście ciężarówek wyładowanych policją. Z domów przy ul. Spiskiej zaczęto wyprowadzać mieszkańców selekcionując ich na kobiety z dziećmi oraz mężczyzn - było widać, że Niemcy szukają kogoś bardzo konkretnego. Zakuty w kajdany Rowecki został odprowadzony do samochodu.

Zdrajcę Eugeniusza **Świerczewskiego** spotkała sprawiedliwość. Został schwytany przez wywiad AK i osądzony - wydano wyrok śmierci. W dniu 20 czerwca 1944 roku dokonano egzekucji przez powieszenie w piwnicy domu przy ulicy Krochmalnej 74 w Warszawie. Zwłoki zostały zakopane pod podłogą.

Rowecki był traktowany z należnymi honorami oraz mieszaniną szacunku i respektu.

Aby nie stwarzać podziemiowi okazji do zbrojnego odbicia dowódcy AK, w nocy z 30 czerwca/1 lipca generał został drogą lotniczą przetransportowany do Berlina, gdzie osadzono go w centralnym więzieniu berlińskim przy Aleksander Platz.

Tu również generał był traktowany z odpowiednim szacunkiem i przesłuchanie przebiegało raczej w atmosferze rozmowy. Po dwóch tygodniach badań, 16 lipca 1943 roku Stefan **Rowecki** stanął w murach obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen.

„Grot” był zaliczony do kategorii tzw. *Ehrenhaftlig* czyli VIP-ów. W związku z tym przetrzymywany był w odizolowanej części obozu przeznaczonej dla ważnych więźniów - w tzw. *Zellenhau*.

Stefan **Rowecki** kilkakrotnie pisał listy do rodziny. Były one dostarczane do kuzynki generała Haliny **Królikowskiej**, mieszkającej w podwarszawskich Olszynach. Rodzina zwrotną drogą posyłała mu również listy oraz paczki żywnościowe i z drobiazgami codziennego użytku.

Stefan **Rowecki**, nie wiedząc o tym niestety, 1 stycznia 1944 roku został mianowany generałem dywizji. Był to ostatni gest na jaki mógł się zdobyć rząd emigracyjny. Fiaskiem bowiem zakończyły się próby nakłonienia Brytyjczyków do przeprowadzania wymiany więźniów za generała „Grot”.

Jeśli nie liczyć przesłuchań, czas upływał **Roweckiemu** na korzystaniu z więziennego spacernika, rozmowach ze współwięźniami przez ścianę albo okno, a także na pisaniu. Generał zabrał się za spisywanie swoich wspomnień z okresu pierwszej wojny światowej, wojny polsko-bolszewickiej i kampanii wrześniowej. Napisał również dwa testamenty: adresatem pierwszego była rodzina, drugiego - żołnierze Armii Krajowej.

Rozmowy i przesłuchania miały doprowadzić do tego, aby **Rowecki** uznał wroga w Armii Czerwonej (która metodycznie zbliżała się do przedwojennych granic RP) i wydał rozkaz Armii Krajowej, by ta stanęła u boku Wehrmachtu do walki z sowietami.



Brama Główna obozu w Sachsenhausen, gdzie zamordowano gen. dyw. Stefana Roweckiego. Fot. arch. SP Wrzeście.

POŁĄCZYŁA ICH SZKOŁA WE WRZEŚCIU. 1945-2015

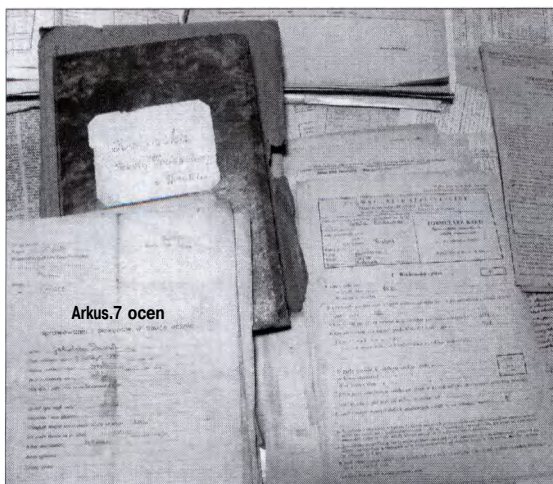
Generał nigdy nie przystał na te propozycje, czym podpisał na siebie wyrok śmierci.

Okoliczności śmierci i miejsca pochówku generała prawdopodobnie nigdy nie poznamy. Najbardziej prawdopodobna wersja zdarzeń mówi, że kiedy wybuchło Powstanie Warszawskie, próbowano **Roweckiego** z jeszcze większą intensywnością namówić do współpracy, a konkretnie do wydania rozkazu o zaprzestaniu walk. Wobec niezmiennej jednoznacznej postawy generała, a tym samym absolutnej nieprzydatności, Reichsführer SS Heinrich **Himmler** polecił telefonicznie zgładzić gen. dyw. Stefana **Roweckiego**. Wszystkie dostępne poszlaki wskazują na to, że generał zamordowany został w pierwszym tygodniu Powstania, tj. między 2 a 7 sierpnia 1944 roku.

HISTORIA SZKOŁY W SZEŚCIU ODSŁONACH

Na biurku leżą stare, pożółkłe kartki różnych dokumentów, zapisków. Wśród nich jest zwykły brulion, dumnie zatytułowany Kroniką Szkoły Podstawowej we Wrześciu, w którym na dwóch, trzech stronach opisane są kolejne lata funkcjonowania jednej z wielu placówek oświatowych powstałych po 1945 roku na tzw. Ziemiach Odzyskanych.

Spośród tych zapisanych dokumentów i dużej ilości zdjęć można dostrzec ludzkie losy, radości, smutki, sukcesy i porażki, głównie dzieci - uczniów wrześcieńskiej szkoły, która funkcjonuje już ponad 70 lat.



Najstarsze zachowane dokumenty wraz z pierwszą kroniką szkoły. Fot. arch. SP Wrzeście.

Nie ma we Wrześciu i najbliższych miejscowościach człowieka, mieszkańca tej okolicy, dla którego ta szkoła nie jest ważna. Dla nich wszystkich ona jest kolebką ich wiedzy, postaw, świadomości i patriotyzmu.

Książka ta przede wszystkim poświęcona jest wszystkim tym, którzy spędzili część swojego życia w jej murach jako uczniowie, pracownicy, bądź rodzice, a w większości i jedno, i drugie, i trzecie...

Dzisiaj życie rozproszyło część z nich po świecie, większość mieszka tutaj nadal, wielu już nie ma wśród nas. Stronice książki ich wszystkich powinny przywrócić naszej pamięci.

CZASY PIONIERSKIE 1945-1960

Pierwsze miesiące i lata po wprowadzeniu na tereny Pomorza Zachodniego polskiej administracji to czasy pod wieloma względami pionierskie. Trzeba przypomnieć, że tak jak w odległym o 13 kilometrów Słupsku, tak i we Wrześciu przez pierwsze miesiące stacjonowały wojska radzieckie - w budynku poniemieckiej szkoły. Przez długi jeszcze czas mieszkali tu także Niemcy, którzy nie zdecydowali się opuścić swoich domów. Według relacji nie wszyscy byli przekonani, że będą kiedykolwiek do tego zmuszeni. Wierzyli, że to tylko stan przejściowy. Trudno się im dziwić, byli tu od wieków.

Dla współczesnych pokoleń zupełnie oczywiste jest, że ziemię, na których żyjemy należą do Polski. Każdego roku przekonać się o tym można zadając pytanie kolejnym rocznikom uczniów: Skąd pochodzą? Skąd pochodzą ich rodzice? Oczywiście najczęstszą odpowiedzią (zgodną zresztą z prawdą) jest: z Wrześcia, Lubuczewa, Wiklina, Karęcina... Dopiero gdy dopytuje się ich o dziadków, babcie, pradziadków, zaczynają pokazywać na mapie rejony niemal całej przedwojennej Polski.

Trzeba przyznać, że największą świadomość swojego pochodzenia mają niektórzy mieszkańcy Wiklina, którzy przybyli do tej miejscowości w ramach akcji „Wisła”. Jednak wielu przybyłych tutaj osiedleńców z różnych stron przedwojennej Polski, było przeświadczonych, że wracają na stare, słowiańskie ziemie.

czuć w miarę bezpiecznie. Po wielu latach okazało się, że Słupsk był miastem, do którego przybyła większość z dowództwa AK okręgu Końskie. Mógł więc liczyć na pomoc.

Rozmyślając stwierdził, że biorąc pod uwagę swoje zajęcia przedwojenne, a także mając na uwadze to, iż jego żona **Stefania** od 1931 roku była nauczycielką, najbliżej mu było do oświaty.

I tak jako kolejny 59. nauczyciel na miasto i powiat Słupsk dostał zadanie od ówczesnego Inspektora Oświaty w Słupsku pana Władysława **Kwapisza** uruchomienia polskiej szkoły w miejscowości Wrzeście.



Władysław Kwapisz wśród uczennic na Placu Zwycięstwa w Słupsku podczas manifestacji 1-majowej. Fot. arch. A. Obecnego.

Pan **Stanisław** wspominał po latach dyrektorowi Zbigniewowi **Kamińskiemu**, iż miał „poczucie dumy”, że po długich wiekach germańskiego panowania dane mu było przywracać polskość tym ziemiom. Wystrowski Bach, Sławe Zelków, Sławe Buków, Karcyn, Dominke, Lipców, Zorchow, Kuków, Rogac, Małaszewski, Brzeski. Nazwy tych miejscowości o słowiańskim brzmieniu były dla niego - mówił, tak bliskie jak Kamienna Wola, Dziadek, Miedzierz, czy Końskie.

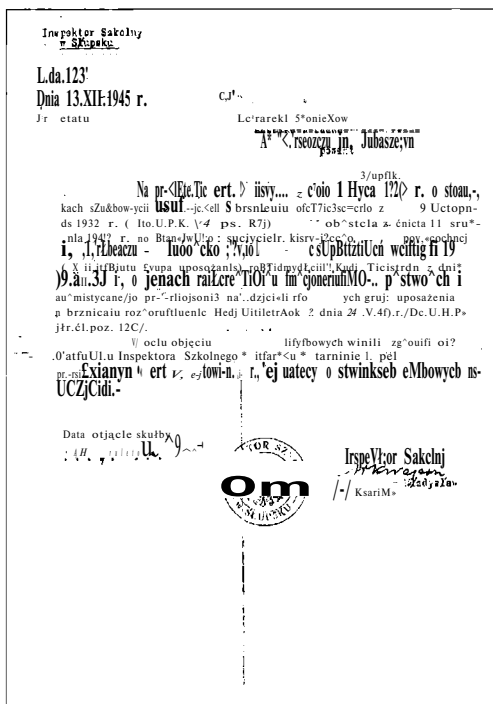
Na nie do końca zorganizowany administracyjnie i niestabilny teren Ziemi Odzyskanych jesienią 1945 roku przybył do Słupska pan Stanisław **Bednarski**. Pewnie przez całą drogę z Końskich, leżących w centralnej Polsce, zastanawiał się czym mógłby się zająć.

Przed wojną był zawodowym wojskowym. Prawie do września 1939 roku odpowiedzialny był za sprawy kulturalno-oświatowe, m.in. prowadził bibliotekę w Twierdzy Modlin. Dopiero w obliczu zbliżającej się wojny postarał się o przydział mobilizacyjny umożliwiający walkę. Podczas wojny po klęsce wrześniowej nie złożył broni.

W strukturach Armii Krajowej jako ppor. „**Drzazga**” do końca walczył z okupantem hitlerowskim. No tak, ale przecież do tego przyznać się nie mógł. Dlatego zresztą, jak wielu z tamtych terenów, jak wielu ze zniszczonej Warszawy akowców, przenosił się ze świadomością, że o wojennych zasługach długo nikomu nie będzie mógł opowiedzieć, ani się do nich przyznać.

Pan Stanisław **Bednarski** mieszkał we Wrześcu do 20 września 1971 roku. Wtedy z żoną i dziećmi powrócił do rodzinnych Końskich. Dożył sędziwych lat. Zmarł w wieku 102 lat w 2012 roku, w końcówce życia doceniony za działalność podczas II wojny światowej oraz wielu lat pracy we Wrześcu.

Wróćmy jednak do rozterek pana Stanisława **Bednarskiego** związanych z tym, czym mógłby się zająć. Ważne, że mógł się na tych terenach



Pismo Władysława Kwapisza mianujący
Stanisława Bednarskiego nauczycielem
kierującym Szkołą Podstawową we Wrześcu 13.

rocznicę śmierci gen. Karola **Świerczewskiego**, co było okazją do opowiedzenia o walce z banderowcami. Pomimo tej tematyki podczas uroczystości udawało się jednak przemycać śpiewanie Roty, czy informacje o święcie 3 Maja.

Zakończenie roku szkolnego 1947/1948 nie dla wszystkich było przyjemne. Choć uroczystość zakończenia obfitowała w recytacje i śpiewy, to nie wszyscy mogli cieszyć się promocją. Coraz częściej pojawiają się informacje o niespełnianiu obowiązku szkolnego, nieprzykładaniu się do nauki i braku współpracy rodziców ze szkołą.

Kolejne lata pracy w szkole upływały na staraniach, aby ciągle polepszać warunki pracy i nauki. Z uwagi na coraz większą liczbę uczniów, oprócz dwóch sal w szkole na



Budynek starej plebanii, w którym również odbywały się zajęcia. Fot. arch. SP Wrzeście.

jej na potrzeby zaadaptowano dwa pomieszczenia na plebanii. Było to konieczne, ponieważ co roku przybywał kolejny oddział i należało myśleć o urządzaniu sal specjalistycznych.

W latach pięćdziesiątych pan Stanisław **Bednarski** podjął się organizacji harcerstwa. Ta praca przynosiła bardzo pozytywne efekty. Jednak oczkiem w głowie pana **Stanisława** stał się ogród doświadczalny, w którym uprawiane były różne nieznanne rośliny. Ta praca była często doceniana i niejednokrotnie nagradzana na sekcjach powiatu.

Pierwsze lata pracy szkoły to ciągła walka o to, aby jak najlepiej sprostać pewnie niewielkim wtedy, ale pewnym standardom. Trudności bytowe były już omawiane. Jednak nie mniejsze były z samymi uczniami. Szczególnie w pierwszych latach powojennych dużym problemem był ich stan wiedzy i duże zróżnicowanie, bynajmniej nie ze względu na wiek.

Uczniowie przyjeżdżali i wyjeżdżali ze względu na zmianę miejsca zamieszkania ich rodziców. Dużą niedogodnością było też to, że ponad setkę uczniów siedmiu oddziałach uczyło tylko dwoje nauczycieli. Jednak i tu miała nastąpić zmiana.



TAT r°k u smolnym 1951

V V /1952 pracę podjął trzeci nauczyciel - Stefan Kuśnierczyk. Rok później

pan Stanisław Bednarski z uczniem w swoim ogródku doświadczalnym. Fot. arch. SP Wrzeście.

zaczęła pracę Aleksandra Pietrzak, która pod nazwiskiem Jakubczyk pracowała w naszej szkole aż do emerytury. W tym miejscu warto dodać, że powodem tak małej liczby uczących nauczycieli wcale nie był ich brak, ale ogólne przepisy i o wiele wyższe pensum nauczycielskie.



Pani Aleksandra Jakubczyk z domu Pietrzak podczas lekcji. Fot. arch. SP Wrzeście.

Jak bardzo zmieniło się życie i warunki bytowe uczniów na przestrzeni wielu lat można by wiele opowiadać. Dzisiejszych uczniów ciężko byłoby pewnie przekonać do nauki w tamtych czasach. Jedno z porównań może dotyczyć cytatu o akcji dożywiania uczniów przeprowadzonej w 1950 roku:

„W okresie wiosennym Zarząd Gminy w Lubuczewie asygnował na dożywianie dzieci 11 tys. złotych. Dożywianie zorganizowane było w ten sposób, że przewodnicząca Komitetu Rodzicielskiego ob. Kowalska akcją tą poprowadziła. Kupowała chleb lub bułki - smarowała masłem lub szmalcem. Każde dziecko otrzymywało przeznaczoną porcję. Dożywianie trwało przez dwa tygodnie.”



Klasa II z wychowawcą Stanisławem Bednarskim. Rok szkolny 1955/56. na zdjęciu: Adam Bednarski, Krystyna Szula, Zbigniew Karasek, Stanisław Samandel, Andrzej Młyński, Zofia Niemczak, Stanisława Oleśkiewicz, Jadwiga Purzyńska, Gertruda Trapp, Teresa Nowakowska, Stanisława Czerwonka, Marta Łyczakowska, Helena Łyczakowska, Anna Matuska, Helena Litwin, Alicja Miłek, Piotr Nagy, Zygmunt Trapp, Józef Juncaba, Leszek Płoszaj. Fot.arch. SP Wrzeście.

Ciekawe, co myślą teraz (jeśli to czytają) dzisiejsi uczniowie gminy Słupsk, na terenie której wszyscy mają prawo do bezpłatnych obiadów i to przez cały rok. Opowieść o poszanowaniu jedzenia w tym kontekście mogłaby zająć tu sporo miejsca. Tak na marginesie ciekawe, co na tak zorganizowane wtedy dożywianie powiedziałyby dzisiejsze służby sanitarne?

W tym samym 1950 roku miały miejsce jeszcze co najmniej dwa przyjemne wydarzenia. Pierwsze to zakup piłki. Mogło się to odbyć dzięki loterii fantowej urządzonej przez Koło Przyjaciół Żołnierza. Po przeliczeniu pieniędzy dwóch członków koła specjalnie pojechało do Słupska i... „kupiło piłkę do gry”.

Drugie ważne i bardzo przyjemne wydarzenie mogło mieć miejsce dzięki dochodom z zabawy tanecznej zorganizowanej przez Komitet Rodzicielski. Za 10 tys. zł zorganizowano wycieczkę do Ustki. Wzięło w niej udział 68 dzieci. Zawiezione były traktorem i powróciły też. Ciekawe, czy dzieci zdawały sobie wtedy sprawę w jak niebezpiecznych warunkach były wiezione. Wtedy było to normalne. Jeszcze długo dzieci wożono przysłowiową „bonanzą”, chociażby na wykopki i według wspominających tamte czasy, fajniejszego transportu nigdy nie mieli.

Niestety, nie zachowały się (albo nie istniały) dzienniki lekcyjne oraz arkusze ocen z pierwszych lat istnienia szkoły. Brak też protokołarzy obrad Rad Pedagogicznych. Niemożliwe jest z tego powodu odwołanie imion i nazwisk pierwszych uczniów szkoły we Wrześciu. O pełnych danych można mówić dopiero od roku 1950, kiedy założono pierwszą księgę uczniów.

Wiemy z różnych innych źródeł, że wśród tych pierwszych uczniów są urodzeni jeszcze w latach trzydziestych i czterdziestych: Helena **Błędowska**, Kazimiera **Misztal**, Anna **Januszewska**, Genowefa **Cielesińska**, Katarzyna **Litwin**, Zofia **Staruch**, Julia **Łukaczyk**, Ryszard **Wolak**, Wacław **Kozłowski**, Józef **Duraj**, Ryszard **Nadolny**, Zofia **Terefenko**. Niewiele młodszy był urodzony na początku lat czterdziestych Roman **Setnik**, Jan **Szewczyk**, Jerzy **Kędziora**, Jan **Łukaczyk**, Leokadia **Damaszka**, Halina **Pieczykolan**, Stefania **Paduch**, Bronisława **Kaufman**, Danuta **Jakubiec**, Halina **Adamska**, Krystyna **Smagieł**, Emilia **Wnuk**, Stefan **Milek**, Antoni **Lepper**, Wanda **Trapówka**.



Pierwsi uczniowie szkoły we Wrześciu podczas wycieczki do wzorowego gospodarstwa pana Zygmunta Mackiewicza (na zdjęciu) z Lubuczewa. Fot. arch. SP Wrzeście.

...tu na ziemi prastarego polskiego Pomorza jakoś uroczyskiej i majestacyjnej brzmiała chóralnie odmawiana modlitwa: „Duchu Świąty, Który oświecasz serca i umysły nasze...” Uczuciem radości i smutku zarazem napętniła się dusza moja. Stały jak żywe przede mną minione lata szczęśliwego dzieciństwa, kiedy i ja byłem dzieckiem - kiedy modliłem się do Ducha Świętego o oświecenie serca i umysłu mego. (...) Polska zrządzeniem losów wraca na swoje piastowskie ziemie, a ja jestem jednym z tych, (...) którzy mogą nieść oświaty kaganek. Dumny byłem, że wiedziony nieomylnym instynktem tu się znalazłem. I ten zaszczyt, który mnie spotkał widziany tylko oczami duszy mojej był pierwszą i największą dla mnie nagrodą za pracę i ukierunkowanie tej szkoły.

Ten warunek to pasja i chęć bezinteresownego oddania się pracy.

Żona pana **Stanisława**, Stefania **Bednarska** była od 1931 roku nauczycielką. Naturalne więc było, że kiedy w sierpniu 1946 roku przybyła za mężem, jako przygotowana do pełnienia funkcji przejęła z rąk męża kierowanie szkołą.

Kiedy, jako pierwszy polski nauczyciel, przybył do Wrześcia, jego oczom ukazał się żałosny widok.

Budynki szkolne, pozostawione przez stacjonujące w nich wojska radzieckie, były w opłakanym stanie. Właściwie przez pierwszych kilkanaście lat starania kierownictwa szkoły oraz kolejnych nauczycieli zmierzały głównie do tego, żeby polepszać warunki nauki. Ta troska przebija praktycznie ze wszystkich kart pierwszej kroniki szkolnej. Tak wspominał czas uruchamiania szkoły (było to pomiędzy 14 a 19 grudnia 1945 roku) w swoich zapiskach:

Budynek szkolny, ławki, jakaś okaleczona szafa, ślady pomieszczeń gabinetu

fizycznego i kilka zniszczonych map. To cały majątek jaki pozostał po szkole niemieckiej. Chcąc jak najszybciej uruchomić szkołę zająłem się skompletowaniem ławek, stołu i tablicy, a kiedy to już było gotowe pozostało jeszcze postarać się o szkło i zaszkląć około 30. szyb...



Widok obecnego budynku dawnej szkoły we Wrześciu.

Fot. A. Obecny.

Pierwsze zajęcia w szkole odbyły się 19 grudnia 1945 roku. Do szkoły zapisało się 14 uczniów. Oczywiście nie było podziału na klasy. Najpierw należało w tej gromadzie dzieci w różnym wieku rozpoznać te, które znają litery, umieją lepiej czy gorzej czytać i pisać. Myśląc o tym, że stali przed nauczycielem, który tym nauczycielem był tylko z nazwy, uczniowie potrzebowali praktycznie indywidualnego programu nauczania. Ciekawe jak poradziłoby sobie współcześni pedagodzy nieraz po kilku fakultetach z takim problemem. Zapewne poradziłoby sobie. Jest jednak jeden warunek tamtego sukcesu. Najlepiej zabrzmiał on znowu w słowach pana Stanisława **Bednarskiego**:



Grono pedagogiczne z uczniami na zakończenie roku. W ostatnim rzędzie od lewej stoją: Michał Stróżyński, Aleksandra Pietrzak, Stefania Bednarska, Stanisław Bednarski. Fot. arch. SP Wrzeście.

Podobnie jak on swoje najważniejsze zadania widziała w poprawianiu warunków panujących w budynku szkolnym. Z zapisanych kart dokumentów przebija troska zarówno o zdobycie podstawowych pomocy do nauki, jak i załatwienie największych dziur w dachu.

Pierwsze prace oprócz pana **Stanisława** wykonywali przysyłani do pracy Niemcy. Dopiero po wizycie panów inspektorów oświaty i samorządu pomoc była bardziej widoczna i znacząca.

Dzięki temu rok szkolny mógł się zacząć w miarę znośnych warunkach. Szkoła miała więc już dwóch nauczycieli. 64 zapisanych uczniów uczyło się w dwuklasówce z czterema oddziałami. W kolejnych latach liczba dzieci wzrastała, po kilku latach przekraczając 100.

Życie szkolne coraz bardziej przybierało ramy normalności. Odbывały się uroczystości szkolne, akademie z okazji świąt państwowych, utworzono koło PCK, wybrano Komitet Rodzicielski, którego długoletnią przewodniczącą była pani **Kowalska**.

Nauczyciele wraz z dziećmi starali się pozyskiwać fundusze na zakup pomocy naukowych. W tym celu np. w 1946 roku dwukrotnie wystawiono jasełka.

Czytając zapiski w kronice szkolnej można odnaleźć również znaki zmieniającej się sytuacji politycznej. Do 1947 roku często pojawiają się informacje o świątach kościelnych, pierwszej komunii świętej dzieci czy wspólnych modlitwach. W kolejnym roku szkolnym pierwszą informacją jest informacja o uroczystości z okazji 30-tej rocznicy rewolucji październikowej w Rosji.

Wprawdzie jest informacja o zorganizowaniu przez koło PCK zbiórki na paczki z okazji Świąt Bożego Narodzenia dla ubogich, ale już w lutym dowiadujemy się, że mija właśnie 5 lat od zwycięskiej bitwy pod Stalingradem. Była to okazja do zapoznania uczniów z postacią wielkiego Józefa **Stalina**. Niedługo później odbył się poranek w drugą



Do wspólnego zdjęcia na rozpoczęcie roku szkolnego 1949/1950 stanęło 42 uczniów.
Fot. arch. A. Jakubczyk.

Początek lat pięćdziesiątych w szkole, jak można się domyślać, to coraz więcej informacji związanych z ówczesną sytuacją polityczną. Nadal więc obchodzono w szkole rocznicę rewolucji oraz urządzano poranek o „życiu i działaniu genialnego człowieka Włodzimierza **Le-nina**". W tym samym roku odnajdujemy też informację o uczczeniu powstania „Republiki Niemiec”. Ciekawe, których?

W roku szkolnym 1950/51 nauczyciele przeżyli najmniej lubiany do dzisiaj czas. Dwukrotnie, najpierw 12 września, a następnie 12 października szkołę odwiedzili inspektorzy szkolni i przeprowadzili zajęcia. Nic nie wiemy o wynikach tych wizyt, ale chyba najgorzej nie było.



Aleksandra Pietrzak ze swoją klasą. Fot. arch. SP Wrzeście.

Spośród wielu uroczystości, które w tym roku się odbyły, na szczególną uwagę zasługuje zorganizowany 3 czerwca Dzień Dziecka, na który zjechali uczniowie ze wszystkich szkół gminy Lubuczewo, a także dzieci ze świetlicy TPD ze Słupska. Wcześniej z okazji Święta 1-go Maja w miejscowej świetlicy nazywanej dumnie Domem Ludowym dzieci pokazały sztukę pt. „Będę Sołtysem”. Takie to były marzenia dzieci.



Klasa II z panią Aleksandrą Pietrzak. Rok 1959. Fot. arch. SP Wrzeście.

Kolejny rok szkolny rozpoczął się znaczącymi zmianami w życiu szkoły. Po raz pierwszy w ławach szkolnych zasiedli siódmoklasiści. Oprócz tego, że w ten sposób szkoła uzyskała rangę pełnej szkoły podstawowej, to stała się szkołą gminną dla pobliskich szkół niżej zorganizowanych: w Wiklinie, Lubuczewie i Karżcinie. Znacząco wzrosła w ten sposób liczba uczniów.

JAK ZMIENIAŁA SIĘ SZKOŁA

Z biegiem czasu polska szkoła we Wrześciu ulegała ciągłym zmianom pod wieloma względami i była to specyfika pracy większości szkół podstawowych na terenach, które były zasiedlane przez Polaków. Inaczej pewnie było na terenach przedwojennej Polski, gdzie wiele dzieci uczyło się zarówno w przedwojennych, a także w szczątkowych, dopuszczonych przez okupanta podczas okupacji szkołach.

Dochodziło do tego jeszcze oczywiście tajne nauczanie powszechne nie tylko w miastach, ale też w małych miejscowościach.

Na terenach tej przedwojennej Polski nauczyciele mieli więc uławną pracę. Często powracali oni do dawnych szkół ze swoimi, zarówno przedwojennymi, jak i „wojennymi” uczniami.



Uczniowie Szkoły Podstawowej we Wrześcu w latach pięćdziesiątych XX wieku. Po prawej stoją: Aleksandra Pietrzak i Stanisław Bednarski. Fot.arch. SP Wrzeście.

Wyobraźmy sobie nauczycieli takich jak pan Stanisław **Bednarski**, przed którym 19 grudnia 1945 roku stanęła czternastoosobowa grupka dzieciaków. Uczniowie mieli od kilku do kilkunastu lat. Pochodzili z różnych rejonów przedwojennej Polski. Ich wiedza i umiejętności nie zawsze zależały od wieku. Nie było oczywiście mowy o jakimkolwiek programie nauczania, podręcznikach dostosowanych do poziomu uczniów.

Pierwsze próby dzielenia uczniów na oddziały i klasy nie były łatwe i naturalne. Niestety, nie wszystkie dzieci w równym, oczekiwanym przez nauczycieli stopniu przykładały się do nauki. Skutkiem tego była coraz większa z roku na rok drugoroczność. I nie była to oczywiście tylko specyfika szkoły we Wrześcu.

Ponieważ problem ten został zauważony przez władze oświatowe, w roku 1952 wprowadzono do szkół średnich obowiązkowy egzamin po klasie siódmej.

Warto może w tym miejscu przypomnieć, że w całym 70-leciu po wojennego szkolnictwa przeżywało ono częste zmiany organizacyjne. Pierwsza koncepcja organizacji oświaty po wojnie powstawała już od wiosny 1945 roku.

Ogólnopolski Zjazd Oświatowy, który obradował w dniach od 18 do 22 czerwca w Łodzi postanowił m.in., że powstanie 11-letnia szkoła podzielona na trzy cykle programowe: kurs propedeutyczny (klasy 1-5), średni niższy - gimnazjalny (klasy 6-8) i systematyczny licealny (klasy 9-11). Obowiązek szkolny miał obejmować naukę pierwszego i drugiego cyklu pobieraną od 7 do 15 roku życia. Ponieważ od samego początku wprowadzony ustrój szkolny podlegał krytyce, powstawały różne koncepcje jego zmiany. Skutkiem tego już 1 marca 1948 roku wprowadzono jedenastoletnią szkołę ogólnokształcącą (7 lat szkoły podstawowej plus 4 lata liceum ogólnokształcącego). W 1949 roku postanowiono, że wszystkie obwody



Klasa IVz wychowawcą Stanisławem Bednarskim. Rok szkolny 1959/60.

Fot. arch. rodz. Bednarskich.

szkolne liczące ponad 80 dzieci, miały w szkołach 4 nauczycieli i realizowały 7 klas. To ostatnie jak najbardziej dotyczyło szkoły we Wrześciu.

W roku 1961, 15 lipca Sejm uchwalił ustawę „o rozwoju systemu oświaty i wychowania”. Głównym założeniem ustawy było wprowadzenie ośmioletniej szkoły podstawowej. W latach 70-tych zaniechano wprowadzenia kolejnej reformy polegającej na tworzeniu szkół dziesięcioletnich. Ostatnią reformą, która znacząco wpłynęła na pracę szkoły była ta z 1998 roku. W jej wyniku szkoła we Wrześciu stała się szkołą sześcioklasową.

W roku 2010 w budynku szkolnym pojawiły się dzieci trzy - cztero - i pięcioletnie w wyniku utworzenia punktu przedszkolnego. Integracja wszystkich dzieci i uczniów pokazała, że obie placówki mogą bez przeszkód funkcjonować w jednym budynku.

Jak już wskazano na poprzednich stronach książki, od samego początku ogromnie dużo troski kierownictwo szkoły przykładło do poprawienia warunków pracy. Wraz z rozrastaniem się organizacyjnym placówki należało myśleć o nowych dla niej pomieszczeniach.



Klasa I z wychowawczynią Stefanią Bednarską. Rok szkolny 1959/60.

Fot. arch. rodz. Bednarskich.

O dramatycznych nieraz próbach poprawy istniejących warunków opowiadają zapiski z kroniki szkolnej. Pani Stefania **Bednarska** starała się zapoznać z problemami władze oświatowe poprzez m.in. wpisy w różnych dokumentach szkolnych. W jednym z nich, z 1954 roku czytamy:

"... jest to dom stary - wymaga stałego remontu. W czasie deszczów ulewnych woda leci oknami do sal, zacieka nad oknami pod sufitem. Nie ma pomieszczenia na szkołę zbiorczą- sala, którą szkoła ma w budynku byłej plebanii też warunkom szkolnym nie odpowiada. Należałoby pomyśleć o budowie nowego gmachu szkolnego".

Dwa lata później w innym dokumencie odnajdujemy inny odręczny dopisek, który do poprzednich uwag dodaje:

"... są to sale zimne bo znajdują się nad piwnicami... Brak pomocy do fizyki, do j. polskiego i do zajęć praktycznych."

Te i inne liczne apele, zgłaszane zapewne też ustnie, miały swój odzew.



Kadra szkoły. Od lewej: Michał Stróżyński, Aleksandra Pietrzak, Stanisław Bednarski z córką Elżbietą i w tle Stefania Bednarska. Rok 1955. Fot. arch. rodz. Bednarskich.

W listopadzie 1956 roku Gromadzka Rada Narodowa przyjęła Uchwałę o treści:

„Gromadzka Rada Narodowa w Wrześciu, na swym posiedzeniu w dniu 28 listopada 56 r. działając kolegalnie i w myśl obowiązujących przepisów postanawia zatwierdzić wniosek komisji oświaty i zobowiązać Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Wrześciu by wystąpiło z wnioskiem, motywując: istnieje konieczna potrzeba budowania nowej szkoły, bo w takich warunkach, jakie szkoła we Wrześciu ma obecnie, nie można realizować programu nauczania, gdyż brak jest pomieszczenia na gabinety

odmówić panu Władysławowi **Dymkowi**. W wywiadzie prasowym z 1984 roku na 20-lecie oddania do użytku budynku nowej szkoły pan dyrektor wyjawiał, iż jego największym marzeniem jest, aby szkoła we Wrześciu miała salę gimnastyczną z prawdziwego zdarzenia. Mówił wtedy do gazety:

„W okresie zimy i wczesnej wiosny zajęcia z wychowania fizycznego odbywają się w hallu, wzdłuż którego rozmieszczone są klasy”.

Na czele Społecznego Komitetu stanął mgr inż. Stanisław **Wiśnik**. Jedną z najbardziej zaangażowanych osób był także ówczesny, wieloletni przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego Jerzy **Pieruń**. Dzięki dużemu zaangażowaniu członków komitetu, a także wielu rodziców rozpoczęta w 1987 roku budowa sali zakończyła się oddaniem nowego obiektu jesienią 1990 roku.

Oprócz sali gimnastycznej szkoła wzbogaciła się wtedy o nowy łącznik, gdzie urządzono salę lekcyjną i pokój nauczycielski, zaplecze



Nowy budynek saligimnastycznej oddany 3 maja 1991 roku. Przecięciawstęgi dokonują Władysław Rajszczyk - wójt gminy Słupsk, Stanisław Wiśnik - przewodniczący Społecznego Komitetu Budowy, Władysław Dymek - dyrektor szkoły. Fot. arch. SP Wrzeście.



Nowy budynek szkoły „Tysiąclatki” oddany w 1964 roku. Fot. arch. SP Wrzeście.

W latach 70-tych budynek szkoły, pomimo zwiększającej się ciągle liczby uczniów i nauczycieli (zlikwidowano ostatecznie szkoły filialne w Wiklinie, Lubuczewie i Karżcinie), musiał wystarczyć. Coraz częściej wśród marzeń zarówno pana dyrektora Władysława **Dymka**, jak i nauczycieli pojawiał się temat braku sali gimnastycznej. Wtedy jednak marzenie to było nie do zrealizowania. Jeszcze w 1985 roku jedyną szkołą podstawową na terenie gminy Słupsk, która posiadała salę gimnastyczną, znajdowała się w Jezierzycach.

W tej sytuacji musiano więc cieszyć się innymi inwestycjami: nowym ogrodzeniem szkoły z 1976 roku czy nową elewacją wykonaną rok później.

W 1981 roku generalnego remontu doczekał się budynek dawnej szkoły dzięki czemu mieszkania otrzymały trzy nauczycielki.

W połowie lat 80-tych modnym stało się powoływanie Społecznych Komitetów, których celem mogła być też budowa sal gimnastycznych. Na terenie naszej gminy powstały dwa takie komitety: we Wrześciu i Bierkowie.

Oprócz samej inicjatywy społecznej bardzo ważną rolę odgrywało zaangażowanie dyrektorów szkół. Takiego zaangażowania nie można

sanitarne, pomieszczenia gospodarcze. Do sali dobudowano również nową kotłownię, która ogrzewać miała cały obiekt.

W nowym budynku swoją siedzibę otrzymały również panie z koła gospodyń wiejskich, których członkinie pochodziły głównie z Wrześcia i Lubuczewa.

Uroczystość otwarcia nowej sali poprzedzona została mszą polową poprowadzoną przez długoletniego proboszcza parafii Wrzeście, ks. Jerzego **Liera**.

O d lat 90-tych praktycznie do chwili obecnej to czas, w którym niemal co roku szkoła we Wrześciu zmieniała się, rozbudowywała i piękniała. Wpływało na to wiele czynników, najważniejsze było jednak to, że już od 1995 roku organem prowadzącym szkołę stała się gmina Słupsk. Gmina Słupsk, a tym samym szkoły będące na jej terenie miały szczęście do gospodarzy, zarówno kolejnych wójtów, jak i rad gminy. Przez wszystkie lata jednym z priorytetów samorządu było stałe polepszanie warunków nauki i uczenia. Budowa nowych obiektów szkolnych, sal gimnastycznych, stała modernizacja i ich doposażenie ma zawsze swoje odbicie w corocznym budżecie gminy Słupsk. Prześledzić to można choćby na przykładzie Szkoły Podstawowej we Wrześciu.

Tak początek swojego dyrektorowania przypomina Zbigniew **Kamiński**:

„Wspominam rok 1992, gdy po wygranym konkursie od pierwszego września zacząłem pełnić funkcję dyrektora. Główny budynek szkoły był w opłakanym stanie. Odpadające płytki PCV, dziurawe drzwi, pozabijane na gwoździe okna to tylko niektóre najbardziej widoczne braki. Osobiście najbardziej rzucała mi się w oczy gryząca zielona farba, którą pomalowana była cała szkoła. Zresztą i ona miała już wiele lat. Tajemnicę tej zieleni wyjawiał mi mój poprzednik. Otóż w budynku szkoły organizowane były kolonie letnie przez jedną ze śląskich kopalń. Przedstawiciele organizatorów chcąc jako tako przystosować warunki do potrzeb kolonistów proponowali odświeżenie ścian. Warunek był jeden - musi być to kolor zielony, bo tylko taką farbą dysponowali. Pan dyrektor oczywiście na to przystał.”

W tamtych czasach (kto je jeszcze chce pamiętać?) była to okazja jakiej inni mogli pozazdrościć. Ówczesne kuratorium (organ prowadzący) nie był miejscem, w którym rozmowa o potrzebach wiejskiej



Oddana w 1999 roku hala widowiskowo-sportowa.
Fot. arch. SP Wrzesćcie.

szkoły byłyby priorytetem. Znalezienie się w planie budżetowym ówczesnego *Gminnego Zespołu Ekonomiczno-Administracyjnego Szkół* też nie dawało nadziei, że można liczyć na pomoc. Często okazywało się, że są ważniejsze i pilniejsze

...
m z „P” S C m n y

we Wrześciu. O najpilniejszych potrzebach decydowały kontrole Sanepidu, Straży Pożarnej i innych służb kontrolujących warunki nauki, a nie apele dyrektorów placówek oświatowych.

Powróćmy do wspomnień dyrektora Zbigniewa **Kamińskiego**:

„Z rozrzewnieniem wspominam ten okres. Zaczęło się od 1000 złotych otrzymanych od ówczesnego wójta śp. Władysława Rajszczaaka, które starczyły na podstawowy materiał. W przeciągu miesiąca udało mi się zmobilizować mieszkańców poszczególnych sołectw, którzy w soboty i niedziele dokonali cudu. Angażując nie tylko swój czas, ale też często własne środki i materiały odświeżyli praktycznie całą szkołę. Nie tylko pomalowali wszystkie pomieszczenia, ale także ponaprawiali drzwi, okna i podłogi. To wspólne zaangażowanie i radość z efektów owocowało jeszcze wiele lat. Co dla mnie ważne zmieniło to także początkowo nieufny stosunek części społeczeństwa, do przychodzącego z zewnątrz nowego dyrektora.”

W następnych latach udało się jeszcze wymienić oświetlenie, wyremontować kuchnię (jak się okazało zamkniętą przez Sanepid), a także dzięki różnym „zabiegom” wyposażać szkołę w nowe meble

„Bosman” otrzymane z zaprzyjaźnionej szkoły w Jezierzycach, a także pierwsze komputery.

Od 1996 roku sytuacja zmieniała się znacząco. Choć udział rodziców w różnych pracach na terenie szkoły był nadal ważny, to samorząd gminy Słupsk podejmował coraz częściej decyzje o generalnych remontach wrześcieńskiej placówki. Odbywało się to stopniowo.

Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych wymienione zostało pokrycie dachowe, okna i wszystkie drzwi. Remontu doczekały się łazienki i przy okazji zaadaptowano na inne cele część pomieszczeń. Zaczęła się też stopniowa wymiana podłóg.

W końcu lat 90-tych z inicjatywy działaczy Uczniowskiego Klubu Sportowego „Piast”, a szczególnie istniejącej od 1995 roku sekcji judo podjęto starania o budowę sali treningowej dla judoków.

Władze gminy początkowo podchodziły do sprawy niezbyt przychylnie. Jednak bardzo duże zaangażowanie szczególnie Jerzego **Sikory**, Wiesława **Okroja**, Jacka **Słupskiego** (twórcy sekcji judo) i innych działaczy doprowadziły do oddania w 1999 roku pięknego obiektu, który do dzisiaj służy uczniom nie tylko na zajęcia sportowe, ale także imprezy szkolne i środowiskowe. Mieści się tu też gabinet integracji sensorycznej.

Trudno byłoby wymieniać wszystkie prace wykonane po roku dwutysięcznym do dzisiaj. Objętość książki nie pozwala na wymienienie wszystkich prac, ich historii i anegdot z nimi związanych. Zresztą, na ten konkretny temat powstała praca licencjacka pani Wioletty **Klimkowskiej**, absolwentki naszej szkoły.

Warto jednak wymienić najważniejsze prace. Należą do nich: przebudowa kotłowni szkolnej (ze starej węglowej powstała nowa - ekologiczna), zagospodarowanie pomieszczeń starej kotłowni na potrzeby sportowców (szatnie, toalety, natryski, magazyny, pokój nauczycieli wf), budowa boiska sportowego i placów zabaw, budowa dróg i parkingów i klombów wokół szkoły, docieplenie budynku i położenie nowej elewacji, wymiana podłóg i generalny remont sali gimnastycznej, przebudowa kuchni szkolnej - dostosowanie do

standardów, przebudowa dawnego zaplecza sportowego na potrzeby m.in. biblioteki z czytelnią i logopedy, przebudowa pomieszczeń na potrzeby punktu przedszkolnego.

Pani Wioletta **Klimkowska** opisuje te prace na kilkudziesięciu stronach. Do tych i wielu innych większych i mniejszych prac należy dodać stałe doposażenie szkoły w najnowocześniejszy sprzęt. O tym jednak przyjdzie czas opowiedzieć w innej części historii szkoły.

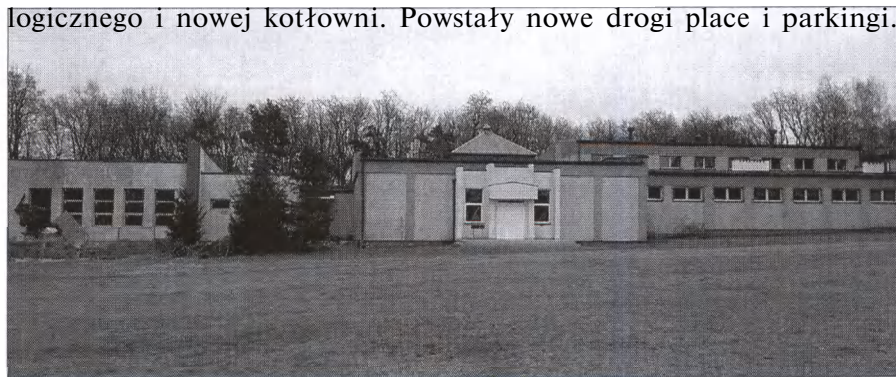


Front głównego budynku szkoły - marzec 2016 rok.

Fot. arch. SP Wrzesćcie.

Trzeba zaznaczyć, że to nie koniec zmian. W 2016 roku ponownie teren naszej szkoły zmienił się w plac budowy.

Powstaną tu nowe piękne obiekty. Oprócz świetlicy na potrzeby lokalnego środowiska cieszymy się z nowego gabinetu stomatologicznego i nowej kotłowni. Powstały nowe drogi place i parkingi.



Kompleks sportowy z widoczną budową - marzec 2016 rok. Fot. arch. SP Wrzesćcie.

Nasi sportowcy korzystają z nowego boiska wielofunkcyjnego i bieżni lekkoatletycznej.

Taka duża inwestycja była też okazją do kolejnych remontów i adaptacji. Cały obiekt uzyskał nową elewację, a teren będzie na nowo ogrodzony.

DZIAŁALNOŚĆ POZALEKCYJNA W LATACH 1945-1990

Gdy myślimy o początkach nauczania we Wrześciu warto jest zastanowienia, jak wyglądał sam proces zapisywania uczniów do szkoły. Właściwie skąd mieszkańcy mieli wiedzieć, że mogą to robić.

Na ile wiedział, jak to robić Stanisław **Bednarski**, który z nauczaniem i prowadzeniem szkoły miał niewiele wspólnego? Być może przygotowała go trochę żona **Stefania** - przedwojenna nauczycielka. Może jak „uczycielka” z „Konopielki” musiał pan **Stanisław** chodząc od domu do domu przekonywać, że wiedza jest potrzebna, by zrozumieć świat i umieć się w nim odnaleźć?

Wiemy, że pierwszych uczniów było czternaścioro. Nie wiemy, czy to wszyscy mogący się uczyć. Ilu rodziców odmówiło zapisu do szkoły? Jak działalność szkoły w pierwszych miesiącach jej istnienia wpłynęła na dalsze zapisy? Bo, że uczniów stale przybywało to wiemy na pewno.

Możemy się domyślać, że od samego początku działania pierwszych nauczycieli nie polegały tylko na nauczaniu dzieci. Jak zresztą nauczać grupę uczniów, mających od kilku do kilkunastu lat, pochodzących z różnych części Polski, mających za sobą różne przygotowanie. Zapewne, tak jak dziś, dużym zmartwieniem ówczesnych nauczycieli było takie prowadzenie zajęć i samej placówki, aby uczniom chciało się do niej chodzić. Dzisiaj pewnie łatwiej jest egzekwować tzw. obowiązek szkolny. Nie zmienia to faktu, że staramy się, aby nasi uczniowie chodzili do szkoły z radością, a nie z przymusu. Mamy podstawy sądzić, że zdecydowana większość uczniów - zarówno dawniej, jak i dzisiaj naszą szkołę po prostu lubi.

A co lubić miały dzieci w grudniu 1945 roku?

Stare ławki, naukę bez książek i pomocy naukowych z nauczycielem, którego jeśli takim można go było nazwać, to tylko dlatego, że do swojego nowego zajęcia miał duże przekonanie.

Przywołajmy na te nasze rozmyślania wypowiedź Zbigniewa **Kamińskiego**:

„Niech mi będzie można wspomnieć rok 1992, kiedy to na nasze zaproszenie przybył w grudniu do Wrześcia pan Stanisław Bednarski. Było to duże zaskoczenie dla wszystkich. Zaproszenie właściwie wysłane zostało bez wiary, że przyjdzie jakakolwiek odpowiedź (państwo Bednarscy po wyjeździe do Końskich nie utrzymywali kontaktów ze szkołą). I raptem na początku uroczystości ktoś z pracowników szkoły przedstawił mi starszego pana (miał wówczas 82 lata), który strzelając obcasami podał mi rękę mówiąc: „dostałem od was zaproszenie to przyjechałem”. I tak właściwie, to jak pamiętam posypał się trochę scenariusz uroczystości, ponieważ nagle trzeba było wpleść pana Stanisława w jej przebieg.”

Podczas jednego z wystąpień pan kierownik Stanisław **Bednarski** mówił o początkach szkoły, o tym jak było ciężko i raptem wyjął z torby zwiniętą kartkę papieru, która okazała się starą mapą Polski. Wręczając ją dyrektorowi **Kamińskiemu** powiedział, że to pierwsza pomoc naukowa w naszej szkole i on ją szkole teraz przekazuje. Były wzruszenia i wdzięczność, podobnie, jak kilka miesięcy wcześniej, kiedy ówczesny proboszcz, ks. Jerzy **Lier** przekazał krzyż, który został zawieszony w szkole w 1980 roku, a zdjęty w 1982. Obie te pamiątki są do dziś w gabinecie dyrektora Zbigniewa **Kamińskiego**.

Szkoła, a szczególnie szkoła wiejska jest czymś więcej niż tylko instytucją oświatową. Wszystko, co w szkole się dzieje ma wpływ na całą społeczność. Tę prawdę od samego początku wykorzystywali państwo **Bednarscy** i następni dyrektorzy. Od początku szkoła była miejscem spotkań i zebrań. Tu odbywały się też pierwsze potańcówki. Dla całej społeczności szkolnej przygotowywano z uczniami „poranki i akademie państwowe”. W pierwszych latach (później z wiadomych względów było to niemożliwe) to szkoła organizowała dzieci do pierwszej komunii, a wystawiane jasełka traktowano wręcz jako sposób na pozyskiwanie pieniędzy.

*Pierwsza „pomoc naukowa”
i pierwszy krzyż. Pamiątki
przekazane przez Stanisława
Bednarskiego i ks. Jerzego
Liera. Fot. arch. SP Wrzeście.*



Pierwsze organizacje,

które można było nazwać środowiskowymi z uwagi na fakt, że należeli do nich zarówno uczniowie, jak i do-

rośli to bardzo prężnie działające koło Polskiego Czerwonego Krzyża oraz Koło Przyjaciół Żołnierza Polskiego.

Kolejną z organizacji, założonych w szkole był Związek Harcerstwa Polskiego. Pomimo, że ogniwa szkolne założono w 1949 roku (początek najgorszych lat stalinizmu w kraju) to troską Stanisława **Bednarskiego** było dochowanie wierności ideałom tej organizacji jeszcze z czasów przedwojennych. Równie duże znaczenie miała działalność Szkolnego Koła „Odbudujemy Warszawę”, którego opiekunem był Stanisław **Bednarski**, a członkami Zarządu Zofia **Stępień** i Teresa **Wiśniewska**.

Z podziwem należy patrzeć na zapisy w dawnej kronice szkoły ile, pomimo tych siermiężnych lat, udawało się zorganizować uroczystości i imprez. Rzeczą drugorzędną jest, że uroczystości 3-cio majowe i inne obchodzone przed wojną zostały zastąpione przez nowe gloryfikujące rewolucję październikową, bitwę stalingradzką, czy nawet takie postaci jak gen. Karol **Świerczewski** czy Józef **Stalin**. Cóż, można było tego nie robić, ale szybko przestawało się w takim przypadku być nauczycielem. Dobrze, jeśli pozostawało się wolnym człowiekiem.

Najważniejsze w tym wszystkim było to, że szkoła stawała się coraz bardziej miejscem życia towarzyskiego i rozwoju kulturalnego. To tutaj przychodziło się słuchać radia, czy przeczytać gazetę. To tutaj rozmawiano o rozwoju nie tylko szkoły, ale też całej wsi. Z okrucichów wspomnień dawnych mieszkańców taką jawi się placówka prowadzona



Rok 1967 - grupa wycieczkowa w Koszalinie. Pierwsza z prawej - pani Aleksandra Jakubczyk. Fot. arch. SP Wrzeście.

przez państwa **Bednarskich** i kolejnych nauczycieli. Ciekawostką może być fakt, iż trzeci nauczyciel, Stefan **Kuśnierczyk**, także jak państwo **Bednarscy**, pochodził z Końskich. Chyba to nie był przypadek.

Ze zdumieniem można dzisiaj myśleć o tym, jak dwoje ludzi było w stanie ogarnąć tak ogromną liczbę zadań.

Zacytujmy Zbigniewa **Kamińskiego** w tej sprawie:

„Nie wiem czy byłbym w stanie sprostać Stefanii i Stanisławowi Bednarskim - ja, nauczyciel z 30-letnim stażem pedagogicznym i 24-letnim dyrektorskim. Co dopiero mówić o dzisiejszej „młodzieży nauczycielskiej”, która nieraz odmawia przyjęcia nowych obowiązków z powodów, które do głowy by nie przyszły „starszym nauczycielom”, a powojennym pionierom nauczania w szczególności.

Wspominam czasy, kiedy uczyłem pięciu, sześciu różnych przedmiotów mając za sobą tylko zdaną maturę. I nie mam pewności czy jakość naszej ówczesnej pracy odbiegała od pracy dzisiejszych nauczycieli, wyspecjalizowanych w swoich dziedzinach. A co tu mówić o dwojgu nauczycielach, uczących ponad setkę dzieci na kilku poziomach, prowadzących szkołę i zajmujących się działalnością pozalekcyjną.”

Na marginesie, w kronice znajduje się zapis, że „prowadzenie kół zainteresowań jest utrudnione z uwagi na to, że lekcje kończą się o godzinie dwudziestej”. A i tak na przeglądzie artystycznym w roku 1951 uczniowie szkoły we Wrześciu w „tańcach, śpiewach i recytacji” zajęli drugie miejsce. Zespół artystyczny prowadzony przez panią **Stefanię** dawał wiele koncertów, dzięki czemu pozyskiwano środki na jego działalność.

Wraz z pojawieniem się nowych nauczycieli pojawiły się też i nowe propozycje działalności. Zaczęto coraz częściej organizować wycieczki, na organizację których zbierano fundusze przez cały rok.

W roku 1954 po raz pierwszy z inicjatywy pani Aleksandry **Pietrzak** (później Jakubczyk) ponad trzydziestka dzieci wyjechała do Warszawy. Pani Ola wspomina:

„Przyjechaliśmy z Wrześcia do Słupska. Czekaliśmy w poczekalni starego dworca kolejowego na pociąg do Warszawy. Niektóre dzieci nigdy nie jechały pociągiem. Kiedy na dworzec wjechała sama lokomotywa jeden z chłopców, Stasiek zerwał się z krzesła i przerażony krzyczał: Oj, pociąg! Kiedy wsiedliśmy do wagonu dzieci biegały jak oszalałe, niektóre próbowały siedzenia i leżenia nawet na półkach bagażowych. Razem z p. Bednarskim martwiliśmy sięco będzie w Warszawie. (...) w Warszawie byliśmy trzy dni. Dzieci każdego dnia rano poznawały program na cały dzień. Jednego dnia wczesnym wieczorem poszliśmy do teatru - siedzieliśmy na balkonie. Niektóre dzieci, te bardziej zmęczone zasypiały. W pewnej chwili zauważyłam jak Stasiek, który też zasnął przechodzi przez balkon. Widzowie z dołu to zauważyli i spadającego chwycili. (...) tego dnia przeżyliśmy jeszcze jeden kłopot. Zgubił się Gienek Surmacz. Brak Gienka zauważył jego brat Tadek. Dzięki temu, że znał plan zwiedzania znaleźliśmy go przed Muzeum Wojska Polskiego...”

W kolejnych latach nadal prężnie działały koła i organizacje szkolne. Szkoła organizowała coraz więcej uroczystości. Ze szkołą blisko współpracowała Liga Kobiet, m.in. Maria **Szewczyk** i Halina **Karasek**. Prężnie działał komitet rodzicielski pod przewodnictwem Genowefy **Pieruń** (w 1992 roku przewodniczącym był Jerzy **Pieruń** - syn).



Rok 1954-grupa 30. uczniów z Wrześcia na tle budowanego Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Fot. arch. SP Wrzeście.



Drużyna piłki ręcznej na zawodach w Siemianicach. Pierwszy z lewej - nauczyciel Tadeusz **Januszewski**. Fot. arch. SP Wrzeście.

W latach 60-tych pojawili się nowi nauczyciele. Dzięki temu działalność szkoły nabrała rozmachu. Za sprawą nauczyciela Tadeusza **Januszewskiego** uczniowie odnosili swoje pierwsze sukcesy sportowe. Brali udział w meczach piłki nożnej i piłki ręcznej. W 1960 roku reprezentacja zajęła IV miejsce w powiecie w akrobatyce. W skład drużyny wchodził: Janusz **Płoszaj**, Jerzy **Pieruń**, Anna **Lanz** i Halina **Szewczyk**. Jerzy **Pieruń** był nawet czwarty w klasyfikacji indywidualnej.

Nowe kierownictwo szkoły (w 1960 roku kierownikiem został Władysław

Dymek), jeszcze większy nacisk kładło na wszechstronny rozwój uczniów poprzez udział w organizacjach i kołach zainteresowań. Organizowano coraz więcej wycieczek. Tylko w 1962 roku uczniowie zwiedzili Malbork, Gdańsk, Gdynię. Coraz ważniejszą rolę w rozwoju uczniów odgrywało harcerstwo.

Drużyna im. Obrońców Westerplatte, której drużynowym był hm PL Władysław **Dymek** była organizatorem wielu akcji środowiskowych. Do dzisiaj dumni harcerze i nie tylko wspominają biwaki na terenie szkoły i w słynnym „dołku”.



*Lata osiemdziesiąte - hm PL Władysław **Dymek** ze swoimi harcerzami.*

Fot. arch. SP Wrzeście.

Jak tylko robiło się dostatecznie ciepło rozbijano duże, wojskowe namioty, w których spali uczniowie. Zajęcia terenowe, szkolenia, kuchnia polowa, wieczornice dopełniały zajęcia lekcyjne, które odbywały się w normalnym trybie. Większość uczniów brała udział w Nieobozowej Akcji Letniej (kto to jeszcze pamięta), która organizowana była przez harcerzy podczas wakacji. Latem starsi harcerze brali udział w obozach i zlotach ogólnopolskich. Przygotowanie podczas zajęć we Wrześciu powodowało, że radzili sobie na nich świetnie.

Warto w tym miejscu wspomnieć, jak wielką rolę odgrywali w tamtych czasach i współcześnie rodzice. I ci wybierani do Komitetu Rodzicielskiego, i ci w radach klasowych starali się wspomagać działalność pozalekcyjną szkoły. I to nie tylko poprzez wydawanie pieniędzy zebranych w formie składek. Taką rolę odgrywali np. członkowie Komitetu Rodzicielskiego z 1962 roku.: **T. Dużyńska**, **Irena Sprengel**, **W. Dobrowolska**, **T. Litwin**, **A. Lont**, **Władysław Pieruń**.

Z uwagi na imię drużyny harcerze bardzo często wyjeżdżali na wycieczki do Trójmiasta, by między innymi odwiedzić Westerplatte. Upamiętnianiu patrona służyły także wieczornice, na które zapraszani byli żołnierze.



*Lata siedemdziesiąte - grupa harcerzy ze Szkoły Podstawowej we Wrześniu na Westerplatte.
Fot. arch. SP Wrzeście.*

W archiwum szkoły znajduje się m.in. kronika szkolnego koła Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Działalność koła zainicjowano podczas spotkania z uczniami 18 października 1968 roku odbytego przez „Karola Szufiitę i prezes ZNP p. Barbarę Konon”. Z pierwszego zapisu w kronice dowiadujemy się, że odwiedzający szkołę „...powiedzieli uczniom o wrażeniach z pobytu w ZSRR. Dużo dowiedzieliśmy się o życiu naszych sąsiadów. Również dowiedzieliśmy się o radzieckich szkołach. Od delegacji polskiej otrzymaliśmy adres drużyny pionierskiej. Radzieccy przyjaciele ofiarowali nam książki, widokówki i kawałek rudy magnetytu”.

W ten sposób nawiązano współpracę z drużyną pionierów w Piszczynie na Ukrainie. Przez kilka lat trwała ożywiona korespondencja pomiędzy uczniami szkoły i ukraińskimi pionierami. Szkolne koło TPPR zorganizowała i prowadziła w pierwszych latach (1968-1972) pani Lila **Mołotownik**, która uczyła języka rosyjskiego. Działalność tę kontynuowała w późniejszych latach Elżbieta **Trojanowicz** ucząca oprócz języka rosyjskiego, geografii i języka polskiego.

O działalności koła TPPR wspominamy nie po to, by pokazać pracę ówczesnej szkoły w negatywnym świetle. Nic bardziej błędnego.

Oddajmy głos dyrektorowi Zbigniewowi **Kamińskiemu**:

„Bardzo dobrze pamiętam działalność podobnego koła w „mojej” macierzystej Szkole Podstawowej nr 1 w Uście. Pewnie, że były tam wiersze o Leninie i rewolucji październikowej, ale jakoś nie to najbardziej pamiętam. Naprawdę czekaliśmy na listy i pamiątki od naszych przyjaciół - rówieśników. Naprawdę czułem się wyróżniony, kiedy dostałem adres jednego z uczniów szkoły w ZSRR, z którym przez kilka lat prowadziłem korespondencję. Jakoś ani mi, ani mojemu przyjacielowi do głowy nie przyszło pisać do siebie o tym, jak wielki był Włodzimierz Lenin i jak wspaniały jest komunizm. Zarówno to doświadczenie, jak i późniejsze z początku lat dziewięćdziesiątych, gdy miałem okazję i szczęście poznać grupę wspaniałych Rosjan z Moskwy przekonuje mnie, jak stereotypy i etykiety szkodzą poznawaniu prawdy o ludziach, narodach.”

Wspominając o działalności pozalekcyjnej szkoły w dawnych latach nie można nie wspomnieć o czymś, z czego szkoła we Wrześcu słynęła. Myślę, że wielu uczniów szkoły nie darowałoby tego autorom gdyby to pominęli.

Każdego lata, podczas wakacji drogi naszego kraju zjeżdżone były przez uczestników rowerowych obozów wędrownych.

Inicjatorem, organizatorem i kierownikiem tych obozów był do końca lat osiemdziesiątych dyrektor **Dymek**. Popularność tej formy wypoczynku była wśród uczniów ogromna. Przez dwa letnie tygodnie kilkanaścioro rowerzystów pokonując codziennie kilkadziesiąt kilometrów poznawało uroki różnych regionów naszego kraju.



Lata osiemdziesiąte - obóz rowerowy w Malborku. Fot.arch. SP Wrzeście.

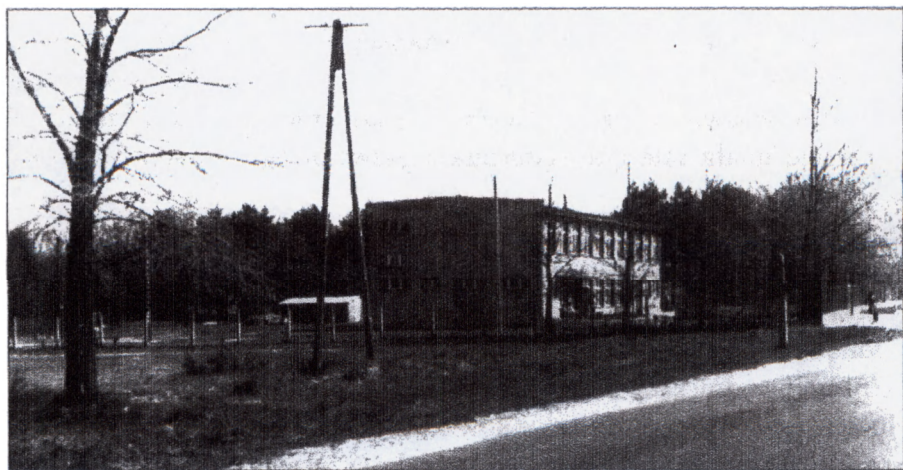
Zbigniew Kamiński:

Atmosfera podczas tych obozów, konieczność pomagania sobie, zależność od siebie była nie do powtórzenia. Piszę to, ponieważ miałem możliwość jako wychowawca współorganizować dwa z tych obozów. Choć osobiście byłem zwolennikiem obozów pieszych (poprowadziłem ich w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych kilkanaście) to te rowerowe także we mnie pozostawiły wspaniałe wspomnienia. I znów niech mi będzie można powspominać tamtą wspaniałą młodzież, która poruszała się rowerami bez przerzutek, bajerów i dzisiejszych wynalazków. Myślę, że na sprzęt, który wtedy mieliśmy do dyspozycji, dziś zdecydowałby się dzisiaj wsiąść.

Pewnie (to też znak czasu) uczestnicy tamtych obozów, dzisiaj nie pozwoliliby na udział w nich swoich pociech.

Do dziś dorośli ludzie, a wtedy uczniowie, z rozrzewnieniem wspominają tamte wyprawy: choćby klejenie przebitych dętek i opon, kiedy cała grupa czekała cierpliwie w rowie przy drodze, jak sobie nawzajem w takich przypadkach pomagali... Jak wspaniałe były wspólnie robione śniadania i kolacje z nieodłącznym pasztetem.

Czy ktoś jeszcze pamięta, że oprócz plecaków przytwierdzonych do rowerów trzeba było wozić ze sobą jedzenie praktycznie na dwa tygodnie. Ale chyba i tak każdy najbardziej pamięta wieczory i noce w schroniskach. Nocne podchody do pokoju dziewcząt i rozmowy do rana. Pomimo wielu niewygód, nieraz jeżdżąc w deszczu i chłodzie były



Nowy budynek szkoły „Tysiąclatki” oddany w 1964 roku. Fot. arch. SP Wrzeście.

W latach 70-tych budynek szkoły, pomimo zwiększającej się ciągle liczby uczniów i nauczycieli (zlikwidowano ostatecznie szkoły filialne w Wiklinie, Lubuczewie i Karzcinie), musiał wystarczyć. Coraz częściej wśród marzeń zarówno pana dyrektora Władysława **Dymka**, jak i nauczycieli pojawiał się temat braku sali gimnastycznej. Wtedy jednak marzenie to było nie do zrealizowania. Jeszcze w 1985 roku jedyna szkoła podstawowa na terenie gminy Słupsk, która posiadała salę gimnastyczną, znajdowała się w Jezierzycach.

W tej sytuacji musiano więc cieszyć się innymi inwestycjami: nowym ogrodzeniem szkoły z 1976 roku czy nową elewacją wykonaną rok później.

W 1981 roku generalnego remontu doczekał się budynek dawnej szkoły dzięki czemu mieszkania otrzymały trzy nauczycielki.

W połowie lat 80-tych modnym stało się powoływanie Społecznych Komitetów, których celem mogła być też budowa sal gimnastycznych. Na terenie naszej gminy powstały dwa takie komitety: we Wrześciu i Bierkowie.

Oprócz samej inicjatywy społecznej bardzo ważną rolę odgrywało zaangażowanie dyrektorów szkół. Takiego zaangażowania nie można

TA **J**r°ku 1960 kierownikiem szkoły został jej wieloletni później dyrektor pan Władysław **Dymek**. Dopiero jego działania podjęte w 1961 roku doprowadziły do tego, że budowa nowej szkoły została umieszczona w planie wojewódzkim. Czas ku inwestycjom w oświacie był wtedy bardzo dobry dzięki akcji „1000 szkół na tysiąclecie Państwa Polskiego”.



Nowy kierownik szkoły Władysław Dymek z uczniami przed budynkiem starej szkoły. Rok 1960. Fot. arch. SP Wrzeście.

I tak 1 września 1964 po raz pierwszy zabrzmiał dzwonek w nowym budynku szkoły we Wrześciu. Był to dla wszystkich wielki dzień. W nowej szkole były 4 izby lekcyjne, pracownia wychowania technicznego, świetlica, kuchnia, kancelaria, a także toalety i natryski. Budynek był podpiwniczony. W piwnicy znajdowała się m.in. kotłownia. W budynku oprócz szkoły podstawowej mieściła się również szkoła rolnicza. W tym czasie w szkole zatrudnionych było 4 nauczycieli. Dopiero w drugiej połowie lat 60-tych ich liczba zwiększyła się do dziesięciu.

Wielu dawnych uczniów pamięta pewnie jeszcze pracujących w tamtych latach: Tadeusza **Januszewskiego**, Długomira **Liwskiego**, Danutę **Sujkę**, Izabelę **Panasiewicz**, Zofię **Szczęśniak**, Danutę **Narkiewicz**, Elżbietę **Kowalczuk**, Danutę i Leona **Lipskich**, Danutę **Bielak**, Elżbietę **Trojanowicz**, Lilę **Mołotownik**, Paulinę **Mierzejewską**.

to niezapomniane chwile. Szkoda, że dzisiaj niemal umarła już tradycja tych obozów.

Brak chętnych do organizacji takiego wypoczynku i do uczestnictwa w nich. Niestety system ich finansowania (organy prowadzące szkoły, Polskie Towarzystwo Schronisk Młodzieżowych) też odszedł już do przeszłości. I pytanie najważniejsze: czy znaleźliby się chętni by pojechać trasami przemierzanymi przez ich rodziców?

TWORZENIE TRADYCJI SZKOŁY

Czwarta część 70-letniej historii istnienia Szkoły Podstawowej we Wrześciu nieprzypadkowo nosi tytuł „Lata najnowsze - Tworzenie tradycji szkoły”. Wiąże się to z sukcesywnym procesem wychowania patriotycznego uczniów Szkoły Podstawowej we Wrześciu, gdzie podstawowym jego elementem jest tworzenie tradycji i ceremoniału szkoły w oparciu o ideały i wartości Armii Krajowej.

Zbigniew **Kamiński**:

Oczywiście 24 lata to dla większości moich obecnych, ale i dawnych uczniów lata zamierzchłe. Dla mnie jednak, i niech tak już pozostanie, jest to współczesność.

Pisać chcę o ostatnich 24. latach bowiem od 1992 roku jestem z opisywaną placówką związany jako jej nauczyciel i dyrektor. I teraz właśnie nasza mnie refleksja. Jeśli zastanowić się, ile przez te lata razem przeszliśmy, ile roczników witałem i żegnałem, jak szkoła, budynek, uczniowie, nauczyciele się zmieniali, to chyba też jestem coraz bliższy pogładowi, że 24 lata temu to był „inny świat” niż dzisiaj.

Wystarczy wspomnieć, że w 1992 roku w szkole znajdował się jeden z trzech telefonów w miejscowości. Był jeden telewizor, dwa radia, rzutnik pisma, projektor filmowy i... żadnego komputera, kopiarki. Acha i była walizkowa maszyna do pisania. Ładna, ale bardzo niepraktyczna. Wiele można by wymieniać rzeczy, których nie było, a bez których dzisiejsi uczniowie i często nauczyciele nie widzą możliwości pracy. A jednak się pracowało i to nie najgorzej. Ale wróćmy do początku.

W marcu 1992 roku Kurator Oświaty w Słupsku ogłosił po raz pierwszy na taką skalę (wcześniej dyrektorzy pochodzili z mianowania) konkursy na dyrektorów podległych mu szkół.

Święto szkoły

Wspomina swoje pierwsze lata pracy Zbigniew **Kamiński**: *Stało się to w okresie, gdy zamykałem pewien etap w swojej karierze pedagogicznej i w życiu. Poszukiwałem nowych wyzwań. Przystąpienie do konkursu miało stać się takim wyzwaniem. Dzisiaj należałoby chyba powiedzieć, że potrzebowałem zmiany.*

Jednym z wymagań konkursu było stworzenie koncepcji pracy dyrektora szkoły. Wyjść należało oczywiście od stanu placówki. Szkołą we Wrześciu znałem powierzchownie, odzewnątrz szefując gminnym organizacjom związkowym, sportowym i turystycznym. Już tylko to spojrzenie pokazało, że istniejąca prawie 50 lat placówka pozbawiona jest dorobku rozumianego jako tradycja szkoły. Zaproponowałem więc między innymi:

- nadanie imienia szkole,
- nadanie sztandaru,
- budowanie ceremoniału szkolnego i tożsamości Szkoły.

Wynik konkursu był dla mnie pomyślny mimo, że stawałem w szranki z faworytem społeczności szkolnej i lokalnej. Z tego powodu, jak można się domyślać początek nie był łatwy. Z dzisiejszej perspektywy myślę, że młody wiek (miałem wtedy 28 lat) i pewne cechy charakteru odziedziczone po rodzicach nie pozwalały mi się poddać w dążeniu do realizacji celów.

Oprócz wielu spraw bieżących, które spadły na mnie w pierwszych dniach, tygodniach i miesiącach zaproponowałem społeczności szkolnej ustanowienie konkretnej daty Święta Szkoły. Przedstawiając projekt uchwały radzie pedagogicznej, zwracałem uwagę na to, że oprócz niewątpliwych aspektów wychowawczych jest to szansa dla wszystkich na sprawdzenie się w działaniu oraz możliwość wzajemnego pojednania się.

Oprócz kilku innych pojawił się problem kiedy to szkolne święto powinniśmy obchodzić. W 1984 roku np. obchodzone było 20-lecie szkoły. Świętowano jednak wtedy 20 lat nowego budynku. Szkoła istniała jednak przecież od 1945 roku. I tu natrafiłem na starą księgę, która okazała się pierwszą

kroniką szkoły. Tam znalazłem znany już fragment pisany ręką Stanisława Bednarskiego podający datą 19 grudnia jako pierwszy dzień zajęć w polskiej szkole we Wrześciu po II wojnie światowej.

Przyjęta uchwała rady pedagogicznej data zapoczątkowała proces budowania tradycji i ceremoniału. Co mnie bardzo ucieszyło, propozycja zorganizowania pierwszej uroczystości rozbudziła u większości nauczycieli chęć działania. Padło wiele propozycji, które po wstępnej selekcji stworzyły scenariusz obchodów Święta Szkoły.

Ku mojej radości propozycja obchodów spotkała się z ciepłym przyjęciem środowiska, między innymi Koła Gospodyń Wiejskich, którego siedziba znajdowała się w budynku szkoły. Do przygotowań równie chętnie przyłączył się Komitet Rodzicielski i sołtysi poszczególnych miejscowości.

Uroczystości, z uwagi na bardzo bogaty program, przeciągnęły się do godzin wieczornych. Licznie przybyli mieszkańcy i władze gminy. Z ogromnym wzruszeniem przyjęto przyjazd Stanisława Bednarskiego, założyciela i pierwszego kierownika szkoły. Jego obecność mocno wpłynęła na dalsze działania szkoły. Jak niejednokrotnie wspominałem w poprzednich częściach dopiero podczas tej uroczystości większość obecnych dowiedziała się o przedwojennych i wojennych losach pana kierownika.

Patron szkoły

Tymczasem zbliżało się pięćdziesięciolecie szkoły. Z tej okazji coraz częściej mówiono o potrzebie wyboru Patrona.

W lutym 1995 roku Kuratorium Oświaty odpowiadając na apel Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej oraz Fundacji Teresy i Zdzisława **Knoblów** z Kanady, zwróciło się do szkół z propozycją przyjęcia imion związanych z Armią Krajową.

Czasu na decyzję było mało. Wielu uważało, że za mało, aby łączyć przygotowania do dwu uroczystości jednocześnie. Ostatecznie przekonali do tego włączeni w skład Komitetu obchodów 50-lecia Szkoły żołnierze AK z Inspektoratu Słupskiego z Janem **Sodułą** na czele. Zapał i energia tych starszych ludzi udzieliły się wszystkim. I tak, dzięki wspólnej pracy, zaangażowaniu wielu ludzi udało się pokonać wiele problemów organizacyjnych, w tym finansowe. Praktycznie w czerwcu

1995 roku mieliśmy gotowy scenariusz. Niestety, brak doświadczenia, gotowych wzorów postępowania itd. sprawił, że wiele rzeczy pozostało na „ostatnią chwilę”. Szkoda, że nie było się od kogo uczyć. I tak, jak to często bywa z „jeszcze czymś do załatwienia”, nadeszła sobota 16 grudnia 1995 roku.

Uroczystości rozpoczęły się mszą świętą w kościele parafialnym we Wrześciu. Następnie w asyście pocztów sztandarowych, kompanii honorowej WP i orkiestry Marynarki Wojennej nastąpił uroczysty przemarsz pod budynek szkolny. Tutaj uroczystie odsłonięto tablicę pa-



Pani Irena Mielczarska-Rowecka, przed tablicą upamiętniającą jej ojca. Fot. arch. SP Wrzeście.

miątkową (ufundowaną przez NSZZ „Solidarność” Stocznia Ustka), a ówczesny wicekurator oświaty Zygmunt **Kulczewski** odczytał akt nadania szkole imienia generała Stefana **Roweckiego** - „Grota”.

Dalsza część uroczystości odbywała się w budynku szkoły: akademii i część artystyczna w sali gimnastycznej, a okolicznościowe wystawy w salach lekcyjnych.

Szczególnie ważne dla nas było, że na uroczystość nadania imienia szkole w 1995 roku przybyło wielu kombatanów. Wtedy liczyliśmy ich w dziesiątki. Ze względu na stan zdrowia nie mógł być z nami pan **Bednarski**, ale korespondencja li-

stowna i rozmowy telefoniczne były znaczące i istotne. Podczas przygotowań do nadania imienia szkole staraliśmy się pamiętać dla kogo jest to robione. Na pewno dla kombatanów, którzy słowami Jana **Soduły** nazwali nas „żywym pomnikiem”, ale głównie dla dzieci i młodzieży.

Przełomowe dla społeczności szkoły było nawiązanie relacji z panią Ireną **Mielczarską-Rowecką**. Kontakt bezpośredni, listowny i telefoniczny z córką naszego Patrona trwał aż do jej śmierci w 2002 roku.

Słupscy numizmatycy

Przy tej okazji warto wspomnieć, iż właśnie od 1995 roku datują się kontakty Szkoły ze środowiskiem słupskich numizmatyków.

Tak wspomina ten moment dyrektor Zbigniew **Kamiński**:

Zupełny przypadek sprawił, że miałem przyjemność zetknąć się w omawianym czasie z kilkoma osobami ze środowiska zbieraczy, kolekcjonerów skupionych w Oddziale Słupskiego Towarzystwa Numizmatycznego. Przyznam, że do tego spotkania moja wiedza na temat numizmatyki, a szczególnie numizmatyków była niewielka. Chyba z tej niewiedzy pochodziło przeświadczenie, że numizmatyk to ktoś nie do końca chętny do jakiegokolwiek dzielenia się swoją wiedzą i zbiorami, wręcz zazdrośnie strzegący swoich skarbów.

Jakież było moje zaskoczenie (pozytywne oczywiście), kiedy w odpowiedzi na nieśmiałą propozycję współpracy spotkałem się z reakcją po wielokroć przekraczającą moje oczekiwania. Tak poznałem wspaniałych ludzi i ich przebogate zbiory. Prawdziwym motorem współpracy stał się od samego początku, dziś honorowy, a wówczas Prezes Oddziału Słupskiego PTN, Zdzisław Michał Dróbka.

Przez 20 lat współpracy ten zasłużony dla numizmatyki honorowy członek ZG PTN wielokrotnie opracowywał i przedstawiał zbiory podczas wystaw na terenie szkoły we Wrześciu i w innych placówkach gminy Słupsk. Oglądający mieli okazję podziwiać między innymi tzw. walory katyńskie, a wśród nich pamiątki rodzinne, medalierstwo, odznaczenia, wyróżniki i przebogată dokumentację. Pan **Dróbka** prezentował także medalierstwo ziemi słupskiej i wojskowe, order i odznaczenia, mundury. Dużym zainteresowaniem cieszyły się jego wystawy związane z udziałem Polaków w misjach pokojowych. To oczywiście tylko niektóre z wielu ekspozycji prezentowanych co najmniej dwa razy do roku podczas cyklicznych uroczystości odbywających się z okazji świąt majowych i Święta Niepodległości we Wrześciu.

Jeszcze jako prezes Zdzisław **Dróbka** był koordynatorem wystaw zorganizowanych z okazji nadania Szkole we Wrześciu imienia (1995), Sztandaru (1996), odsłonięcia Obelisku poświęconego Państwu Podziemnemu i jego Dowódcy (2004). W ostatnich latach coraz częściej też korzystamy z pedagogicznego doświadczenia pana **Zdzisława**. W bardzo atrakcyjny sposób prowadzi okazjonalnie zajęcia z uczniami wprowadzając ich w tajniki genealogii i symboli narodowych.



Zdzisław Dróbka podczas prezentacji jednej z wielu wystaw. Fot. arch. SP Wrzeście.

Od lat bardzo cenimy sobie współpracę z honorowym członkiem ZG PTN Jerzym **Henke** - chodzącą historią słupskiej numizmatyki. Uznany za „odkrywcę” wybitnego słupszczanina Heinricha von **Stephana** na co dzień zajmuje się również medalierstwem i filatelistyką.

Spośród pierwszych naszych przyjaciół, niosących pomoc w upowszechnianiu historii, wymienić należy także nieżyjącego już niestety Ryszarda **Klonowskiego** - falerystę posiadającego przebogate zbiory z zakresu wojskowości oraz order i odznaczenia. To dzięki niemu

wielu oglądających mogło zobaczyć między innymi Order Virtuti Militari i Orła Białego.

W kształceniu patriotycznym społeczeństwa, w tym dzieci i młodzieży ważną częścią jest rozbudzanie tzw. patriotyzmu lokalnego. W tym dziele nieocenieni są między innymi: Władysław **Piotrowicz**, zajmujący się medalierstwem, posiadacz wielu pamiątek Ziemi Słupskiej, obecny prezes słupskich numizmatyków Jan **Radkowski** prezentujący m.in. medalierstwo Ziemi Słupskiej. Swoje zbiory podczas naszych spotkań prezentują także: Bartosz **Dróbka** - kolekcjoner numizmatyki polskiej, Andrzej **Bezulski** - posiadacz bogatych zbiorów, głównie z zakresu medalierstwa Wojska Polskiego i MSWiA. Ciekawostką dla zwiedzających są zbiory Janusza **Grabowskiego** - posiadacza zbiorów dukatów lokalnych z terenu Polski, w tym także słupskich.

Istotne dla naszych wspólnych, podejmowanych od samego początku przedsięwzięć, było przybliżanie i uczenie historii oraz rozbudzanie w zwiedzających poczucia patriotyzmu, w tym również do tej małej ojczyzny. Dlatego oprócz możliwości nie tylko obejrzenia, dotknięcia, wzięcia „do ręki” eksponatów, inną wartością jest możliwość spotkań z właścicielami zbiorów, którzy w sposób bardzo fachowy, ale przystępny opowiadają nie tylko o samych zbiorach, ale także o noszonym przez nie przesłaniu. Często wykorzystywaną atrakcją jest możliwość zadawania pytań ich właścicielom.

Przez 20 lat współpracy numizmatycy słupscy swoje zbiory prezentowali zgodnie z wcześniej przyjętymi założeniami. Celem nadrzędnym stało się uporządkowanie wiedzy historycznej oraz pełne zrozumienie charakteru rocznic, wydarzeń historycznych. Zbiory medalierskie prezentowane były w cyklach: „Bitwy, kampanie, dowódcy”, „Wojsko polskie na zachodzie”, „Ludowe Wojsko Polskie”, „Państwo Podziemne”, „Przywódcy II RP, PRL i III RP”, „Zbrodnia Katyńska”.

Numizmatyka prezentowana była szczególnie przy okazji rocznic odrodzenia Polski („Odrodzona, Odzyskana, Niepodległa”), prezentacji postaci Józefa **Piłsudskiego** oraz postaci przywódców wojskowych Wojska Polskiego i Armii Krajowej.

Zawsze z dużym zainteresowaniem zwiedzających spotykają się ekspozycje przedstawiające ordery i odznaczenia. Były one prezentowane w działach: „Wojna i wojsko”, „Rzeczpospolite”, „Misje pokojowe”. Dużą wartością tych prezentacji jest możliwość zapoznania się z opisami prezentowanych eksponatów. Interesującym dopełnieniem większości wystaw są zbiory bukinistyczne oraz pamiątki rodzinne. Te przydawały się np. przy wystawie „Konstytucje od 3-cio majowej do II RP”, „Twórcy II RP”, „Zbrodnia Katyńska”.

Sztandar szkoły

Jednym z kolejnych bodźców szukania tożsamości szkoły w oparciu o ideały armii Krajowej był apel Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej oraz Fundacji Państwa Teresy i Zdzisława **Knoblów** „1000 szkół AK”.

Głównym celem Fundacji było fundowanie sztandarów szkołom, które przyjęły imiona związane z AK. Już w 1995 roku nawiązaliśmy kontakt z Fundacją. Polegał on na częstej wymianie korespondencji, w której szkoła informowana była o stanie prac nad Sztandarem dla nas. Na owej, bardzo dobrej współpracy cieniem jednak położył się konflikt między ŚZZAK a Fundacją Knoblów.

Staraliśmy się zachować neutralność i nie opowiadać się po żadnej ze stron, jednocześnie zachowując z każdą z nich dobre stosunki, pomimo nie zawsze przyjemnych nacisków.

W pewnym momencie sytuacja stała się o tyle dramatyczna, że pomimo bardzo zaawansowanych prac nad naszym sztandarem Fundacja zmuszona została do zawieszenia działalności. Był to dla nas wielki cios. Kiedy Fundacja po dwóch miesiącach wznowiła funkcjonowanie, sprawa naszego sztandaru także odżyła. W rezultacie wszystko zakończyło się pomyślnie.

To, że sztandar został ukończony dało nowy impuls przygotowaniom do kolejnej grudniowej uroczystości. Do wypróbowanego już modelu naszego święta należało dodać nowe punkty. Między innymi musieliśmy wybrać poczet sztandarowy, rodziców chrzestnych sztandaru, ustalić ceremoniał jego przekazania.

Z zadowoleniem przyjęliśmy zgodę właścicieli Fundacji na pozyskiwanie dodatkowych sponsorów sztandaru i możliwość „wbijania gwoździ” w jego drzewce. Dzięki temu nie musieliśmy się obawiać o dalsze finansowanie przyszłej uroczystości.

W październiku 1996 roku dyrektor Zbigniew **Kamiński** pojechał do Warszawy, aby odebrać gotowy Sztandar. Miał też niezwykłą okazję, oprócz odwiedzenia państwa **Knoblów**, spotkania z córką Patrona Ireną **Mielczarską-Rowecką** oraz jej mężem.



Rok 1995 - dyrektor Zbigniew Kamiński podczas wizyty u pani Ireny Mielczarskiej-Roweckiej.

Fot.arch.SPWrzeście

Zbigniew Kamiński:

Zarówno jedno jak i drugie spotkanie było dla mnie wielkim przeżyciem. Gospodarze spotkań okazali się ludźmi, których osobowość wywierała duży wpływ na otoczenie. Serdeczność, przyjaźń, którą mnie obdarzono były dla mnie ogromnym wyróżnieniem.

Plonem tych wizyt było także pozyskanie dla Szkoły wielu pamiątek. Poczynione zostały także wstępne ustalenia co do grudniowych uroczystości. Pani **Mielczarska-Rowecką** i państwo **Knoblów** z zadowoleniem **przyjęli zaproszenie do Wrześcia**. Córka Generała zgodziła się także zostać matką

chrzestną Sztandaru. Ustaliliśmy również, że w przypadku niemożności jej przyjazdu, prześle do szkoły oficjalne zawiadomienie, a w nim pełnomocnictwo do reprezentowania jej przez upoważnione osoby.

Po powrocie dyrektora do Wrześcia prace przygotowawcze nabrały jeszcze większego tempa. Dużym ułatwieniem było korzystanie

z wcześniejszych doświadczeń i kontaktów. Nie mieliśmy większych problemów z pozyskaniem sponsorów, zorganizowaniem wystaw okolicznościowych, zaproszeniem gości.

Musiano zdecydować jeszcze, kto obok córki Patrona będzie pełnił honory ojca chrzestnego Sztandaru. Wybór padł na generała Bolesława **Nieczuję-Ostrowskiego**, bohatera walk partyzanckich na Kielecczyźnie.

Ze wspomnień Zbigniewa **Kamińskiego**:

Wykorzystując moją wcześniejszą znajomość z panem generałem zaprosiłem go na naszą uroczystość, zwracając się jednocześnie o wyrażenie zgody na przyjęcie proponowanej mu funkcji. Reakcja była nadspodziewanie szybka i tym bardziej wspaniała. Najpierw telegraficznie (czy ktoś pamięta jeszcze co to znaczy?), a następnie listownie pan generał zaakceptował moją propozycję. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak wielkim przeżyciem dla wszystkich będzie ta wizyta.

Należy dodać, że generał **Nieczuja-Ostrowski**, najwyższy wówczas stopniem z żyjących oficerów AK, mieszkający w Elblągu dożył prawie stu lat.

Podczas przygotowań z dużą satysfakcją społeczność szkolna przyjęła zaangażowanie Urzędu Gminy w Słupsku w organizację uroczystości. Zarówno wsparcie finansowe, jak i pomoc organizacyjna znacznie odciążyły szkołę. Podkreślamy to, ponieważ stwierdziliśmy, że wcześniej władze terenowe nie do końca zdawały sobie sprawę z wagi naszych poczynąń. Kilkuletnia praca i działania uświadamiające pokazały, że to, co robimy nie jest tylko naszą wewnętrzną sprawą.

To, co dzieje się w szkole, wokół niej, rozgłos temu towarzyszący, stał się szansą na promocję również gminy. Tak się stało może też dlatego, że w 1996 gmina Słupsk została organem prowadzącym szkołę. W ogóle, przygotowaniom do uroczystości nadania Sztandaru towarzyszyło o wiele więcej rozgłosu niż podczas uroczystości z 1995 roku.

Grudniowa uroczystość odbyła się 21 grudnia (sobota) 1996 roku. Jej scenariusz przedstawiał się następująco:

1. Uroczysta msza święta (ze specjalnym wystąpieniem generała **Nieczui-Ostrowskiego**) i poświęcenie Sztandaru.

2. Przemarsz gości uroczystą kolumną pod budynek szkolny i uroczyste złożenie przez przybyłe delegacje kwiatów pod tablicą pamiątkową.

3. Uroczysta akademicka, którą szczególnie wspominamy z uwagi na niektóre wzruszające akcenty:

- odtworzenie nagrania magnetofonowego (nagrania dokonał dyrektor **Kamiński** podczas pobytu w domu pani Ireny **Mielczarskiej-Roweckiej**) córki Patrona do uczestników uroczystości,
- bardzo dramatyczne, żywiołowe wystąpienie pana generała **Nieczui-Ostrowskiego** - opowieść prawie dziewięćdziesięcioletniego żołnierza o czasach wojny i gehennie lat powojennych (w latach 50-tych pan generał z trzykrotnym wyrokiem śmierci więziony był przez długi czas w komunistycznych więzieniach),
- odczytanie przez wójta gminy Słupsk Władysława **Rajszczaka** aktu nadania Sztandaru,
- moment przekazania Sztandaru, który dla zebranych był szczególnie ważny i wzruszający, między innymi dlatego, że dyr. Zbigniewowi **Kamińskiemu** towarzyszył w tym akcie jego poprzednik pan Władysław **Dymek**.

Warto przypomnieć, że w imieniu Córki Patrona funkcję matki chrzestnej Sztandaru pełniła pani Aleksandra **Abramik**, nauczycielka historii naszej szkoły, a w skład pierwszego pocztu sztandarowego wchodził: Krzysztof **Kozłowicz** (sztandarowy), Julita **Jabłko** i Zofia **Tocha** (asysta).

Relacja z uroczystości Pawła Panasiuka

W wyniku starań Dyrektora Szkoły - pana Zbigniewa **Kamińskiego**, Głównego Pedagogicznego, Komitetu Rodzicielskiego Szkoły Podstawowej im. Generała Stefana Roweckiego - „Grota”, przy pomocy władz terenowych, Inspektoratu Światowego Związku Żołnierzy

Armii Krajowej w Słupsku, kół AK-owskich naszego regionu, innych ludzi dobrej woli, w dniu 21 grudnia 1996 roku udało się doprowadzić do uroczystego poświęcenia i wręczenia Szkole Sztandaru.

Sztandar dla Szkoły Podstawowej we Wrześciu - na wniosek pana dyrektora, przy skromnym poparciu naszego Koła, ufundowała Fundacja Państwa Teresy i Zdzisława **Knoblów** z Kanady. Sztandar jest bardzo ładny. Na jednej stronie biało-czerwonej wyhaftowano Orła w koronie i wočkoło napis „Zawsze Wierni Ojczyźnie”. Na drugiej stronie Znak „AK” i napis „Szkoła Podstawowa im. Generała Roweckiego - Grota we Wrześciu”.

Ojcem Chrzestnym był pan generał Armii Krajowej Michał **Nieczuja-Ostrowski**, a obowiązki matki Chrzestnej z upoważnienia Pani Ireny **Mielczarskiej-Roweckiej** (córką gen. **Roweckiego**) pełniła pani Aleksandra **Abramik**, długoletnia, zasłużona nauczycielka historii.

Dnia 21 grudnia odbyło się najpierw w Szkole krótkie spotkanie dyrekcji z przybyłymi gośćmi. Później udano się do kościoła gdzie w obecności 14. pocztów Sztandarowych (w tym 12 AK-okwskich, „Solidarności” Stoczni Ustka i ze Szkoły Podstawowej nr 17 im. Żołnierzy Armii Krajowej ze Słupska), z udziałem: pocztu flagowego, Kompanii Honorowej Wojska Polskiego, władz terenowych, duchowieństwa, zaproszonych gości, młodzieży szkolnej i licznie zgromadzonej ludności, odprawiona została uroczysta Msza Święta. Piękną homilię wygłosił kapłan przybyły ze Słupska.

Następnie nastąpiło poświęcenie Sztandaru Szkoły, którego dokonał ksiądz dziekan ze Skórowa. Po mszy - bardzo pięknie - w uroczystym nastroju przemówił pan generał **Nieczuja-Ostrowski**. Po nabożeństwie, uczestnicy uroczystości udali się do Szkoły, gdzie pod Tablicą Pamiątkową - upamiętniającą nadanie Szkole imienia bohatera AK - generała **Roweckiego-Grota**, przy wystawionej Warcie Honorowej uczniów Szkoły, nastąpiło złożenie kwiatów przez przybyłe na uroczystość delegacje.

Następnie wszyscy zebrani udali się do sali gimnastycznej na dalszą część uroczystości.

Rozpoczynając uroczystą akademię, poświęconą wręczeniu Sztandaru Szkole, dyrektor szkoły - Zbigniew **Kamiński**, wygłosił doniosłe, patriotyczne przemówienie. W dalszej kolejności przemawiali

przedstawiciele terenowych władz administracyjnych, oświatowych. Pięknie przemówił generał **Nieczuja-Ostrowski**.

Zabrali głos Prezesi Inspektoratów ŚŻŻAK w Elblągu i w Słupsku. Przemawiali też Prezesi kół ŚŻŻAK obecni na uroczystości.

Mi również wypadło zabrać głos, ponieważ zostałem upoważniony przez Fundację Państwa Knoblów do reprezentowania Fundatora Sztandaru, w dalszej kolejności nastąpiła uroczystość wbijania pamiątkowych gwoździ. Później do wbicia zostali zaproszeni Rodzice Chrzestni. W dalszej kolejności gwoździe wbijali: przedstawiciele władz terenowych, sponsorzy, przedstawiciele organizacji AK-owskich i inni.

Po uroczystości wbijania gwoździ nastąpiło wręczenie Sztandaru Szkole. Pan generał **Nieczuja-Ostrowski** wziął Sztandar i w asyście pani Aleksandry **Abramik** i mojej, wręczył Sztandar Dyrektorowi Szkoły.



Uroczyste przekazanie sztandaru. Sztandar odbiera dyrektor Zbigniew Kamiński w asyście dyrektora Władysława Dymka z rąk rodziców chrzestnych: generała Bolesława Nieczui-Ostrowskiego, Aleksandry Abramik (w imieniu córki Patrona) oraz Pawła Panasiuka (w imieniu Fundacji Knoblów). Fot. arch. SP Wrzeście.

Przed przejęciem Sztandaru pan dyrektor **Kamiński** ukląkł, z wielkim szacunkiem ucałował Sztandar i uroczyście wręczył go Pocztowni Sztandarowemu Szkoły. Po wręczeniu Sztandaru pan dyrektor **Kamiński** w pięknych słowach przemówił do młodzieży i wszystkich zebranych.

Na zakończenie akademii wystąpiła młodzież szkolna w pięknej, do perfekcji przygotowanej, patriotycznej części artystycznej trwającej około godziny. W końcowej części akademii wystąpił zespół wokalny, miejscowego Koła Gospodyń Wiejskich. Odśpiewane zostało - zresztą bardzo pięknie, kilka pieśni ludowych i innych piosenek. Po zakończeniu akademii Zbigniew **Kamiński** zaprosił wszystkich obecnych do zwiedzania wystawy umieszczonej w pomieszczeniach Szkoły. Wystawa była poświęcona historii Szkoły. Przedstawione też były materiały i dokumenty o Armii Krajowej i jej Pierwszym Komendancie - Patronie Szkoły.

W innych pomieszczeniach można było zapoznać się z zabytkami regionu, ciekawostkami i historią Ziemi Słupskiej, wydawnictwami historycznymi i przyrodniczymi. Trzeba tutaj podkreślić, że zorganizowana wystawa, jak i wszystko co wychodzi z rąk pana dyrektora **Kamińskiego**, jest do najmniejszego szczegółu opracowane, przemyślane i w mistrzowski sposób przeprowadzone.

Po zwiedzeniu wystaw, wszyscy obecni zostali zaproszeni na „skromny poczęstunek”, który za sprawą sponsorów, Komitetu Rodzicielskiego, Grona Nauczycielskiego i Koła Gospodyń Wiejskich - no i dyrektora **Kamińskiego** - okazał się bez mała królewską ucztą.

Tyle oto - ze wspaniałej uroczystości zapamiętał i wnieudolny sposób opisał uczestniczący w uroczystości teźże Paweł **Panasiuk** - Przewodniczący Koła Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Ustce.

Dalsze budowanie tradycji szkoły

Pierwsze lata budowania tradycji szkoły zostały zakończone uroczystością nadania Sztandaru, ale także i następne stworzyły nową jakość placówki. Tradycyjnymi wydarzeniami, które przez lata weszły do naszego kalendarza stały się:

1. Spotkania z kombatanami z okazji kolejnych rocznic powstania Państwa Podziemnego i Armii Krajowej (w ostatnim czasie jest ich mniej ze względu na wiek i zdrowie kombatanów).

2. Uroczystości, konkursy i wystawy związane z historią, w tym Armią Krajową i jej pierwszym Komendantem Głównym.

3. Obecność delegacji szkoły wraz z pocztym sztandarowym na różnych uroczystościach m.in.:

- święta państwowe i narodowe (14 lutego, 1 marca, 3 maja, 1 sierpnia, 15 sierpnia, 27 września, 11 listopada) obchodzone w Słupsku i Ustce,
- uroczystości szkolne na terenie gminy i powiatu.

Bardzo ważną częścią budowanych tradycji było podpisane jeszcze w 1995 roku porozumienie pomiędzy szkołą a Kołem Światowego Związku Żołnierzy AK w Ustce. Przez wiele lat współpraca układała się wręcz wzorowo. Wspólnie organizowane uroczystości, zarówno we Wrześcu, jak i w Ustce stawiane były za wzór wspólnego kultywowania tradycji i pamięci.

Ze wspomnień dyrektora Zbigniewa **Kamińskiego**:

*Wspólna działalność przynosiła wspaniałe owoce dzięki obopólnemu zaangażowaniu. Muszę tu wymienić nazwisko wieloletniego prezesa Koła Pawła **Panasiuka**, zwanego przez szkolną społeczność Dziadkiem. Niestety współpraca ta wygasła wraz ze śmiercią członków usteckiego Koła. Z prawie trzydziestu kombatanów - tworzących Koło, jeszcze w latach dziewięćdziesiątych - dziś nie żyje już nikt.*

W tym miejscu wypada jeszcze raz podkreślić rolę wszystkich osób zaangażowanych w sukces wymienionych działań. Nie sposób oczywiście wymienić wszystkich. Nie czułbym się jednak dobrze, gdybym nie podkreślił zaangażowania i ogromnej pomocy otrzymanej ze strony Koła Gospodyń Wiejskich, które miały wówczas swoją siedzibę w budynku szkolnym. Wiem, że bez „moich dziewczyn”, bez „Wrześcianek” nic nie byłoby takie samo. Zawsze mogłem na nie liczyć i wspólnie „przenosić góry”. Bardzo żałuję, że otrzymawszy swoją nową siedzibę w Lubuczewie nasze przyjazne więzi troszkę się rozluźniły. Same przyjaźnie i wspaniałe wspomnienia pozostaną na zawsze w moim sercu.

W historii szkoły i procesie budowania jej tradycji ogromnie ważnym był rok 2003 i 2004. Wtedy to właśnie obchodzono uroczyste Rok Obchodów Stefana **Roweckiego** - „Grotą”.

Generał Stefan **Rowecki** - „Grot” jest jedną z najwybitniejszych postaci związanych z wojną obronną we wrześniu 1939 roku i późniejszą dalszą walką z okupantem hitlerowskim w strukturach tzw. państwa podziemnego. Współtworzył na ziemiach okupowanej Polski wojsko konspiracyjne. Był jego dowódcą, a od 1942 roku Komendantem Głównym utworzonej po przekształceniach Armii Krajowej. Dzięki jego fachowości, umiejętności dowodzenia, konsekwencji żołnierze Armii Krajowej przez całą wojnę prowadzili walkę z najeźdźcą. Dnia 30 czerwca 1943 r. podstępnie zdradzony został ujęty przez Niemców. Pomimo tortur w niewoli nie załamał się, nie zgodził się na współpracę z okupantem. Prawdopodobnie zamordowano go po wybuchu Powstania Warszawskiego. Do dziś pamięć o generale **Roweckim** jest kulturowana przez różne środowiska. Jego imię noszą szkoły, ulice, place, mosty. Chcąc w specjalny sposób uczcić pamięć Komendanta Głównego AK Zarząd Główny Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej (ŚŻŻAK) ogłosił okres pomiędzy 30 czerwca 2003 roku, a sierpniem 2004 Rokiem generała Stefana **Roweckiego** - „Grotą”. Sejm Rzeczypospolitej specjalną Uchwałą z dnia 8 stycznia 2004 roku ustanowił rok 2004 rokiem Generała „Grotą”.

W konsekwencji tego u nas powołany został Komitet Organizacyjny Roku gen. „Grotą” w składzie:

Zdzisław **Kołodziejwski** - Starosta Słupski, Mariusz **Chmiel** - Wójt Gminy Słupsk, Mirosław **Klemiato** - Przewodniczący Rady Gminy Słupsk, ks. Włodzimierz **Jankowski** - kapelan Armii Krajowej, proboszcz Parafii Głębino, Jan **Soduła** - prezes Okręgu Słupskiego ŚŻŻak w Słupsku, Paweł **Panasiuk** - prezes Koła ŚŻŻak w Słupsku, Zdzisław **Dróbka** - prezes Oddziału PTN w Słupsku, Jerzy **Henke** - sekretarz Oddziału PTN w Słupsku, Zbigniew **Kamiński** - dyrektor SP im. gen. Stefana Roweckiego - „Grotą” we Wrześciu.

O honorowe przewodnictwo członkowie komitetu zwrócili się do gen. Bolesława **Nieczui-Ostrowskiego**. Na swym pierwszym

posiedzeniu, w którym wzięła udział także pani Mirosława **Mikuś** - naczelnik Wydziału Oświaty Starostwa Powiatowego, członkowie Komitetu podjęli decyzję o zrealizowaniu następujących zadań:

1. Inauguracja - uroczysta msza św. 29 czerwca 2003 r. godz. 14.00 w Kościele Parafialnym w Głobinie. Uroczystości towarzyszyły wystawy okolicznościowe. Gospodarzem uroczystości był ówczesny proboszcz, kapelan Armii Krajowej, nieżyjący już niestety, ks. Włodzimierz **Jankowski**.

2. Udział delegacji w obchodach rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego - 1 sierpnia 2003 roku.

3. Rocznicą Powstania Państwa Podziemnego: spotkanie z kombatanami w szkołach gminy Słupsk, uroczystości pod pomnikami Państwa Podziemnego w Słupsku i Ustce.

4. Grudniowe uroczystości z okazji:

- rocznicy urodzin gen. Stefana **Roweckiego** - „Grota”,
- rocznicy nadania Szkole Podstawowej we Wrześciu imienia Generała,
- rocznicy nadania sztandaru szkole,
- konkursy Wiedzy o Armii Krajowej i Patronie dla szkół podstawowych i gimnazjów z terenu gminy Słupsk oraz szkół akowskich z terenu działania Okręgu ŚŻŻAK.

5. Konferencja naukowa z okazji powstania Armii Krajowej - luty 2004 nt. „Armia Krajowa i jej Komendant”.

6. Turniej judo oraz turniej strzelecki z broni pneumatycznej - kwiecień, maj 2004 roku.

7. Uroczystości z okazji wybuchu powstania warszawskiego 1 sierpnia 2004 roku.

8. Odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci gen „Grota” przed Szkołą Podstawowa we Wrześciu - wrzesień 2004 roku.

Sesja naukowa

Przez cały rok trwały prace. Oczywiście większość zadań realizowała Szkoła Podstawowa we Wrześciu, a przynajmniej była ich koordynatorem.

Ostatnim bardzo ważnym wydarzeniem, organizowanym przez nas w ramach powiatowych obchodów była sesja popularnonaukowa pod hasłem „Generał Stefan Rowecki - „Grot” i jego Armia Krajowa”. Odbyła się ona dnia 4 marca 2004 roku w budynku Starostwa Powiatowego w Słupsku, a przeznaczona była głównie dla młodzieży gimnazjalnej i licealnej z terenu miasta i powiatu słupskiego. Na sesję przybyło bardzo wielu kombatantów z różnych organizacji, młodzież szkolna i harcerze. Swoją obecnością sesję uświetniły naczelne władze powiatu słupskiego, miasta i gminy Słupsk, Delegatury Kuratorium Oświaty, Hufca Słupskiego ZHP, księża, dyrektorzy szkół i wielu innych, w sumie ok. 200. osób. Podczas sesji wygłoszono następujące referaty:

1. *Życie i działalność Stefana Roweckiego - „Grot”. Gen. „Grot” w bibliografii.* - Magdalena **Czaja** (uczenica Zespołu Szkół w Siemianicach).

2. *Armia Krajowa - w 62 rocznicę utworzenia.* - Karol **Kowalczyk** (uczeń Zespołu Szkół w Jezierzycach).

3. *Refleksje na temat niepowodzeń operacji „Burza” na wschodnich ziemiach polskich.* - Konrad **Gasyna** (uczeń Zespołu Szkół w Redzikowie).

4. *Mjr Jan Piwnik „Ponury”, - jako przykład wojennych losów żołnierzy AK.*

5. *Pomnik Powstańców Warszawskich w Słupsku ważnym elementem dziejów miasta.* - dr Krzysztof **Lemisiewicz**.

6. *Stefan Rowecki i jego Armia Krajowa w numizmatach.* - mgr Zdzisław **Dróbka**.

7. *Szare Szeregi - dzieje okupacyjne.* - dr Tomasz **Katafiasz**.

8. *60-ta rocznica zamachu na Kutcherę.* - Dominika **Siwek** (uczenica Zespołu Szkół w Siemianicach).

9. *Przyczynek do działalności konspiracyjnego harcerstwa polskiego po 1945 roku jako kontynuatora Szarych Szeregów.* - Mateusz **Oleksiejuk** (uczeń Zespołu Szkół w Redzikowie).

Sesji towarzyszyła okolicznościowa wystawa poświęcona Armii Krajowej i jej Pierwszemu Komendantowi Głównemu. W przerwie trwała dyskusja. Najciekawsze rozmowy prowadzone były pomiędzy młodzieżą a kombatantami.

Odsłonięcie obelisku

W tym samym dniu spotkaliśmy się wszyscy we Wrześciu podczas uroczystości odsłonięcia Obelisku poświęconego Patronowi szkoły i jego żołnierzom.



*Obelisk „Dowódcy i Jego żołnierzom” odsłonięty w 2004 roku.
Fot. arch. SP Wrzeście.*

Oto relacja jednego z uczestników tego wydarzenia:

„Dzień jedenasty grudnia 2004 roku był dla Wrześcia, a szczególnie uczniów i pracowników Szkoły Podstawowej im. Gen. Stefana Roweckiego „Grotą” szczególnie ważny. W ten mroźny, pogodny poranek sfinalizowane

zostały dzięki inicjatywie dyrekcji szkoły, wsparciu władz samorządowych Gminy i Starostwa Słupskiego, poparciu środowisk kombatanckich Armii Krajowej, Światowego Związku Żołnierzy AK, a szczególnie rodziny patrona placówki działania związane z odsłonięciem obelisku, na którego płycie czytamy:

„GENERAL STEFAN ROWECKI
(1895 - 1944)
PIERWSZY
KOMENDANT GŁÓWNY
ARMII KRAJOWEJ
DLA PAMIĘCI
O DOWÓDCY
I JEGO ŻOŁNIERZY
WRZEŚCIE 2004.”

Goście, gospodarze oraz poczty sztandarowe, kompania honorowa Garnizonu Słupsk i orkiestra Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej w Ustce uczestniczyli w uroczystym nabożeństwie, które odbyło się w kościele parafialnym pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego we Wrześciu. Mszę celebrował proboszcz parafii ks. Andrzej **Osowski**, a asystował mu między innymi prałat Jan **Giriutowicz**. Po nabożeństwie wszyscy jego uczestnicy przemieścili się pod obelisk stojący przed frontem na terenie szkoły podstawowej. Od wczesnych godzin porannych przy pomniku wartę honorową pełnili żołnierze garnizonu z harcerzami - uczniami placówki dydaktycznej. Poczty sztandarowe zajęły miejsce naprzeciw kompanii honorowej, goście, gospodarze i mieszkańcy Wrześcia zgrupowali się przy obelisku.

Uroczystość rozpoczął i ją koordynował dyrektor szkoły pan Zbigniew **Kamiński**. Po powitaniu uczestników uroczystości dowódca kompanii honorowej dokonał, zgodnie z ceremoniałem wojskowym, wciągnięcia flagi państwowej na maszt przy dźwiękach hymnu Rzeczypospolitej Polskiej. Zabierający głos pan Mariusz **Chmiel** - Wójt Gminy Słupsk w imieniu gospodarzy powitał gości, sponsorów i młodzież. Przedstawił krótko drogę życia i służby wojskowej generała „Grota”. Kończąc swoje wystąpienie powiedział:

Być może są wśród zebranych osoby, które zastanawiają się, dlaczego uroczystość ta odbywa się dzisiaj w tym miejscu. Szkoła Podstawowa we Wrześciu od kilkunastu lat konsekwentnie buduje swoją tożsamość między innymi w oparciu o ideały Armii Krajowej. W 1995 roku otrzymała ona imię Generała Stefana Roweckiego - „Grota”, a w 1996 roku sztandar. Każdego roku szkoła organizuje wiele uroczystości patriotycznych z udziałem kombatanów dla uczniów i środowiska. Dziś w pogmatwanej rzeczywistości współczesnego świata prosimy Was żołnierze, kombatan ci o przekazanie w symboliczny sposób zgromadzonemu tu dzieciom i młodzieży Waszego ducha patriotyzmu i umiłowania Ojczyzny wyrażającego się w słowach BÓG, HONOR, OJCZYŻNA.

Starosta pan Zdzisław **Kołodziejski** podziękował organizatorom i sponsorom za wkład pracy związany z przygotowaniem finalizowanej uroczystości i poprosił o wystąpienie przed obelisk komitetu

organizacyjnego: wójta Gminy Słupsk Mariusza **Chmielą**, przewodniczącego Rady Gminy Słupsk Mirosława **Klemiato**, kapelana AK ks. Włodzimierza **Jankowskiego**, prezesa Okręgu Słupskiego Ś.Z.Ż. AK Jana **Sodułę**, prezesa Koła Ustka ŚŻŻ AK Pawła **Panasiuka**, prezesa Oddziału Słupskiego PTN Zdzisława **Dróbkę**, redaktora tygodnika „Niedziela” Jerzego **Walczaka**, dyrektora Szkoły Podstawowej im. Gen. „Grotą” Zbigniewa **Kamińskiego**, w celu uroczystego wmurowania Aktu Erekcyjnego obelisku złożonego do łuski po pocisku, w którym znalazły się także: dokumentacja pomnika, oraz ofiarowana przez słupskich numizmatyków polska moneta wydana z okazji 60 rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego.

Dokumenty wmurowano u podstawy obelisku. Pomnik odsłanili żołnierze Armii Krajowej w asyście uczniów szkoły. Ceremonii poświęcenia dokonali księża celebrujący nabożeństwo w kościele. Ponownie kierowanie uroczystościami przejęli żołnierze. Zakończyli ją Apelem Poległych i uroczystą salwą honorową.

Pod pomnikiem delegacje złożyły wieńce i wiązanki kwiatów. Hołd żołnierzom AK i ich dowódcy złożyli: poseł na Sejm RP Jan **Sieńko**, dyrektor biura posła Andrzeja **Różańskiego**, dyrektor biura posła Roberta **Strąka**, starosta Zdzisław **Kołodziejski** w imieniu Starostwa i Rady Powiatu, wójt Mariusz **Chmiel** w imieniu Urzędu Gminy i Rady Gminy Słupsk, zastępca komendanta Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej w Ustce, szef Regionu Słupskiego „Solidarności” Stanisław **Szukała**, Inspektorat Okręgu Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, Koło w Ustce Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, Rada Powiatowa SLD, Inspektorat Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Koszalin, delegacja Związku Sybiraków, delegacja Związku Inwalidów Wojennych i Wojskowych, delegacja żołnierzy Garnizonu Słupsk, delegacja Szkoły Podstawowej nr 8 w Słupsku, nauczyciele i pracownicy Szkoły Podstawowej we Wrześciu i uczniowie.

Kończąc uroczystość przed obeliskiem dyrektor **Kamiński** podziękował za uczestnictwo i zaprosił wszystkich do budynku na dalszy jej ciąg. Goście, obdarowani folderami prezentującymi życiorys patrona placówki i jej dorobek, udali się do sali gimnastycznej gdzie uczniowie

przedstawili artystyczny montaż słowno-muzyczny poświęcony „Życiu patrona szkoły i jego żołnierzom”.

Podkład muzyczny, gra świateł i dobór prezentowanych utworów literackich spowodował, że przysłowia łąza zakręciła się, szczególnie w oczach kombatanów. Dziękując za występ pan Jan **Soduła** (prezes Okręgu Słupskiego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej) powiedział między innymi:

Jesteśmy my kombatan ci dumni z tego, że tak pielęgnujecie pamięć o tamtych czasach. Szczególnie nas cieszy fakt przyjęcia historii AK i jej dowódcy przez naszą młodzież. Serdecznie dziękuję panu Zbigniewowi Kamińskiemu za bardzo duży wkład pracy oraz inicjatywę budowy tego pomnika. Bardzo dziękuję Wam, droga młodzieży, władzy samorządowej, panu Staroście, Wójtowi Gminy za pomoc organizacyjną i finansową. Cieszy nas zrozumienie i wsparcie finansowe budowy przez sponsorów z powiatów słupskiego. Na ręce księdza majora, kapelana AK Włodzimierza Jankowskiego składam podziękowania duchownym uczestniczącym w uroczystościach za wsparcie naszej pracy.

Gospodarz z nauczycielami zaprosili gości do pomieszczeń szkoły, w których wyeksponowano jej dorobek dydaktyczny i sportowy. Tradycyjnie słupscy numizmatycy zrzeszeni w Polskim Towarzystwie Numizmatycznym przygotowali ekspozycje:

- wyróżniki: odznaki, oznaki i falerystyka Wojska Polskiego w tym szczególnie Pomorskiego Okręgu Pomorskiego i Garnizonu Słupsk,
- medalierstwo order i odznaczenia pt.: „Państwo podziemne i jego wojsko od Powstania Listopadowego do Powstania Warszawskiego”.

Wystawę zaaranżowali i prezentowali panowie Ryszard **Klonowski** i Jan **Radkowski**.

„Żywą lekcję historii” dla uczniów najstarszych klas szkoły i harcerzy na bazie wystawy przeprowadził pan Zdzisław **Dróbka**. Nauczyciele zaprosili numizmatyków z ich zbiorami na historyczne lekcje tematyczne, co zostało przyjęte z zadowoleniem.

Uroczystość zakończył poczęstunek, którego dodatkową atrakcją było śpiewanie pieśni wojskowych i partyzanckich przez kombatanów. Młodzież bardzo entuzjastycznie przyjęła zaimprovizowany występ.

Ceremonia szkolna

Odsłonięcie Obelisku i zakończenie obchodów Roku Generała „Grotta” zakończyło ważny etap budowy ceremoniału i tradycji patriotycznych w Szkole. Bardzo cieszy, że piękna uroczystość nie stała się imprezą samą dla siebie. Na najbliższym spotkaniu dyrektorów szkół gminy Słupsk w obecności wójta Mariusza **Chmielę** dyrektor **Kamiński** zaproponował organizowanie we Wrześcu dwa razy w roku gminnych uroczystości patriotycznych. Przyjęto, że spotkania odbywać się będą w maju, by uczcić przypadające na ten miesiąc liczne, ważne święta oraz w listopadzie z okazji Święta Niepodległości.

Przez lata dopracowaliśmy się pięknej tradycji nie tylko szkolnej, ale też gminnej. Dwa razy w roku więc przyjeżdżają do Wrześcia delegacje wszystkich szkół w gminie wraz z pocztami sztandarowymi. Są władze gminy i powiatu. Są przedstawiciele wojska (7. Brygada Obrony Wybrzeża wystawia też wartę honorową przed Obeliskiem). Gośćmi są też władze oświatowe i przedstawiciele jednostek organizacyjnych gminy. Zawsze szczególna uwaga zebranych skupiona jest na kombatantach, którzy zawsze również ze swoim Sztandarem są obecni.

Scenariusz uroczystości jest zawsze podobny. Zebrani spotykają się przed Obeliskiem. Po odśpiewaniu hymnu narodowego i powitaniu gości, wójt gminy Słupsk jako gospodarz uroczystości wygłasza okolicznościowe przemówienie. Po tym ks. proboszcz przewodniczy modlitwie za poległych w walkach o wolną Ojczyznę, a następnie po minucie ciszy delegacje składają wiązanki kwiatów pod Obeliskiem. Po tej części zwanej manifestacją patriotyczną uroczystość przeniesiona zostaje do budynku szkoły, a konkretnie do sali widowiskowo-sportowej. Tam odbywa się część artystyczna. Początkowo tę część rotacyjnie przygotowywały gminne szkoły. Od kilku lat szkolny koordynator tej części proponuje gminnym szkołom przygotowanie pewnego jej elementu.

Podczas uroczystości odbywa się właściwie pierwsza próba całości, która i tak zawsze wypada wspaniale. Później wszyscy obecni zapraszani są do zwiedzenia wystaw okolicznościowych przygotowywanych

każdorazowo przez członków Oddziału Słupskiego Towarzystwa Numizmatycznego. Koordynatorem tej części jest każdorazowo Zdzisław **Dróbka**. Po zwiedzeniu wystaw uczestnicy zaproszeni zostają na tradycyjny już poczęstunek w postaci też tradycyjnej „grochówki”, która nie zawsze grochówką jest.

Ceremoniał szkolny obejmuje wiele elementów. Tradycje patriotyczne, postać Patrona, Sztandar Szkolny i inne przeplatają się przez wiele wydarzeń z codziennego życia szkoły. Warto nadmienić, że od lat na głównej ścianie szkoły widnieje napis: NAUKA, BÓG, HONOR, OJCZYŻNA. Te elementy widoczne są zarówno podczas ważnych wydarzeń szkoły (do omówionych wcześniej można dodać np. inaugurację i zakończenie roku szkolnego, pasowanie naucznia, Święto Szkoły, uro-

czystości związane z Państwem Podziemnym, a w szczególności z Armią Krajową). Nasz sztandar jest obecny podczas wielu wydarzeń na terenie gminy, powiatu i miasta Słupska.

Ta działalność szkoły ważna jest nie tylko dla naszej społeczności. Opisywana jest w różnych wydawnictwach i publikacjach.

Szczególnie ważnym dniem był 19 czerwca 2007 roku, kiedy to w Sopocie sztandar szkoły odznaczony został



Poczet sztandarowy SP we Wrześciu w asyście: Anny Boguckiej Skowrońskiej - przewodniczącej RM w Słupsku, Andrzeja Obecnego - wiceprezydenta Słupska i Andrzeja Kaczmarczyka - sekretarza miasta. Słupsk - w dniu Święta Polskiego Państwa Podziemnego. Fot. arch. SP Brzeście.

medalem „Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej” przyznany przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Jako szczególne wyróżnienie dla całej szkoły traktować trzeba odznaczenia przyznane osobiście dyrektorowi szkoły: medal „Pro Memoria”, odznakę pamiątkową „Akcji Burza”, medal XXV lat Okręgu Gdańskiego ŚZŻAK, a ponadto status członka ŚZŻAK.

Oto wypowiedź Zbigniewa **Kamińskiego** na ten temat:

Z dumą też noszą legitymację członka najpierw nadzwyczajnego, a od 2004 roku zwyczajnego ŚZŻAK. Jestem, przynajmniej na Pomorzu najmłodszym członkiem rzeczywistym tej organizacji.

Wychowanie patriotyczne w szkole we Wrześcu jest priorytetem od wielu lat. Starania idą w kierunku, aby wychowanie to nie było nachalne, dzieci nie są zmuszane do pewnego wzoru myślenia i działania. Celem jest przekonywanie uczniów do pewnych zachowań poprzez udział ich w wielu wydarzeniach, tak aby patriotyzm był dla nich rzeczą naturalną, a nie wymuszoną.

Ważną rolę w tym procesie pełni m.in. hymn szkoły śpiewany na szkolnych uroczystościach i apelach. Autorem słów i muzyki jest nauczyciel szkoły Łukasz **Cysewski**. Słowa hymnu są w pewnym sensie opowieścią o bardzo ważnym wycinku codziennej pracy i rzeczywistości placówki.

Choć lat mam niewiele

Drogę dobrze znam

Z Tobą przyjacielu

Radę sobie dam

Choć czasem zwolnię tempo

Gdy na czołe pot

Nie przystanę, bo

Idę naprzód jak Rowecki

- „Grot”!

Choć jest nas niewielu,

Każdy jeden - chwyt

Razem, przyjacielu

Można zmienić świat

Choć żaden z nas nie szczędzi

Śmiechu, żartów, psot...

Ja tam swoje wiem:

Równam w górę, jak Rowecki

- „Grot”!

WYCHOWANIE PRZEZ SPORT

Szkoła ostatnich lat to nie tylko patriotyzm, choć o tym w tej części najwięcej. Szczególnie ostatnie lata istnienia szkoły to liczne sukcesy sportowe, ale również związane z nauką. Dzięki istniejącej od 1995 roku sekcji judo Uczniowskiego Klubu Sportowego „Piast” we Wrześciu poszczycić się możemy między innymi tytułami mistrzów Polski w tej dyscyplinie.



*Odbiór trofeów podczas jednego z podsumowań Powiatowej Olimpiady Młodzieży.
Fot. arch. SP Wrzeście.*

Do najlepszych zawodników w dwudziestopięcioletniej historii sekcji, ćwiczących obecnie pod okiem Tomasza **Kołodziejskiego**, zaliczyć można: Aleksandrę **Koper**, Beatę **Borowicz**, Agatę **Słupską**, braci **Sikorów** i **Okrojów**, siostry **Rugała** i rodzeństwo **Winiarczyków**.

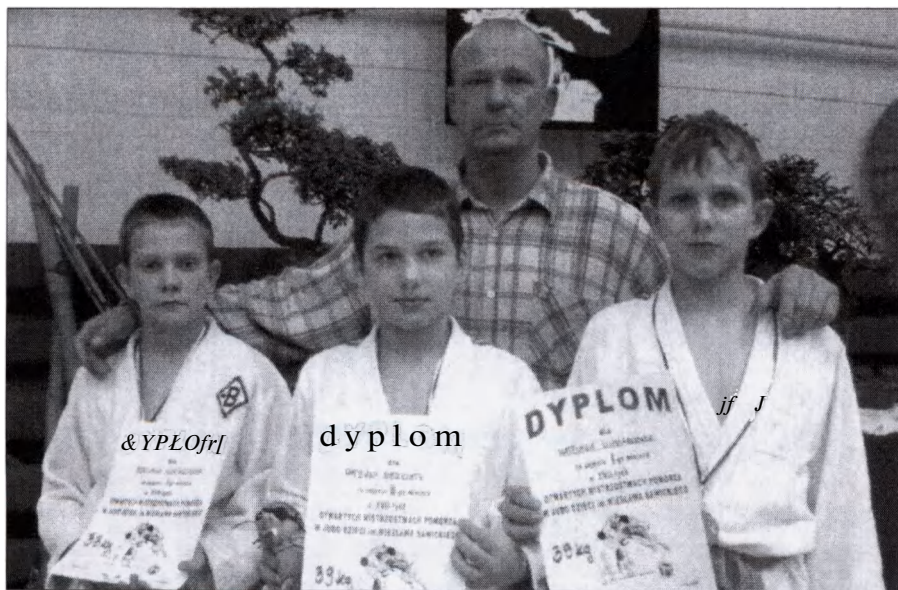
Trenerami naszych judoków byli m.in. Wiesław **Hałaburda**, Cezary **Staciwa**, Jacek **Słupski**, Jan **Pesta** i najdłużej Tomasz **Kołodziejski**. Jest nim zresztą do dzisiaj.

Warto też wymienić kolejnych prezesów UKS-u, byli to: Jacek **Słupski**, Jerzy **Weland**, Jan **Pesta** i do dzisiaj Zbigniew **Kamiński**.

Wspomina Zbigniew **Kamiński**:

Prawie od początku istnienia sekcji organizujemy ogólnopolski turniej judo, który rokrocznie odbywa się w maju. Jesteśmy też organizatorami lokalnych turniejów judo np. kolejnych rzutów ligi miejsko-powiatowej. Nasi zawodnicy przywożą z turniejów wiele medali i pucharów.

Również w innych dyscyplinach osiągamy ogromne, jak na nasze możliwości (jesteśmy najmniejszą szkołą w gminie) sukcesy. Już w 1994 roku uczeń naszej szkoły Jacek Nowosielski zdobył tytuł mistrza Polski w biegach przełajowych. Ogromny wzrost osiągnięć sportowych związany jest z rozpoczęciem pracy w szkole przez pana Zdzisława Snopka, nauczyciela z wieloletnim doświadczeniem. Dzięki jemu i jego podopiecznym szkoła poszczycić się może wieloma tytułami mistrzów gminy, powiatu a nawet województwa. Tytuły te uzyskujemy w takich dyscyplinach jak unihokej, lekka atletyka, piłka koszykowa (to u nas rozpoczynał swoją przygodę z tą dyscypliną kadrowiec Czarnych Słupsk Bartosz Sprengel), piłka siatkowa, tenis stołowy.



Mistrzowie Pomorza w judo z Wrześcia. Fot. arch. SP Wrzeście.

Do najlepszych sportowców w ostatnich latach należą: Dawid **Sawka**, Dawid **Majewski**, Adam **Kozub**, Oskar **Zajac**, Sebastian **Pilecki**, Jakub **Nadwodny**, Mateusz **Bielecki**, Paulina **Pertkiewicz**, Malwina **Stępień**, Klaudia **Polechońska**, Oliwia **Myszk**, Magda **Matczak**, Weronika **Koperska**, Alicja **Krajewska**, Natalia **Gierczak**, Julia **Broll**, Maria **Bielecka**, Martyna **Brandt**.

Prym wiodły jednak rodzeństwa: Mateusz i Ewelina **Ciok**, Marek, Adrian i Paulina **Grzelczykowie**, Kinga i Daniel **Białowas**, Bartosz i Sandra **Spengel**. Największy wkład miała zdecydowanie rodzina **Winiarczyków** - od Mateusza, Adriana, Nikoli, Maćka do Kamila.

Od wielu lat jesteśmy też organizatorami wielu zawodów i turniejów. I tych towarzyskich, i połączonych z eliminacjami do zawodów wyższej kategorii. W gablotach sportowych można zobaczyć prawie dwieście pucharów, z których zdecydowana większość to trofea z ostatnich piętnastu lat.

NAUKA I WYCHOWANIE

Nie zapominamy też o podstawowej naszej działalności jaką jest nauczanie i wychowanie. Z tą drugą dziedziną bardzo mocno związane jest kultywowanie patriotyzmu i dbanie o zdrowie, również poprzez sport.

Rokrocznie szcycimy się osiągnięciami naszych uczniów w konkursach przedmiotowych na szczeblu gminy, powiatu i województwa (w 2008 roku dwóch naszych uczniów, Marek **Derezulko** i Krzysztof **Kamiński** było finalistami etapu wojewódzkiego konkursów kuratorskich). Podobnie w konkursach plastycznych i piosenki rokrocznie nasi uczniowie poszczycić się mogą wieloma sukcesami.

Organizujemy sami konkursy wiedzy, sportowe i artystyczne. Uczestnicy tych konkursów zawsze wyjeżdżają od nas z zadowoleniem, nawet jeśli nie opuszczają ich jako triumfatorzy.

Staramy się również istnieć w środowisku poprzez inicjowanie i organizację różnych imprez dla wszystkich mieszkańców. Sztandarową imprezą od lat jest Święto Pieczonego Ziemniaka, organizowane na

przełomie września i października. Rodzice mają wtedy możliwość pochwalenia się swoimi umiejętnościami kulinarnymi i nie tylko. Jest to też sposób na poprawianie budżetów klasowych i Rady Rodziców.

Przy okazji warto wspomnieć, że jesteśmy chyba ewenementem wśród szkół, gdyż nie ma u nas składek na Radę Rodziców. Pomimo tego rodzice potrafią zgromadzić fundusze, aby zapewnić dzieciom atrakcje z okazji różnych świąt czy dofinansowując wycieczki klasowe. Dzieje się to głównie dzięki sprzedaży ciast, ozdób świątecznych podczas różnych okazji. Dzięki tym finansom, również dzięki sponsorom organizujemy wspaniałe spotkania wigilijne, podczas których wszystkie dzieci obdarowywane są prezentami.



Tradycja szkoły są m.in. wspólne wigilie. Fot. arch. SP Wrzesćie.

Wiosną odbywa się w naszej szkole festiwal ekspresji dziecięcej, podczas którego nasze dzieci i uczniowie mogą zaprezentować swoje najróżniejsze uzdolnienia. Wszyscy są nagradzani, a najlepsi otrzymują statuetki Małych Stefanków. To dla przypomnienia, że nasz Patron też był kiedyś dzieckiem i uczniem, i chciał być zawsze najlepszy. Kilka lat temu również nauczyciele zaprezentowali swoje uzdolnienia aktorskie podczas tego dnia wystawiając sztukę „Kopciuszek”.

Od wielu lat wraz ze szkolnym kołem Towarzystwa Przyjaciół Dzieci jesteśmy organizatorami konkursu na palmy, ozdoby i karty

wielkanocne, na który swoje prace zgłaszają uczestnicy z kilku powiatów. Finał tego konkursu towarzyszy szkolnemu spotkaniu wielkanocnemu, podczas którego dzielimy się jajkiem i składamy sobie życzenia.

Zawsze staraliśmy się i staramy, aby nasi wychowankowie odnajdywali w sobie swoje uzdolnienia i najróżniejsze talenty. Temu służy między innymi całoroczny konkurs „Uczeń na Medal”. Laury miesięczne, a później tytuły „Uczeń Roku” nie zawsze uzyskują najlepsi i najgrzeczniejsi uczniowie. Oni oczywiście są honorowani w szkole, ale zdajemy sobie sprawę, że najwięcej w dorosłym wieku dają społeczeństwu najczęściej ci niepokorni, mający ciągle jakieś dziwne i męczące pytania, niestandardowi.



*Szkolny zespół muzyczny SP Wrzeście, z przodu 5-letnia Mariola Jakubczyk.
Na przeglądzie powiatowym w Słupsku w latach sześćdziesiątych. Fot. arch. SP Wrzeście.*

W 2010 roku reaktywowaliśmy po wielu latach działalność Punktu Przedszkolnego w naszej miejscowości. Zaczynaliśmy w ramach projektu finansowanego z funduszy europejskich.

Po początkowych kłopotach związanych np. z niechęcią niektórych rodziców do oddawania swoich pociech pod opiekę placówki dzisiaj

w większości rodzice nie wyobrażają sobie funkcjonowania bez przedszkola. Od tego czasu datuje się też zniesienie w szkole dzwonków. Mimo ich braku właściwie nie odnotowujemy spóźnień na zajęcia. Nasze najstarsze przedszkolaki niedługo będą absolwentami szkoły. Dzisiaj obecność maluchów w budynku szkoły stała się tak oczywista jak obecność każdego z jej uczniów.



Dzieci z Punktu Przedszkolnego podczas realizacji projektu „Mały ratownik”. Fot. arch. SP Wrzeście.

Ważnym przedsięwzięciem w szkole było zorganizowanie i funkcjonowanie pierwszego na terenie powiatu słupskiego szkolnego gabinetu integracji sensorycznej. Duży ukłon należy się obecnej pani wójt Barbarze **Dykie**, która rozumiejąc potrzeby dzieci przekazała środki na wyposażenie i zatrudnienie terapeutów integracji sensorycznej. Warto dodać, że od samego początku przeznaczony on był dla dzieci z całej naszej gminy. W dziele tworzenia gabinetu ogromną rolę, szczególnie merytoryczną odegrała bliska współpraca z Powiatową Poradnią Psychologiczno-Pedagogiczną w Słupsku, jej terapeutami, a głównie z panią dyrektorką Jolantą **Kamińską** (która kiedyś utworzyła w naszej szkole gabinet logopedyczny).

Na koniec krótka wizytówka dnia dzisiejszego Szkoły Podstawowej we Wrześcu.

Dziś, oprócz opisanych elementów Szkołę we Wrześcu charakteryzuje to, że jest przyjazną uczniowi, bezpieczną, odpowiadającą na

zapotrzebowania środowiska placówką. Uczniowie korzystają z szerokiej oferty edukacyjnej, zajęć pozalekcyjnych. Uczestniczą w bezpłatnej nauce pływania. Chętni uczęszczają na lekcje kaszubskiego, korzystają też z bezpłatnych obiadów. Opiekuje się nimi świetnie wykształcona kadra nauczycieli, wychowawców i terapeutów. Pracownicy administracji i obsługi dbają, aby nikomu niczego w szkole nie brakowało.

Od lat przy okazji kontroli, wizytacji, ewaluacji otrzymujemy najwyższe noty. Nasi szóstoklasiści również kończą szkołę z wysokimi notami, m.in. ze sprawdzianu szóstoklasistów (kilkakrotnie zajmowaliśmy pierwsze miejsce w gminie). Również od lat utrzymujemy się na poziomie 5-6 staninu (wtajemniczeni wiedzą, o co chodzi).

70 lat to dużo w historii nawet małej wiejskiej placówki. Nie sposób opisać wieloletniej działalności szkoły, losów jej nauczycieli, uczniów czy pracowników nawet na kilkuset stronach. Mamy nadzieję, że sporym uzupełnieniem będą wspomnienia absolwentów szkoły. Oczywiście jest to tylko kilkanaście osób. Dobrze, że są to osoby, które chodziły do szkoły na różnych etapach jej historii.

Zapraszamy też do odwiedzenia Szkoły Podstawowej we Wrześciu osobiście lub poprzez stronę internetową: **www.spwrzescie.kylos.pl**

KALENDARIUM WYBRANYCH WYDARZEŃ W HISTORII SZKOŁY WE WRZEŚCIU



Pan Stanisław Bednarski przed budynkiem szkoły ze swoimi uczniami. Fot. arch. SP Wrzeście.

Rok szkolny 1945/46

- w dniach 14-19 grudnia trwają prace adaptacyjne w budynku po-niemieckiej szkoły;
- 19 grudnia odbywa się pierwsza lekcja w polskiej szkole we Wrze-ście. Pracę podjął jedyny wówczas nauczyciel pan Stanisław **Bednarski**;
- szkoła miała tylko jedną salę lekcyjną, naukę rozpoczęło 14 uczniów.

Rok szkolny 1946/47

- w dniu 9 września rozpoczęcie nowego roku szkolnego poprzedzonego pracami remontowymi;
- pracę w nowym roku szkolnym podejmuje jako drugi nauczyciel pani Stefania **Bednarska**, która przejmując obowiązki kierownika szkoły;
- w szkole uczy się 64 uczniów w czterech oddziałach, zajęcia odbywają się w dwóch salach lekcyjnych.

Rok szkolny 1949/50

- zakupiono w Słupsku piłkę skórzaną do gry w piłkę nożną, środki uzyskano z loterii fantowej urządzonej przez Koło Przyjaciół Żołnierza;
- Komitet Rodzicielski zorganizował dzieciom wycieczkę do Ustki, wzięło w niej udział 68 dzieci.

Rok szkolny 1950/51

- dwukrotnie: 12 września i 12 października szkołę kontrolowali inspektorzy szkolni i przeprowadzili sprawdzające poziom nauczania zajęcia z uczniami;
- 1 maja 1950 roku w Domu Ludowym uczniowie wystawili sztukę teatralną pt. „Będę Sołtysem”;
- 3 czerwca zorganizowano w szkole Dzień Dziecka, na który zjechali uczniowie ze wszystkich szkół gminy Lubuczewo, a także dzieci ze świetlicy TPD ze Słupska.

Rok szkolny 1951/52

- pracę podejmuje trzeci nauczyciel – pan Stefan **Kuśnierczyk**;
- po raz pierwszy prowadzi się lekcje w 7 oddziałach i 3 salach lekcyjnych, jedna z sal zaadaptowana została na pobliskiej plebani.

Rok szkolny 1952/53

- powstała w szkole siódma klasa, której do tej pory nie było;
- pracę w szkole podjął czwarty nauczyciel – pani Aleksandra **Pietrzak**, później po ślubie **Jakubczyk**.

Rok szkolny 1956/57

- pierwsze starania o budowę nowego budynku szkolnego, 28 listopada zostaje podjęta uchwała Gromadzkiej Rady Narodowej we Wrześniu w tej sprawie.

Rok szkolny 1959/60

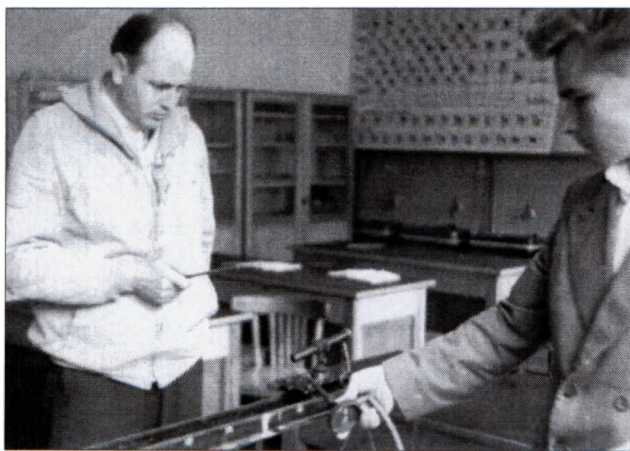
- w tym roku kalendarzowym nastąpiła dwukrotna zmiana na stanowisku kierownika szkoły, panią Stefanię **Bednarską** zastąpił pan Stefan **Korpalski**.

Rok szkolny 1960/61

- w listopadzie 1960 roku obowiązki kierownika szkoły przejął nauczyciel szkoły w Siemianicach pan Władysław **Dymek**.

Rok szkolny 1964/65

- w październiku 1964 roku rozpoczęto budowę nowego budynku szkoły, tzw. „tyśiąclatki: koszt budowy wyniósł dwa miliony zł, mieściła ona m.in. cztery izby lekcyjne oraz Świetlicę.



Pan dyrektor Władysław Dymek. Fot. arch. SP Wrzeście.

Rok szkolny 1975/76

- budynek szkolny otrzymuje nową elewację, a teren szkolny nowe ogrodzenie.

Rok szkolny 1983/84

- rozpoczęły się rozmowy na temat budowy sali gimnastycznej.

Rok szkolny 1986/87

- powołanie Społecznego Komitetu Budowy sali gimnastycznej.

Rok szkolny 1987/88

- rozpoczęcie budowy sali gimnastycznej.

Rok szkolny 1990/91

- w dniu 3 maja 1991 roku odbyło się uroczyste oddanie do użytku nowego obiektu sali gimnastycznej.

Rok szkolny 1991/92

- z dniem 31 sierpnia 1992 roku na emeryturę odchodzi długoletni dyrektor szkoły pan Władysław **Dymek**.

Rok szkolny 1992/93

- nowym dyrektorem szkoły zostaje pan Zbigniew **Kamiński**;
- w październiku 1992 roku Rada Pedagogiczna ustanowiła dzień 19 grudnia Świętem Szkoły;
- kwiecień 1993 roku rozpoczęto starania o nadanie szkole imienia gen. Stefana **Roweckiego**
- „Grota”;
- podjęcie współpracy z Inspektorem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Słupsku.

Rok szkolny 1994/95

- w dniu 1 września 1994 roku w szkole pojawiły się pierwsze komputery typu „Bosman”;
- jesienią 1994 roku powołano Uczniowski Klub Sportowy



Pan dyrektor Zbigniew Kamiński z synem Rafałem. Fot.arch. SP Wrzeście.

„Piast” z sekcją wiodącą judo, pierwszym prezesem zostaje pan Jacek **Słupski**, a pierwszy trenerem Wiesław **Hałaburda**.



Judocy z Wrześcia. Fot. arch. SP Wrzeście.

Rok szkolny 1995/96

- podczas Świąta Szkoły 19 grudnia 1995 roku odbyło się uroczyste nadanie szkole imienia gen. Stefana **Roweckiego** - „Grota”.

Rok szkolny 1996/97

- 19 grudnia 1996 roku odbyło się nadanie szkole Sztandaru ufundowanego przez Fundację Teresy i Zdzisława **Knoblów**. Chrzestnymi sztandaru byli: Irena **Mielczarska-Rowecka** (córka patrona) i gen. Boleśław **Nieczuja-Ostrowski**.



Poczet sztandarowy. Fot. arch. SP Wrzeście.

Rok szkolny 1997/98

- podczas gminnych dożynek odbywających na terenie naszej szkoły odwiedził nas premier RP Włodzimierz **Cimoszewicz**.



Gość specjalnych gminnych dożynek premier RP Włodzimierz Cimoszewicz. Od lewej siedzą: Władysław Rajszcak - wójt gminy Słupsk, premier Cimoszewicz, Lidia Orłowska-Getler, Maciej Kobyliński, Władysław Szkop - poseł RP, Jan Sienko - poseł RP. Fot. arch. SP Wrzeście.

- w latach 1997-2004 wykonano prace remontowe i estetyzację budynku szkoły: wymiana poszycia dachowego, podłóg, stolarki drzwiowej i okiennej, remont toalet, sali gimnastycznej oraz przebudowa pomieszczeń w celu ich lepszej funkcjonalności, uruchomiono nową kotłownię ekologiczną.

Rok szkolny 1998/99

- jesienią 1998 roku społeczność szkolna, poczet sztandarowy uczestniczyli w pogrzebie wieloletniego, bardzo lubianego woźnego pana Mieczysława **Zywara**.

Rok szkolny 1999/2000

- we wrześniu 1999 roku pani Jolanta **Kamińska** tworzy pierwszy gabinet logopedyczny w szkole;
- zakończenie budowy sali widowiskowo-sportowej wybudowanej m.in. na potrzeby judoków;
- pod koniec 1999 roku otrzymujemy nową, w pełni wyposażoną i nowoczesną salę komputerową, a z nią stały dostęp do internetu, szkolna sieć obejmuje pracownię, czytelnię i administrację szkoły.

Rok szkolny 2001/02

- 11 listopada 2001 roku jesteśmy organizatorami Powiatowych Obchodów Święta Niepodległości;
- rok 2002 budowa przy szkole boiska sportowego z polbruku.

Rok szkolny 2002/03

- w maju 2003 roku szkołę odwiedził ksiądz biskup Piotra **Krupa**.

Rok szkolny 2003/04

- wrzesień 2003 roku otrzymujemy tytuł „Szkoły z klasą”;
- remont pomieszczeń przeznaczonych na nową kotłownię ekologiczną. Modernizacja instalacji co i wodno-kanalizacyjnej;
- nasza strona internetowa najlepszą szkolną stroną w gminie;
- realizacja programu Powiatowego Roku Obchodów Generała Stefana **Roweckiego** „Grota”.

Rok szkolny 2004/05

- październik 2004 roku otrzymujemy tytuł „Szkoły roku” w gminie Słupsk;
- w dniu 11 grudnia 2004 roku odsłonięcie przed szkołą Obelisku poświęconego „Dowódcy i jego żołnierzom”;
- 13 stycznia 2005 roku wizyta księdza biskupa Bernarda **Szlagi** w naszej szkole;
- szkoła zdobyła sprawność „Lego”;
- remont podłogi na sali gimnastycznej;

- marzec 2005 roku wygraliśmy konkurs na najlepszą stronę internetową w konkursie zorganizowanym przez Eduseek.

Rok szkolny 2005/06

- listopad 2005 roku otrzymujemy nową pracownię komputerową;

- 19 grudnia 2005 roku - 60 LAT NASZEJ SZKOŁY;

- od maja 2006 do 13 lipca 2006 roku adaptacja pomieszczeń po starej kotłowni na potrzeby obiektów sportowych (szatnie, toalety z natryskami, magazyny, pomieszczenia socjalne).



Dr Zygmunt Wujek przy pracy przy obelisku gen. „Grot”. Rok 2004. Fot. arch.SP Wrzeście.

Rok szkolny 2006/07

- 21 grudnia 2006 roku - 61 lat szkoły, 11-lecie nadania szkole imienia i 10-lecie nadaniu szkole sztandaru;

- w roku 2007 ułożenie kostki polbrukowej wzdłuż budynku szkoły, na pętli autobusu szkolnego oraz parkingu;

- 19 czerwca 2007 roku Sztandar Szkoły udekorowany zostaje „Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej”.

Rok szkolny 2007/08

- 14 maja 2008 roku uczniowie i nauczyciele uczestniczyli w pogrzebie Wójta Gminy Słupsk - Władysława **Rajszczaka**.

Rok szkolny 2008/09

- 16 września 2008 rok wizyta ks. biskupa Bernarda **Szlagi**;

- 22 grudnia 2008 roku dyrektor szkoły Zbigniew **Kamiński** odznaczony został medalem „Pro Memoria” za wybitne zasługi

w utrwalaniu pamięci o ludziach i ich czynach w walce o niepodległość Polski podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu;

- 8 kwietnia 2009 roku żegnamy wieloletnią pracownicę szkoły panią Helenę **Świercz**;

- 15 maja 2009 roku żegnamy wieloletniego dyrektora szkoły pana Władysława **Dymka**.

Rok szkolny 2009/10

- **listopad 2009 roku** w miejsce szatni wprowadzamy nowe szafki dla uczniów;

- **rok 2010** modernizacja zaplecza kuchennego, pomieszczeń sanitarnych na piętrze oraz sal w łączniku szkoły z przeznaczeniem na punkt przedszkolny.

Rok szkolny 2010/11

- wrzesień 2010 rok - powstanie Punktu Przedszkolnego przy naszej szkole.

- 19 grudnia 2010 rok - obchody 65-lecia szkoły;

- rok 2011 - remont dachu budynku głównego szkoły;

- 19 marca 2011 roku żegnamy żołnierza Armii Krajowej pana Pawła **Panasiuka** - prezesa Koła Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Ustce.

Rok szkolny 2012/13

- rok 2013 - rozbudowanie placu zabaw przy naszej szkole ze środków unijnych.

Rok szkolny 2014/15

- wrzesień 2014 rok - w szkole uczniowie zaczynają naukę języka kaszubskiego.

Rok szkolny 2015/16

- wrzesień 2015 rok - w szkole zaczyna działać gminny gabinet integracji sensorycznej;

POŁĄCZYŁA ICH SZKOŁA WE WRZEŚCIU. 1945-2015

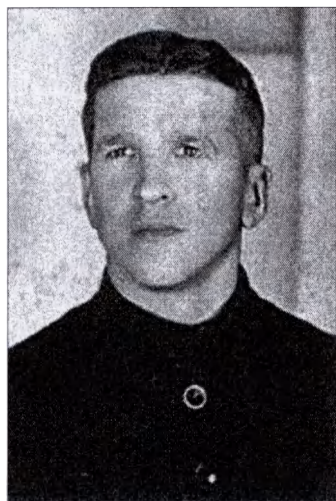
- wrzesień 2015 rok - realizacja projektu „Mali ratownicy” w grupie 3-latków, 4-latki realizują projekt „Mali Strażacy”;
- rok 2015 - maj 2016 - budowa świetlicy wiejskiej wraz z gabinetem stomatologicznym, nową, ekologiczną kotłownią przy naszej szkole.
- 19 grudnia 2015 rok - 70 LAT NASZEJ SZKOŁY, w roku szkolnym 2015/16 odbyło się wiele imprez i uroczystości w ramach obchodów roku 70-lecia istnienia naszej szkoły;
- 10 stycznia 2016 rok - Nasi uczniowie po raz 24. wzięli udział w akcji WOŚP;
- luty-maj 2016 rok - ukazuje się historia szkoły w czterech kolejnych wydaniach gazety „Moje dwuMiasto”;
- czerwiec-sierpień 2016 rok - budowa boiska wielofunkcyjnego i bieżni lekkoatletycznej przy szkole.

Rok szkolny 2017/17

- listopad 1916 roku - ukazuje się książka o historii naszej szkoły.

WSPOMNIENIA STANISŁAWA BEDNARSKIEGO

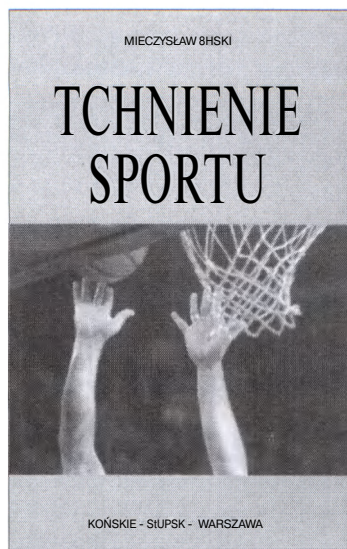
Stanisław **Bednarski** pseudonim „Drzazga” był pierwszym dyrektorem polskiej szkoły we Wrześniu. Do tej małej pominiemieckiej wsi trafił nieprzypadkowo. Po kilkuletniej działalności konspiracyjnej w Armii Krajowej, musiał gubić za sobą trop przed organami bezpieczeństwa Związku Radzieckiego i nowej Polski. Do tego Słupsk i okolice nadawały się jak najbardziej. Z Końskich na Ziemię Słupską przybyły setki konspiratorów z tamtych stron, w większości młodych ludzi - dziewcząt i chłopców. To że wybrali Słupsk, to nie był przypadek. Mieli tu swoich ludzi, którzy ich dobrze ukrywali.



Stanisław Bednarski.

Pierwszym i najważniejszym był Jerzy **Turno**, który pracował w Polskim Urzędzie Repatriacyjnym w Słupsku. Był on w okresie okupacji uczestnikiem walki konspiracyjnej. W Słupsku w ramach

powojennego podziemia pomagał przybyszom z Końskich, szczególnie tym zagrożonym represjami NKWD i Urzędu Bezpieczeństwa, ze względu na swoją przynależność do AK.



Okładka książki red. Mieczysława Bilskiego „tchnienie sportu”.

Fot. A. Obecny.

Pisze o tym red. Mieczysław **Bilski**, który też na swojej powojennej drodze spotkał Słupsk, aby ukryć swoją konspiracyjną przeszłość z Końskich. Oto fragment jego wspomnień na łamach tej książki:

Znaki czasy były takie, że młodzi wojownicy, którzy bezlitośnie bili Niemców zostali zmuszeni do salwowania się ucieczką. Ba, ale dokąd pójść, gdy w miastach i miasteczkach czołgi i wojska sowieckie naznaczały śladami, że będzie nowa siła panów. No to uciekajmy w kierunku zachodu, na dawne piastowskie rubieże, częściowo zajmowane jeszcze przez ludność niemiecką, a wgruncie rzeczy przez kobiety i dzieci, ponieważ ich mężowie i ojcowie zostali zabici albo znaleźli się w obozach jenieckich na Syberii.

Tadek (Tadeusz **Drapiński**, (1923-1985), słupszczanin, poch., na cmentarzu w Słupsku - dop. aut.) (pseudonim „Dębicz”), członek dywersji Związku Walki Zbrojnej a potem AK były wspaniałym harcerzem, syn przedwojennego oficera WP, spotkał Jurka (Jerzy **Górski** (1919-1957) słupszczanin, poch., na cmentarzu w Słupsku - dop. aut.) (wywieziony w czasie wojny do Oświęcimia) i zapytał:

- Czy nie sądzisz, że nas gimnazjalistów z Końskich sowieci nie zechcą wyłapać, byłeś w wywiadzie, a za takimi uganiają się enkawudziści.
- A co proponujesz - na to Jurek.
- Zabieraj swoją ukochaną Ulę i jutro udamy się na stację kolejową, wykupimy bilety i pojedziemy do... Słupska.

Otrzymałem od dowództwa dywersji wiadomość, że działają tam nasi ludzie i czekają na byłych żołnierzy AK - powiedział „Dębicz”.

- *Takie skupisko będzie łatwe do rozszyfrowania przez nowe władze, które nas wygarną i spacyfikują posyłając do łagrów - to Jurek.*

- *Nasze władze podjęły decyzję zmierzającą do tego, aby młodzi Polacy z Kieleckiego wyjeżdżali na tak zwane ziemie zachodnie, zasiedlali je i żyli tam normalnie, włączając się w nurt budowania nowej Polski; z tego trzeba skorzystać, uda nam się w ten sposób przeżyć - zachęcał Tadek.*

Działał tam już kolega gimnazjalny, J. Turno, nowo mianowany naczelnik wydziału PUR (Polski Urząd Repatriacyjny), przydzielał mieszkania opuszczone przez Niemców. Załatwiał zatrudnienie.

Także Stanisław **Bednarski** przyjechał tutaj, jak do siebie. Otaczali go przyjaciele z Końskich, ale z tymi znajomościami młodzi konspiratorzy nie afiszowali się. Byli w tym wyspecjalizowani.

Poczytajmy wspomnienia Stanisława **Bednarskiego**, założyciela Szkoły Podstawowej we Wrześciu.

PRZED WRZEŚNIEM

Rok 1939 rozpoczął się w Dęblińskiej

Twierdzy - w 15. Pułku Piechoty „Wilków” tak samo, jak wszystkie poprzednie. Pożegnaliśmy balem sylwestrowym w kasynie oficerskim i podoficerskim stary rok 1938 i rozpoczęliśmy nowy. A w tym nowym roku, wszystko było tak jak w starym. Wojsko chodziło na ćwiczenia, kucharze gotowali jedzenie, szefowie pododdziałów przy końcu każdej dekady wypłacali żołd, płatnik pułku co pierwszego wypłacał oficerom i podoficerom pobory a ja wypożyczałem książki.

Było jednak coś, czym ten rok różnił się od lat poprzednich: zmieniła się pokojowa atmosfera jaka od lat panowała w Twierdzy i zmieniła się postawa wojska. Na początku - w styczniu i lutym - tego się jeszcze nie odczuwało. W marcu wrócił z Westerplatte kapral **Brumori** od jego



Odnaka 15. Pułku Piechoty „Wilków”.

powrotu o niczym więcej w Twierdzy się nie mówiło - tylko o wojnie. A wojsko stało się jakby zamknięte w sobie - skupione i nad swój wiek poważne. I jeszcze co było charakterystyczne dla tego roku - ogromnie wzrosło zainteresowanie książką. Wszyscy czytali: czytali żołnierze służby czynnej, czytali podchorążowie, czytali oficerowie i podoficerowie, czytały ich żony i ich dzieci. W niedzielę po nabożeństwie przychodzili do biblioteki całymi rodzinami. Największą poczytnością cieszyły się książki z zakresu literatury pięknej i popularnonaukowej.

Był w naszej bibliotece pułkowej jeden egzemplarz *Mein Kampf* Adolfa **Hitlera**. Pamiętam, że jako pierwszy wypożyczył go kapitan **Iskierko** [Mieczysław] i trzymał go dość długo, potem wziął go jakiś podchorąży a na ostatku jeden Żydek z czynnej służby



Kadra i żołnierze 15. Pułku Piechoty „Wilków”.

Mój przełożony oficer oświatowy pułku podporucznik rezerwy **Po-łomski** Kazimierz chodził po cywilnemu i mieszkał w mieście, i był wydaje mi się, poza zasięgiem tej atmosfery jaka panowała w Twierdzy. W bibliotece i w świetlicy był gościem. Nigdy nie miał czasu. Zawsze był u niego jakiś „sezon”: albo „truskawkowy” albo „ogórkowy”, a jak nie to „pomidorowy”.

Ja wydając i przyjmując od czytelników książki, czytałem tylko ich tytuły, bo w bibliotece było sporo roboty, a ja byłem tam sam i przeczytałem tej wiosny tylko jedną książkę. Była to rozprawa psychologiczna **Adlera** [Alfred] - *Sens życia*. W południe w czasie obiadu, i wieczorem po kolacji, przysiądałem w kasynie i wertowałem prasę.

Zaczynałem zawsze od *Polski Zbrojnej*, a kończyłem na *Ilustrowanym Kurierze Krakowskim*. Na wiadomościach z prasy opierała się moja wiedza o tym, co aktualnie działo się w kraju i na świecie.

O prowokacjach niemieckich pisały tej wiosny i tego lata wszystkie gazety. A jedna, gazeta to była jakaś inna - nazywała się *Alarm*. Czasami w tym *Alarmie* były puste niezadrukowane całe stronicie. I ja z tego *Alarmu* dowiedziałem się, jak to w Przytyku w 1936 roku starli się polscy narodowcy i Żydzi. Zginęło dwóch Żydów i jeden Polak.

W maju wylądowało w Dęblinie dwóch czeskich lotników, którzy uciekli ze swej ojczyzny po zajęciu jej przez armię niemiecką. To była sensacja. W Twierdzy opowiadano, że nasza obrona przeciwlotnicza, która już od marca tkwiła na stanowiskach bojowych o mało nie otworzyła do nich ognia. W kilka dni potem bohaterowie tego śmiałego rajdu odwiedzili Twierdzę i byli na obiedzie w kasynie podoficerskim. Pamiętam, że towarzyszyło im kilku starszych podoficerów z naszego pułku i że odbyło się to tak jakoś skromnie - po cichu jakby ukradkiem.

Żołnierze polscy
zmobilizowani na
teren 15. Pułku
Piechoty „Wilków”
w Dęblinie, w pełnym
rynsztunku. Zdjęcie
z 3 września 1939 roku.
Fot. <http://pbpopolelub.pl>.



Ja byłem w tym czasie wielkim optymistą i entuzjastą, i wierzyłem w to, że „nie oddamy guzika”. Modny był wtedy u nas Centralny Okręg Przemysłowy (COP) i głośno było w kraju o Stalowej Woli. Korzystając z obecności Czechów, chciałem się pochwalić tym naszym COP-em, a jednocześnie dać im do zrozumienia, że z nami tak łatwo Niemcom nie pójdzie. Zabierając głos powiedziałem, że „zbudujemy Stalową Wolę ducha polskiego narodu, że będziemy się bić i nie oddamy Niemcom ani piędy polskiej ziemi”. W miarę upływu czasu i narastania psychozy wojny i ja zacząłem się obawiać o losy naszej Ojczyzny i w związku z tym chciałem coś robić, żeby jej pomóc, żeby ją ratować. Najgorsze dla mnie było to, że nie wiedziałem jak jej pomóc. Martwiłem się tym, że Niemców było 80 milionów, a nas tylko 35 i to razem ze wszystkimi mniejszościami narodowymi. Zastanawiając się nad naszą sytuacją, doszedłem do wniosku, że te mniejszości bić się za Polskę nie będą. Chodziło teraz o to, żeby o tym komuś powiedzieć.

Okazja nadarzyła się w początkach lata.

W niedzielę 6 lipca w kinie „Bajka” odbywała się uroczysta akademia z okazji Międzynarodowego Dnia Spółdzielczości. Organizatorem była Powszechna Spółdzielnia Spożywców „Społem”, a ściślej mówiąc jej prezes, Jan **Łomot**, kierownik szkoły i chyba jeden z najbardziej społecznie czynnych ludzi na terenie ówczesnego Dębina.

Idąc na tę akademię cały czas myślałem o tym - jakby tu zrobić, żeby to tam powiedzieć. Wszystkim! Głośno!

Sala była wypełniona po brzegi. Między licznie przybyłym cywilnym społeczeństwem - siedzieli przedstawiciele wojska reprezentujący miejscowy garnizon. Siedziałem i ja, i nie mogłem się zdecydować. Na kilka minut przed pójściem kurtyny w górę - przełamałem opory. Podniosłem się z krzesła i poszedłem na scenę. Przeprosiłem krzątającego się tam **Łomota** i powiedziałem mu, że mam własny utwór napisany wierszem - oparty na motywach spółdzielczych i że bardzo chciałbym go dziś powiedzieć. Na przesłuchanie już nie było czasu, **Łomot** znał mnie i zaufał mi. Kiedy przyszła na mnie kolej - wyszedłem na scenę i zacząłem mówić:

*Wy! Kieleckiej Ziemi cór -
poprzez lasy, poprzez góry,
poprzez cały życia trud,
idźcie tam gdzie wiejski lud,
w głuchych wioskach i osadach,
na swą dolą ciągle biada,
idźcie chociaż stroma droga,
idźcie gdy wam Polska droga,
idźcie-idźcie w imię Boga.
A gdy z Bogiem rozpoczęte*

*wielkie dzieło spółdzielczości
całą Polskę już ogarnie -
to dobrobyt się rozgości,
zniknie płacz i narzekanie -
potężną się Polska stanie -
znikną kłótnie i kłopoty,
miłość braterskiej wspólnoty
scali wszystkie cnoty ludu -
z nimi! dokonacie cudu.*

Wiersz mój chyba się publiczności podobał, bo długo i głośno biła brawo, a kiedy na sali zrobiło się cicho - ja znowu zacząłem mówić. Powiedziałem, że Ojczyźnie naszej grozi wielkie niebezpieczeństwo, że wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że wojna wisi na włosku i że Polski nie będzie bronić ani Żydowska Partia Socjalistyczna Bund, ani Ukraińskie Narodowo-Demokratycznie Zjednoczenie UNDO, ale że Polski musimy bronić my! Polacy!

Kiedy powiedziałem, że Ojczyźnie grozi niebezpieczeństwo - na widowni zapanowało głucho milczenie. A kiedy padły słowa: Bund i UNDO, i te które mówiły, że w tej decydującej próbie my Polacy powinniśmy liczyć tylko na siebie - widownia nie wytrzymała. Coś nią targnęło - założyło. Fala szeptów, wyciszonych rozmów, wzajemnego pochyłania się ku sobie widzów, ogarnęła całą salę. A ja mając świadomość tego, że wygłaszane przeze mnie słowa są podyktowane troską o losy ojczyzny - ukloniłem się i zeszedłem ze sceny. I wtedy poczułem jakąś lekkość w sobie. Poczułem się tak - jakby mi ktoś zdjął z serca ogromny ciężar. W kilka dni później, major **Wielżyński** powiedział mi, że w pułku i w ogóle w Dęblinie - to moje wystąpienie różnie było komentowane.

Lipiec 1939 roku był gorący, grzało słońce, ale ja mało z tego słońca korzystałem, bo większość dnia spędzałem w grubych murach biblioteki. Frekwencja jeżeli chodzi o czytelnictwo zmalała, bo to była pora wakacji - urlopów, ale w bibliotece i tak było sporo roboty. Robiłem

porządki na pułkach i w katalogach. Sprawdzałem karty książki i karty czytelnika. Nosilem do oprawy nowe książki. Pamiętam jedną z tych ostatnich nowych książek - autorami byli: **Bruzda** i **Rawicz**. I tak pracując, ani się spostrzegłem jak lipiec minął. Od 1 sierpnia wziąłem urlop. Dwa tygodnie spędziłem wśród sosnowych koneckich lasów. Poopalałem się na dzikiej plaży. Wykapałem w czystej jak kryształ z białym piaskiem na dnie rzece Czarnej. Pojadłem sobie jagód i w połowie sierpnia jak gdyby nigdy nic wróciłem do Twierdzy.

Zaraz po powrocie z urlopu, oficer oświatowy zaproponował mi opracowanie skrótu historii pułku. Historię swego pułku znałem dobrze - jej autorem był kapitan Wojciech **Więcek** - ale na wszelki wypadek przewertowałem ją jeszcze raz od deski do deski i po dwóch dniach skrót był gotowy. Dla upewnienia się, czy aby wszystko jest w porządku - czytałem go kilka razy głośno i po cichu i wszystko mi się zgadzało. W pewnym momencie zauważyłem, że całość przeredagowanej i skróconej przeze mnie historii zawarłem w 13 zdaniach. Chciałem to zmienić - ale w żaden sposób mi to nie wychodziło. W dwunastu zdaniach nie mogłem się zmieścić - na czternaście brakowało mi materiału. I tak już pozostało. Skrót został w kancelarii pułkowej przepisany na maszynie, a następnie odbity na powielaczu i rozesłany do wszystkich pododdziałów. Działo się to na przełomie II i III dekady sierpnia.

Pisząc skrót historii i rozważając całą wojenną epopeję pułku doszedłem do wniosku, że jako podoficer zawodowy orkiestrant pełniąc od dwóch lat obowiązki podoficera oświatowego - nie mam żadnych szans by pójść na front, by stać się godnym następcą Brudników, Kołodziejów, Dujanowiczów, Łuczaków, Zastawniaków i wielu, wielu innych piętnastaków, na piersiach których widniały orderzy Virtuti Militarii i Krzyże Walecznych. Wśród takich tarapatów i duchowej rozterki napisałem podanie do dowódcy pułku prosząc go o przeniesienie z referatu oświatowego do szkoły podoficerskiej. Podejmując tę decyzję myślałem, że to się jeszcze odwlecze, i że nim ta wojna wybuchnie - ja zdążę się przedzierzgnąć w liniowca.

Dowódca pułku przychylnie rozpatrzył moja prośbę i rozkazem dziennym dnia 25 sierpnia zostałem przeniesiony do szkolnej kompanii

karabinów maszynowych. Ale wypadki potoczyły się błyskawicznie. Jeszcze nie zdążyłem się zameldować w tej szkolnej kompanii, a już ukazał się następny rozkaz, na podstawie którego zostałem przeniesiony do czwartej kompanii na stanowisko podoficera gospodarczego. Było to 26 sierpnia w godzinach popołudniowych.

Klucze od biblioteki pułkowej oddałem oficerowi oświatowemu. Na poręczy krzesła w tejże bibliotece zostawiłem swój nowy zakopiański kożuszek, który na zamówienie uszył mi kuśnierz w Łaskarzewie i tak jak stałem poszedłem się meldować swojemu nowemu przełożonemu - kapitanowi **Mordwiłce** Michałowi. Temu samemu **Mordwiłce**, który miał odwagę powiedzieć majorowi **Gąsiorowskiemu**, że „takiego protokołu nikomu w życiu nie podpisał i nie podpisze”.

Major **Gąsiorowski** Stefan, bo tak miał na imię - znany był jako wielki słuźbista. I jak tylko go zapamiętałem - zawsze był dowódcą 3. batalionu. Opowiadano w pułku - oczywiście po cichu, że jednemu z podwładnych sobie oficerów, który nie wyprowadził kompanii na ćwiczenia w teren, tłumacząc się tym, że termometr wskazuje ileś tam stopni poniżej zera - kazał ten termometr wsadzić sobie do d..., a wojsko natychmiast wyprowadzić w teren.

W przypadku kapitana **Mordwiłki** - chodziło o protokół jakichś braków w towarze - czy też w gotówce - naszej wojskowej spółdzielni spożywców. W tym celu została powołana specjalna komisja, której przewodniczył major **Gąsiorowski**. Stanowisko kapitana **Mordwiłki** przesądziło o całej sprawie i zebranie skończyło się fiaskiem.

Dziś **Mordwiłko** powiedział mi, że „do moich obowiązków będzie należało między innymi żywienie kompanii w warunkach bojowych”. W sprawie szczegółowych informacji kazał mi się zameldować u szefa kompanii sierżanta **Suleja**.

Szef - po zameldowaniu mu się, zaprowadził mnie do magazynu i natychmiast przystąpiłem do wydawania nowych sortów mundurowych dla całej kompanii. Wydawałem mundury, spodnie, bieliznę, buty, onuce, spinacze, pasy hełmy, ładownice i jakieś tam drobiazgi, które się żołnierzowi należały. Umundurowanie kompanii zajęło mi resztę popołudnia i całą noc z 26 na 27 sierpnia. Wciąż napływali

rezerwiści. Po tej pracowitej i nieprzespanej nocy - byłem śmiertelnie zmęczony, ale o odpoczynku nie mogło być mowy.

Rano szef przydzielił mi dwóch kucharzy, trzech woźniców, pięć koni i wóz przykuchenny. I zaraz pojechałem po prowianty do magazynu żywnościowego, a potem do innego magazynu po kuchnię polową. Kuchnia, którą wyfasowałem - była jak cacko: wymalowana, wywaze-linowana i co ciekawsze - ciągnięta przez trójkę koni i powożona przez dwóch woźniców. Jeden woźnica, ten trzymający lejce, siedział na specjalnym siedzeniu, które stanowiło swojego rodzaju przodek i było organicznie połączone z kuchnią. Drugi woźnica siedział na osiodłanym koniu, który uprzężą był połączony z dwójką koni ciągnących kuchnię i on pełnił rolę niejakiego pilota, tego całego trójkonnego zaprzęgu. W moim konkretnym przypadku rolę starszego pilota grał starszy strzelec - rezerwista. I ja z tym człowiekiem miałem krzyż pański. On chyba pierwszy raz w życiu miał lejce w ręku. On jeden z całej tej przydzielonej mi piątki, zdradzał objawy zdenerwowania.



Kuchnia polowa wzór 36 o zaprzęgu konnym używana w Wojsku Polskim w latach 30-tych XX w. w wojnie obronnej 1939 roku. Fot. <http://www.handmet-military.net>.

Jakżem wrócił z tą kuchnią - to szef kazał mi się zgłosić do podoficera broni i „uzbroić”. Otrzymałem nowiuteńki krótki karabin bojowy i 120 sztuk ostrej amunicji. Takie samo uzbrojenie otrzymali kucharze

i woźnice. I to było już gdzieś około południa. Na tym zakończył się ostatni akt moich przygotowań do tego, co kapitan **Mordwiłko** nazywał „żywieniem kampanii w warunkach bojowych”.

Idąc do magazynu broni, myślałem, że dostanę visa, bo młodszy ode mnie wiekiem i awansem podoficerowie liniowi takie właśnie podostawiali. Ale dla mnie visa nie było. Musiałem się zadowolić karabinem. Kiedy w nocy z 9 na 10 września prowadziłem w Ołtarzewie skrzykniętych przez siebie chłopaków do ataku na gniazda niemieckich karabinów maszynowych - trzymając w garści karabin z nałożonym bagnetem - czułem się pewnie i wcale im tych visów nie zazdrościłem.

Około godziny drugiej poobiedzie - kompanie w pełnym oporządzeniu zaczęły ustawiać się na zbiorce przed koszarami. Coś tam jeszcze liczono, sprawdzano, poprawiano i zaraz potem cały pułk przez Bramę Lubelską, koło kina i Pomnika Piętnastaków, a następnie koło kasyna oficerskiego - pomaszerował do parku, położonego tuż za wschodnimi wałami Twierdzy, opasanego łukiem drogi Dęblin-Puławy, Dęblin Zajezerze. Park ten, zwany również laskiem, zajmował znaczny obszar. Przeważała w nim sosna, ale było również sporo drzew liściastych, zwłaszcza akacji. Tu był stadion pułkowy. Tu odbywały się wszelkie imprezy, zawody, festyny, koncerty i zabawy. Dziś posłużyć miał za miejsce chwilowego postoju „wilków” - ostatecznego uporządkowania i zebrania sił przed wymarszem na front. A nadawał się do tego jak sam raz - bo drzewa i krzewy dawały osłonę przed ewentualnym atakiem z powietrza. Postój trwał około trzech godzin i dowództwo czas ten wykorzystało na uzupełnienie braków w taborze.

Na stadionie było pełno cywilów, wozów i koni. Pracowali sołtysi z okolicznych wsi i urzędnicy z okolicznych gmin. Pracowali lekarze weterynarii. Specjalna komisja, której przewodniczył porucznik **Kraśniewski**, decydowała o tym, komu jakie konie i jaki wóz przydzielić. Ja chyba z godzinę, coś tam pomagałem tej komisji. Pamiętam z tej pomocy taki nieco zabawny moment:

Porucznik **Kraśniewski** zwrócił się do jednego z lekarzy weterynarii przez per „weterynarz”. A na to weterynarz:

- Przepraszam panie poruczniku, lekarz weterynarii.

Od tej chwili porucznik **Kraśniewski** zwracał się do lekarzy weterynarii przez per „panie doktorze”.

Późnym popołudniem dowiedziałem się od szefa kompanii, że wszyscy oficerowie i podoficerowie idący na front w pierwszym rzucie już pobrali pensje. Więc za jego zgodą urwałem się na pół godziny i wpadłem do Twierdzy. W hełmie, z karabinem, z ładownicami wypchany mi amunicją - przeszedłem bramę. Wartownik stojący na posterunku nie legitymował mnie. Idąc w kierunku kościoła garnizonowego i dowództwa pułku - nikogo po drodze nie spotkałem. Z okien koszar rozbrzmiewających zawsze żołnierskim gwarem, nikt nie wyglądał i nikogo nie było słychać. I nagle ta Twierdza, w której zostało bez mała trzynaście lat mojego życia, w której znałem każdą klatkę schodową, każdy kamień i każdą cegłę - wydała mi się jakaś obca.

Kiedy zjawiłem się w kwatermistrzostwie - zastałem stojącego przy okienku płatnika pułku - porucznika **Jędrzejewskiego**. Jakby czekał na mnie. Z kwatermistrzostwa poleciałem prosto do swego mieszkania, które znajdowało się w zachodnim odcinku pierścienia - tam gdzie były koszary dywizyjnego kursu szkoły podchorążych rezerwy. Zabrałem z szafy swoją legitymację służbową numer 1515 i książeczkę PKO. Cała reszta została w szafie.

Zostały dwa nowe uniformy i jeden kangurowy, a drugi z sukna czesankowego. Zostały nowe sztyblety i trochę bielizny osobistej. Zostały moje świadectwa szkolne i została rzecz najcenniejsza: niewielka, ale własna biblioteczka, a w niej zbiorowe wydanie dzieł trzech wieszczów - **Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego**, które kupiłem sobie w miesiącu taniej książki. Została nowiuteńka - pachnąca farbą dwutomowa encyklopedia **Trzaski, Everta i Michalskiego**. Zostały wszystkie moje podręczniki szkolne, a między nimi takie perły literatury jak *Antygona Sofoklesa*, *Skapiec Moliera*, *Barbara Radziwiłłówna Felińskiego* i kilka innych wartościowych książek.

Wracając do parku, po drodze wstąpiłem na pocztę, która mieściła się w budynku obok kasyna oficerskiego i jak zawsze po pierwszym wpłaciłem 50 zł na książeczkę PKO. Urzędnik przyjmujący tę wpłatę, robił wrażenie zaskoczonego, ale pieniądze przyjął. Dokonał

wpisu, postawił stempel i stan moich oszczędności na dzień 27 sierpnia 1939 roku wynosił 1050 zł. Z poczty prawie biegiem poleciałem do swojej kompanii. Trochę się bałem, żeby mnie nie odeszli, ale zdążyłem. Zaraz po moim powrocie nastąpił odmarsz.

W WOJNIE OBRONNEJ 1939

Szliśmy najpierw przez takie ugory, a dalej drogą ciągnącą się wzdłuż torów kolejowych i zaszliśmy pod dworzec osobowy. Tu - na bocznych torach - między stacją osobową i wsią Michalinów, był podstawiony długi pociąg towarowy, na który żeśmy się załadowali.

Nie było defilady. Nie było mszy polowej. Nikt nie przemawiał. Nikt nas nie żegnał z kwiatami, i nikt nie błogosławił na drogę.



Typowy eszelon wojskowy okresu międzywojennego. Na zdjęciu żołnierze z 4. Kompanii 2. Batalionu Saperów Kaniowskich wracają do koszar - do Puław po ukończeniu prac nad budową mostu na rzece Łań. Wydawanie obiadu podczas postoju. Rok 1930. Fot. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie.

Choć transport nasz był gotowy do odjazdu jeszcze za widna, to maszynista nie ruszał i staliśmy tak na tym bocznym torze do ciemnej nocy. Wojsko się tym postojem trochę niecierpliwiło. W niektórych wagonach próbowano śpiewać, ale im się ten śpiew nie kleił. Inni

powysiadali i stojąc w grupach przy swoich wagonach - rozmawiali. Ktoś tam wykrzykując - odgrażał się **Hitlerowi**. Czas płynął powoli. Mrok gęstniał i robiło się coraz to ciemniej. I wtedy maszynista dał krótki sygnał. Rozległy się komendy:

„Wsiadać”. Lokomotywa pomału zaczęła pracować i pociąg powoli ruszył. Ja przez cały czas, jak tylko wyruszyliśmy z parku, wyobrażałem sobie, że będziemy jechać prosto na zachód. Przez Zajezerze, Garbatkę, Radom, Skarżysko, a potem na Kielce lub przez Końskie na Tomaszów i Łódź.

A tymczasem pociąg nasz wziął kierunek na wschód i wpakował się na ten mało uczęszczany tor Dęblin-Łuków. Początkowo myślałem, że to pomyłka, albo zwykły kolejarski manewr. Że zaraz się cofniemy i pojedziemy na zachód. Ale nic takiego się nie stało. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, pociąg nasz wciąż podążał na wschód. Zastanawiając się nad tym - pytałem sam siebie:

Jak to jest?

Mamy się bić z Niemcami a jedziemy na wschód? Minęliśmy Stawy, Krzywdę, Okrze i jakieś inne małe stacyjki cichego, lesistego Podlasia, aż gdzieś za Łukowem zasnąłem.

Gdy obudziłem się, było kawał na dzień. Słońce świeciło. Pociąg pędził jak szalony. Nieznana okolica. Nieznane nazwy stacji kolejowych. Nie mając mapy ani kompasu - byłem zupełnie zdezorientowany. Jechaliśmy cały dzień i całą noc. Aż o świcie 29 sierpnia zatrzymaliśmy się na jakiejś stacji. Ja patrzę, a to jest Zduńska Wola. O rany i pomyślałem sobie... To my jesteśmy za Łodzią. Wtedy jeszcze raz przejechałem w wyobraźni tę trasę z Dębłina do Zduńskiej Woli przez Dęblin - Radom-Skarżysko-Tomaszów-Łódź, i z grubsza obliczyłem, że to nie będzie więcej jak 250 km. I znowu nie mogłem zrozumieć, dlaczego musieliśmy aż pół Polski objechać, żeby przyjechać do Zduńskiej Woli rano 29 sierpnia, kiedy jadąc prostą drogą mogliśmy tu być rano 28 sierpnia. Pomyślałem sobie jednak, że to musi być jakaś wyższa strategia, na której ja się nic a nic nie rozumiem.

Nie zdążyłem się jeszcze otrząsnąć z tych natrętnych i prześladowających mnie od samego wyjazdu z Dębłina myśli, a już rozpoczął się

rozładunek. Sprowadzanie po specjalnych pomostach koni. Staczanie wozów, biedek-kuchni. Trwało to wszystko z półtorej godziny. A kiedy już wszystko było rozładowane - kiedy wszystko było do marszu gotowe - ruszyliśmy w kierunku miasta. Ulice były zupełnie puste. Miarowy krok maszerujących kilku tysięcy żołnierzy, turkot okutych żelaznymi obręczami wozów i końskich podków - były pobudką dla śpiących jeszcze mieszkańców Zduńskiej Woli. Wstawali w pośpiechu, uchylali firanki, otwierali okna i w narzuconych na siebie byle jak ubraniach gromadzili się na chodnikach zdziwieni - skąd o tak wczesnej porze wzięło się naraz tyle wojska. Żydki na prędce otwierały swoje sklepy - chyba z myślą o tym, że może coś utargują, i oni nam się trochę przyglądali. Zaraz za miastem weszliśmy na polną drogę. Orientując się po słońcu, nasz marsz odbywał się w kierunku południowo-zachodnim. Przez kilka godzin szliśmy polami - potem kawałek przez las, dalej znowu przez pole. I w godzinach południowych doszliśmy do wsi Rębieszów, w której zajęliśmy kwatery. Wojsko rozlokowało się po stodołach. Kuchnie i wozy w sadach, pod osłonę drzew. Na wsi panował spokój. I wszystko wyglądało tak - jak na manewrach. Z tą tylko różnicą, że tam w Sztabinie na Suwalszczyźnie w roku 1929 i później w Kadzi na Kurpiach - tam naszym pułkiem dowodził pułkownik dyplomowany **Sadowski Jan** - zwany przez wojsko „Małym Jasiem”, a tu w Rębieszowie - „Małego Jasia” z nami nie było.

Sięgając myślą do tamtych lat - przypominałem sobie jak po śniadaniu - kiedy kompanie poszły na ćwiczenia, chodził po koszarach chcąc osobiście się przekonać w jakim porządku wojsko zostawiło swoje żołnierskie izby. Jak w południe objeżdżał swoją Siwką wszystkie kuchnie batalionowe i w każdej kuchni musiał spróbować żołnierskiego obiadu. Jak jadł z kuchni polowej ten sam co wojsko, przypalony pęczak. A kiedy wojsko było zmęczone długim marszem - oddawał luzakowi swoją Siwkę i maszerował razem z nim.

Jak żywa stanęła mi przed oczami scena z ostatniego święta pułkowego, kiedy to na placu 3. Batalionu siedział razem z żołnierzami przy jednym stole. Jak żegnał się ze swoim pułkiem. Jak go wojsko niosło na ramionach i krzyczało „niech żyje”! A zastępca dowódcy pułku

a porucznik **Pierożek** krzyczał „niech gnije”, aż go zastępca pułku podpułkownik **Chojnowski** musiał przywołać do porządku: „Poruczniku?! Ja pana zamknę”!

Nasz postój w Rębieszowie tylko pozornie przypominał tamte manewry. Tam wojsko maszerowało, ćwiczyło, strzelało, śpiewało - a tu siedziało po stodołach i dla zabicia czasu grało w karty. I tak było przez dwa dni.

Przed wieczorem 31 sierpnia pojechałem wozem po prowiant do magazynu żywnościowego znajdującego się w sąsiedniej wsi. Wracając z tego magazynu, zauważyłem daleko na drodze tuman kurzu - a w nim długą kolumnę wojska maszerującego w moim kierunku. Coś mnie tknęło. Pomyślałem sobie: Czyżby to był mój pułk? Ale zaraz się uspokoiłem, bo przecież, przed godziną wyjechałem z Rębieszowa i nic się tam nie działo. Droga była piaszczysta, więc jechałem powoli - ale i maszerujące naprzeciw mnie wojsko, też szło bardzo wolno. Pomimo tego, z każdym krokiem, z każdym obrotem kół - zbliżaliśmy się do siebie. I wtedy powróciły tamte złe przeczucia. Myślałem: Czy to jest możliwe, żeby oni poszli na front bić się z wrogiem - a mnie tu zostawili? Ale jeszcze nie byłem tego pewny.

Kiedy po kilkudziesięciu metrach mój wóz zrównał się z czołem maszerującej naprzeciw mnie kolumny, kiedy zobaczyłem znajome twarze oficerów i podoficerów - rozwiały się wszelkie wątpliwości. To był mój pułk.

W hełmach, obciążone bronią i amunicją, w ponurym milczeniu maszerowały kompania za kompanią - batalion za batalionem. Nie wytrzymałem. Podniosłem się z siedzenia, stanąłem na wozie i wlepiwszy w nich swoje oczy pytałem się ich bez słów:

- Dokąd wy idziecie?! Dlaczego mnie zostawiacie?!

Myślałem, że któryś z oficerów zainteresuje się tym, dlaczego ja jadę w przeciwnym kierunku, że podejdzie do mego wozu i każe mi dołączyć. Ale oni zachowali się tak, jakby mnie wcale nie widzieli. Stojąc na wozie świdrowałem wzrokiem nie tylko każdą przesuającą się obok mnie kompanię, ale każdą czwórkę. Szukałem swojej kompani swojego szefa - swojego dowódcy. I nigdzie ich nie widziałem.

W pewnym momencie, kiedy zbliżał się koniec kolumny - już chciałam zeskoczyć z wozu i podlecieć do któregoś z oficerów i zapytać się

go, co ja mam robić? W ostatniej chwili zrezygnowałem z tego zamiaru. Kazałem woźnicy dać koniom po bacie i popędziliśmy do Rębieszowa jakby nas stado wilków goniło.

Okazało się, że na naszych kwaterach nic się nie zmieniało. Szef powiedział mi, że nasza kompania i pluton pionierów pozostały do wykończenia umocnień ziemnych nad Widawką. Że jutro pobudka ma być o godzinie czwartej rano. I żeby na czwartą było śniadanie.

Pobudka zgodnie z zapowiedzią szefa była o czwartej. O w pół do piątej - śniadanie. A o godzinie piątej, cała kompania i pluton pionierów w pełnym uzbrojeniu stały już na zbiórce. Dowódca plutonu pionierów rozdzielał potrzebny do tych robót sprzęt: piły, siekiery, łopaty.

Dzień dopiero się zaczynał. Była mgła. Nagle usłyszeliśmy warkot zbliżających się ku nam samolotów. Leciały od wschodu - na niskim pułapie.

Pomyślałem sobie i tak na pewno pomyśleli wszyscy, że to lecą nasze „Łosie” albo „Karasia”. I w tej samej chwili - trochę z boku - wyłoniły się z mgły dwa olbrzymie cielska bombowców. Na kadłubie jednego z nich zobaczyłem czarny krzyż, a pod spodem płatu - niczym zygzak na grzbiecie żmii - złowieszczo mignęła swastyka.

W powietrzu zaterkotał karabin maszynowy. Seria pocisków zaświstała nad naszymi głowami. Na prawym skrzydle kompani powstało jakieś zamieszanie. Jeden z żołnierzy został ranny w rękę, a drugiego pocisk musnął po twarzy.

Wtedy dowódca kompanii polecił szefowi zorganizować natychmiast obronę przeciwlotniczą. Ustawiono na specjalnej podstawie - jeden ze specjalnymi przyrządami celowniczymi - ręczny karabin maszynowy. Obsługa zajęła swoje miejsca. A kapitan **Mordwiłko**, spoglądając nie bez satysfakcji na ten erkaem - powiedział:

- O! gdyby tak teraz przylecieli - to kto wie? na dwoje babcia wróżyła.

Zaraz potem zwinęto ten erkaem i kompania pomaszzerowała do roboty nad Widawkę, a ja ze swymi ludźmi zostałem w Rębieszowie. Miałem dopilnować, aby obiad był przygotowany na czas i czekać na dalsze rozkazy.

Po odejściu kompani, kucharze zaraz wzięli się do roboty. Pomagali im w tej pracy solidarnie woźnice. Wszyscy oni rozumieli powagę chwili i bardzo się starali. Pamiętam, że ten pierwszy obiad ugotowany „w warunkach bojowych” - to była jakaś zupa z mięsem. I że była ugotowana na czas - na południe. Ale minęło południe, minęła godzina pierwsza, a potem druga i trzecia - przyszedł wieczór, a kompanii nie było i... dalszych rozkazów też nie było. Wieś robiła wrażenie wymarłej. Na drodze i w obejściach było zupełnie pusto. Nikt nie wychodził z domów. Nikt się nie pokazywał.

Około godziny dziewiątej - dziesiątej wieczorem, niemiecka artyleria rozpoczęła ostrzeliwanie Rębieszowa. Pociski leciały zza rzeki, zza pobliskiego lasu i padały daleko na pola - za wieś. Oceniając odległość jaka dzieliła mnie od ich stanowisk - doszedłem do wniosku, że to nie będzie dalej jak półtora kilometra, a może nawet mniej. W takiej sytuacji, kazałem zaprząć konie do kuchni i do wozu i wyjechałem na środek wsi. Zostawiłem to wszystko, pod nadzorem starszego strzelca kucharza, a sam uzbrojony w karabin poszedłem nad Widawkę szukać kompanii. Nigdy tam za dnia nie byłem - ale z grubsza orientowałem się mniej więcej, gdzie to jest.

Szedłem przez takie olchy, krzaki, zarośla a trawa tam była po pas i wreszcie znalazłem te umocnienia. Zacząłem gwizdać, wołać, krzyzczeć, ale nikt nie odpowiadał. Nie było tam żywego ducha. Poszedłem najpierw w lewo - w kierunku południowym. Przyglądałem się tym okopom. Obmacywałem je ze wszystkich stron. Zrobiły na mnie dobre wrażenie. Solidne rowy strzeleckie. Wyłożone darnią - obite palami. Stanowiska dowódców plutonów, kompanii, batalionów - wymoszczone grubymi bierwionami z drzewa, a im wyższy był stopień dowodzenia - tym ziemianka była solidniejsza, obszerniejsza i tym grubsze były bale. Tak błądząc i utykając po tych okopach, przeszedłem może ze cztery kilometry i nikogo nie znalazłem. A cisza była taka, że aż w uszach dzwoniło. Tylko jakieś dzikie ptaki spłoszone przeze mnie - na krótko ją przerwały.

Zmęczony i zziębnięty - postanowiłem wracać. Drogowskazem dla mnie był ten ogień - rzadko teraz strzelającej niemieckiej artylerii. Idąc

za nim natrafiłem na jakąś łąkę, nad którą była przerzucona kładka. Po przejściu tej kładki, zaraz na jej drugim końcu, spotkałem naszego żołnierza, który kierował się do przejścia na drugą stronę. Zacząłem go się pytać: z której on jest kompanii? czy nie wie - gdzie jest nasze wojsko? Ale on nie odezwał się do mnie ani słowa. Wszedł na te kładkę i jak lunatyk poszedł na drugą stronę.

Po tym spotkaniu - jakoś głupio się poczułem sam w tych krzakach. Mając odbezpieczony karabin i będąc gotowy w każdej chwili do strzału, brnąłem przez te zarośla tak na wycucie - no i dobrnąłem z powrotem do wsi. Konie nieswojo, pod wpływem świszczących pocisków przelatujących nad nimi, kręciły się w zaprzęgach. Ludzie też byli jakby jacyś inni. Nie oglądając się już na nikogo - wsiałem na wóz i ruszyliśmy. Noc była widna. Wielka Niedźwiedzica ułatwiała orientowanie się w stronach świata. Może ujechaliśmy ze sto metrów - jeszcze na wsi pilotujący kuchnię starszy strzelec tak pokierował zaprzęgiem, że na zakręcie zawadził o jakieś drzewo i dyszel pękł. Początkowo zanie mówiłem, ale po chwili zeskoczyłem z wozu, odbezpieczyłem karabin, podszedłem do niego i powiadam:

- Ty s synu! Zastrzelę cię!

Sytuacja była dramatyczna. Niemcy mogli w każdej chwili wejść do wsi. Trzeba było szybko działać. Wziąłem obydwu kucharzy. Znaleźliśmy jakiś kawałek drutu. I tak w trójkę umocowaliśmy ten dyszel. A kiedy ponownie ruszyliśmy z Rębieszowa - dniało. I to było już drugiego września.

Jakiś czas jechaliśmy pełną drogą, a później szosą. Cały czas starałem się trzymać ogólny kierunek - na wschód. Siedząc obok woźnicy rozglądałem się po terenie, bo myślałem, że może gdzieś zobaczę jakieś wojsko. Ale pola były puste i nic się na nich nie działo. I wtedy zauważyłem jadący w naszym kierunku samochód ciężarowy. Raz dwa zrównał się z nami. I już nas prawie minął. I nagle zatrzymał się. Wy-skoczył z szoferki kierowca i jakiś plutonowy. Otworzyli tylną burtę i wtedy zobaczyłem, że cały samochód jest załadowany świeżymi, białymi połówkami wieprzowiny. Szybko przerzucili na nasz wóz cztery połówki. Wsiedli do szoferki i bez słowa odjechali.

Przed wieczorem, kiedy ujechaliśmy kawał drogi od Rębieszowa, zobaczyłem wysoko w powietrzu dwa niemieckie bombowce. Kierunek lotu, praca silników i szybkość jaką rozwijały wskazywały na to, że bomb, którymi było obciążone już się pozbyły, że zrzuciły je gdzieś na cele w głębi naszego kraju. I wtedy zjawił się nasz myśliwiec. Rozpoczęła się walka, która przypominała kołującą się karuzelę. Trwało to wszystko około dziesięciu minut.

Obserwując z ziemi to pasjonujące widowisko, z łatwością można było zauważyć, że niemieckie bombowce górują szybkością nad naszym myśliwcem. Nasz samolot został trafiony i dymiąc w powietrzu przymusowo lądował na polach niedaleko wsi. Odległość z szosy do miejsca lądowania wynosiła około jednego kilometra - ale widzieliśmy jak cała ludność tej wsi leciała na ratunek naszemu lotnikowi.

O zmroku dojechaliśmy do jakiegoś majątku. Ładny duży ogród i piękny park. Piękne zabudowanie gospodarcze i piękny pałac. Wszystko zadbane i utrzymane w kulturze. Ale wszędzie panowała pustka. Wszyscy uciekli. Czuć było jeszcze ich niedawną tu obecność. Tylko stado indyków - chyba ze sześćdziesiąt sztuk - chodziło po parku. A kiedy nas zobaczyły - podeszły do nas. Cwiokały, piąkały, gulgały - jakby chcąc się nam poskarżyć, że jest już tak późno, a nikt do tej pory nie otworzył im pomieszczenia, w którym zwykłe spędzały noce. Razem z tymi indykami przekoczowaliśmy noc, a kiedy zrobił się dzień - to myśmy pojechali, a one tam gdzieś zostały. Ale nie wszystkie. Bo w nocy słyszałem krzyk. Rozpierzchły się po ogrodzie. Ktoś je napadł. I dopiero później się wydało, że to jeden z moich kucharzy ukręcił łeb dwóm indykom.

Jeszcze prawie cały dzień trzeciego września upłynął mi na szukaniu. Wiedziony instynktem ciągnąłem na wschód - bo wiedziałem, że tam za Widawką, za tymi pustymi okopami, z których nie padł ani jeden strzał do Niemców - już ich nie ma. I dopiero przed samym wieczorem, w lesie gdzieś w okolicach Łaska - odnalazłem swój pułk i swoją kompanię, szef jak mnie zobaczył, zrobił wielkie oczy - myślał, że ja już jestem w niewoli.

Zaraz na początku, jak tylko wjechałem do tego lasu - zauważyłem, że to wojsko jest jakieś takie pomieszane. Tak jakby wyszło z jakiegoś pogromu i tu się dopiero zbierało do kupy. I atmosfera była jakaś

ciężka. No i dopiero pomału, pomału zaczęły do mnie docierać wiadomości na temat tego, co się stało.

Dowiedziałem się, że w nocy 31 sierpnia, gdzieś tam pod Widawą pułk został z zasadzki zaatakowany silnym ogniem broni maszynowej przez dywersję niemiecką i że dowódca pułku pułkownik **Fra-czek** został ranny. Że w czasie odwrotu i przeprawieniu się przez Widawkę, ta część pułku, która się przeprawiła na lewy brzeg, otworzyła ogień do pozostałych na prawym brzegu przeprawiającej się reszty - biorąc ich za Niemców. Później dowiedziałem się, że dywersanci niemieccy w mundurach polskich oficerów poprosili do samochodu porucznika **Marszałka**, mówiąc mu, że pojedzie z nimi do sztabu dywizji. I jak pojechał, tak przepadł, że dowódcy kompanii - porucznicy: **Ochab** i **Grzebieniowski** - też się gdzieś zapodzieli.

Po południu 4 września ja znowu pojechałem wozem po prowiant. Droga prowadziła przez jakieś dworskie pole o żyznej lessowej glebie i była pokryta głębokimi wybojami. Tą drogą w przeciwnym do mego kierunku jechał motocykl z przyczepą. Wolno - kolebiąc się - to wypływał na powierzchnię - to znowu zapadał się w dole. Kiedy zrównał się z moim wozem - zobaczyłem siedzącego w przyczepie swojego dowódcę - w tym czasie już dowódcę batalionu - kapitana **Mordwiłkę**. Hełm miał naciągnięty do przodu - tak, że go ledwo rozpoznałem. Mijając się - oddałem mu honory. Ale on spod tego hełmu patrzył gdzieś przed siebie i wyglądało na to, że mnie wcale nie widzi. Nie wiem, czy mu było nieprzyjemnie z powodu tego Rębieszowa, że mnie tak wystrychnęli na dudka? Czy też miał jeszcze inne ku temu powody?

Wracając z prowiantem spotkałem jeszcze jednego znajomego z naszego pułku. Był nim podporucznik Wincenty **Ciaś**. Szedł na przełaj przez pola. Zobaczyłem go z daleka. Zatrzymałem się i poczekałem, aż dojdzie do drogi. Kiedy był już blisko, zeskoczyłem z wozu i poprosiłem go o rozmowę. Był zmęczony, zakurzony, więc przystanął i porozmawialiśmy. Na moje pytanie - co on o tym wszystkim myśli? I co będzie jak tak pójdzie dalej? Usłyszałem najpierw:

- „Haken kreutz”, a po chwili - że on „Chyba pójdzie do niewoli, bo w niewoli lata się liczą do emerytury”.

Spieszył się. Powiedział mi, że jest głodny. Dałem mu z żelaznej porcji jedną konserwę. Schował ją do swojej oficerskiej torby. I tak jak szedł, tak poszedł dalej - na przełaj - przez pola. A ja jadąc z tym prowiantem myślałem, że widocznie z Polską jest zupełnie źle, skoro w czwartym dniu wojny nasi oficerowie wybierają się do niewoli.

W południe 5 września otrzymałem rozkaz zawiezienia obiadu na linię frontu. Szef pokazał mi na mapie sztabowej teren, w którym według niego powinien znajdować się nasz pułk. Wziąłem kuchnię i wóz przykuchenny i pojechałem. Ale w terenie tym nie było ani naszego, ani żadnego innego pułku. Pola i łąki, które zjeździłem tego popołudnia - były zupełnie puste. Nie spotkałem nigdzie człowieka. Przed wieczorem dojechałem do jakiejś wsi położonej blisko lasu. Ludzi i zaprzęgi zostawiłem w lesie, a sam udałem się do pierwszej z brzegu chałupy, żeby zasięgnąć języka. Idąc, zauważyłem w krzakach przy drodze zamaskowane stanowiska naszej artylerii. Odnalazłem dowódcę i zameldowałem mu o swoich kłopotach. Rozmowie naszej przysłuchiwał się jakiś młody mężczyzna.

Kiedy ja zabierałem się do odejścia - wyszedł ze mną do kuchni dowódca artylerii i przyciszonym głosem powiedział mi, żebym zabrał tego cywila, który pozostał w pokoju, bo to jest komunista. Żebym go wyprowadził do lasu i rozstrzelał. Spadło to na mnie jak piorun z jasnego nieba. Nie zastanawiając się długo, otworzyłem drzwi - skinąłem na niego i powiedziałem mu, że pójdzie ze mną. Do lasu było ze 200 metrów. Szedł parę kroków przede mną - i co raz to się oglądał, bo nie był pewny - czy mu nie wpakuję kuli w plecy. A ja idąc za nim myślałem, co mam zrobić z tym fantem? Kiedy przyprowadziłem go do lasu, kazałem mu się zatrzymać. Powiedział mi, że jest więźniem politycznym, że siedział w więzieniu w Rawiczu, a teraz ucieka przed Niemcami i chce się dostać do Warszawy. Roztrzęsionego, nerwowo wykończonego i zdezorientowanego zostawiłem na leśnej drodze, a sam siadłem na wóz i pojechałem szukać pułku.

Wieczorem dojechałem do Łaska. Miasto było zaciemnione. Na podwórkach poogrodach, nachodnikach pod ścianami domów - wszędzie

pełno było wozów taborowych. Więc i ja swoją kuchnię postawiłem na podwórku, a wóz w bramie dużej kamienicy i tak przeczekaliśmy do rana. Coś tu szeptano o niemieckiej dywersji, o jakichś sygnałach - znakach dawanych latarkami - ale noc minęła spokojnie.

Rano 6 września te wszystkie wozy niby stadnym instynktem wiedzione, uformowały się w długą kolumnę. I zaraz ruszył pierwszy wóz, a za nim drugi i trzeci i w ten sposób cała kolumna znalazła się w ruchu.

Jechaliśmy z przerwami na popas przez cały dzień i całą noc i o świcie 7 września znaleźliśmy się znowu w jakimś niewielkim lesie. Pełno było tu wojska i pełno było taborów. Tu spotkałem kapelmistrza z naszego pułku - podporucznika **Michałowskiego** i kolegę z orkiestry kaprała Roberta **Feigla**.

Wymizerowani, nieogoleni, niewyspani - oczy zapadnięte. Tak ten tydzień wojny odbił się fatalnie na ich wyglądzie i to nie tylko zewnętrznym, że byli to jakby nie ci sami ludzie.

Robert jako Niemiec z pochodzenia - cierpiał chyba podwójnie. Tylko na chwilę spotkały się nasze spojrzenia. Bez słów żeśmy się zrozumieli. Wszystko można było wyrazić jednym spojrzeniem - jednym mgnieniem.

Nie zdążyłem się jeszcze dobrze rozejrzeć po tym kłębowisku i nagle zauważyłem, że wozy jeden przez drugiego, w pośpiechu między drzewami, na łeb na szyję jadą - kierując się do drogi. Ani się nikogo nie pytając, kazałem woźnicom dać koniom po bacie i nie chcąc być gorszym od innych, włączyłem się do tego rwącego potoku wozów i koni. Niedługo las się skończył i prosto z lasu wjechaliśmy do miasta. Napis na tablicy głosił, że są to Pabianice.

Początkowo jechaliśmy kłusem, a gdzieś od połowy miasta i dalej za Pabianicami galopem - co koń wyskoczy. I zwolniliśmy dopiero przed Łodzią. Rowami po obu stronach drogi i drogą obok furmanek, wycofywali się nasi żołnierze. Pojedynczo - grupkami po kilku czy kilkunastu - wszystko to płynęło jak rzeka - na Łódź. Odbывało się to jakby odruchowo. Nikt nic nie mówił. Nikt się do nikogo nie odzywał. Nikt się nikogo o nic nie pytał.

W czasie tego szalonego odwrotu - zaraz za Pabianicami - zawładnęły mną jakieś dziwne nieznane mi uczucia. Miałem coś takiego, jakby przewidzenie. Wydawało mi się, że ten nieprzyjaciel jest gdzieś tu blisko. Czułem nieomal jego dotyk. Chciałem wtedy zeskoczyć z wozu. Chciałem krzyczeć na wycofujących się żołnierzy. Chciałem ich zatrzymać i poprowadzić do ataku. Ale jakaś siła tajemna trzymała mnie na wozie.

Drugi podobny stan duchowy przeżyłem na przedmieściach Łodzi. Unoszony falą wycofującego się wojska - targany wewnętrznie - chciałem wyskoczyć z wozu - wpaść do jakiegoś sklepu - kupić dużo białych i czerwonych wstążek - porobić kokardy - przypinać je do piersi wycofującym się żołnierzom - poderwać ich do walki i poprowadzić na wroga. Ale i tym razem nie mogłem się przezwyciężyć.

Zbliżało się popołudnie. Było gorąco. Ulicą Piotrkowską przelewały się w obu kierunkach tłumy ludzi. Jeździły i dzwoniły tramwaje. A atmosfera była tu taka - że mnie się wydawało - że nad Łodzią wisi coś potwornie ciężkiego, co lada moment oberwie się i zgniecie nas wszystkich. I wtedy nie wiem po co i dlaczego zeskoczyłem z wozu i stanąłem sobie obok kiosku z gazetami. Ludzie przychodzili - kupowali gazety i odchodzili, a ja stałem. Podeszła do mnie jakaś starsza kobieta w wieku około 50-ciu lat i zaczęła się mnie pytać:

- Dlaczego się wycofujecie? Czy nie macie co jeść? Czy nie macie czym strzelać?

A ja chciałem jej coś powiedzieć - ale nie mogłem z siebie wydobyć ani słowa. Łzy, które płynęły mi z oczu, były jedyną odpowiedzią. Zrozumiała mnie. Tuląc i całując mnie jak matka - sama się rozpłakała i odeszła. A ja zaraz wskoczyłem do nadjeżdżającego tramwaju, gdzieś na drugim końcu Łodzi dopędziłem swoją kolumnę. Wieczorem dojechaliliśmy do Brzezin.

I tu, jak wszędzie, obowiązywało zarządzenie o zaciemnianiu - więc było ciemno. Ludzie rozeszli się po domach szukając owsa, siana i wody dla koni i dla siebie coś do zjedzenia. Wracając do wozów przynieśli wiadomość, że w Brzezinach działa niemiecka dywersja.

Nad ranem 8 września ruszyliśmy w dalszą drogę. Jechaliśmy z krótkimi postojami przez cały dzień. W czasie jednego takiego postoju zeskoczyłem z wozu i urządziłem sobie spacer. Szedłem ku tyłowi kolumny i przyglądałem się ludziom siedzącym na wozach. Przy jednym wozie stał żandarm z karabinem a na wozie z rękami skutymi do tyłu - wykręceni do siebie plecami - siedzieli dwaj młodzi mężczyźni w mundurach koloru brunatnozielonego. Stanałem przy wozie i przez chwilę przyglądałem im się. Pilnujący ich żandarm powiedział mi, że są to niemieccy spadochroniarze. Byli nieogoleni. Jeden z nich miał ryży zarost. I on właśnie zaczął wołać, że chce mu się pić:

- Waser! Waser! Trynken!

Wtedy żandarm odpiął manierkę od pasa, podszedł do wozu i napił go. A ja obserwując tę scenę, myślałem: Czy żandarm niemiecki napoiłby polskiego spadochroniarza - gdyby tak zmieniły się role?

Wieczorem wjechaliśmy w jakiś duży las. Ogarnęła nas cisza i miło znany nam wszystkim zapach sosnowej żywicy. Koniki utrudzone daleką drogą szły wolno. Na wyboistej leśnej drodze przechylały się na boki i skrzypiały wozy. Stukały i podskakiwały po korzeniach koła. A my jadąc - drzemaliśmy.

Noc była chłodna - więc nad ranem zeskoczyłem z wozu i dla rozgrzewki szedłem. Orientując się po przebytej drodze i kierunku naszego marszu - wiedziałem, że jesteśmy już gdzieś blisko Warszawy. A ten duży las, kojarzył mi się z Puszcą Kampinoską. Jeżeli tak - myślałem, to jeszcze krok i będziemy w stolicy. I wtedy zupełnie niespodziewanie spotkałem starszego kolegę z mojego pułku - sierżanta Józefa **Bala**. Jakiś czas milcząc szliśmy obok siebie ze spuszczonymi głowami. Wreszcie **Bal** zaczął coś mówić o Polsce, ale zaraz głos mu się załamał i rozpłakał się. Ja nie próbowałem rozmowy. I tak szliśmy razem jeszcze z kilometr, a może i więcej. **Bal** po prawej, a ja po lewej jego stronie. I w pewnym momencie zauważyłem, że to już jest dzień, że zrobiło się widno, że las stał się jakiś rzadszy, i że coś tam przed nami jakby prześwituje. Nagle ta cała nasza długa kolumna zatrzymała się. Wozy od czoła zaczęły zjeżdżać w las na prawą i lewą stronę drogi. **Bal** przyśpieszył kroku i ruszył ku przodowi, a ja pozostałem przy swoim wozie.

To nagłe zatrzymanie się i zjechanie z drogi w las przyjęliśmy jako zapowiedź dłuższego postoju. Każdy z nas poczuł się w tym lesie na swój sposób rozluźniony i bezpieczny. A ponieważ nikt nie wiedział, jak długo będziemy tu stać - więc wszyscy trzymaliśmy się kupy. Kucharze miarkując sytuację - rozpalili ogień w kuchni i przystąpili do gotowania obiadu. I wtedy przy moim wozie pojawił się jeszcze jeden znajomy piętnastak. Był nim długoletni kolega z orkiestry, kapral Stanisław **Gładyszewski**. Stasiu powiedział mi, że chce zostać ze mną i że „będziemy się trzymać razem”. O nic się go nie pytałem. Skąd się tu wziął? Albo co tu robi? Stańto na tym, że „będziemy się trzymać razem”,

W południe kiedy obiad był już na ukończeniu - wokół mojej kuchni zebrała się spora gromada wojska. Coś tam między sobą radzili i przyglądali mi się. A kiedy wszystko już było gotowe i kucharz stanął z chochlą przy kotle - kazałem im podchodzić. Trochę jakby onieśmieleni, ale karnie ustawili się w rzędzie i podchodzili. A ja stojąc obok - obserwowałem ich spalone słońcem twarze i chyba od początku wojny nieogolone brody. Byli wśród nich żołnierze z moich rodzinnych stron - z 4. pułku Piechoty Legionów z Kielc i byli z dalekiego Polesia, bo na kołnierzach płaszczy mieli takie srebrne szyszki - sosnowe.

Przed wieczorem, na jakieś półtorej godziny przed zachodem słońca - w lesie znowu zrobił się szum. Zobaczyłem, że wozy, które były przede mną, już ruszyły i kierują się ku skrajowi lasu. Więc i ja ruszyłem w ślad za nimi. Po kilkunastu minutach jazdy przez las na przełaj - po krzakach i wertepach wyjechaliśmy na otwartą przestrzeń. Były to ogromne błonia. Coś jakby łąka, jakby pastwisko. Z trzech stron otaczał je las, a od południa graniczyły z polami. Za nami przez dłuższy jeszcze czas wyjeżdżały z lasu wozy i wychodziło całymi gromadami wojsko. Zaraz potem ktoś od czoła zarządził, że wszyscy żołnierze nieprzydzieleni do taborów, mają iść na zbiórkę do przodu. Z nich uformowano długą kolumnę czwórkową. To zbieranie i formowanie się, trwało prawie do ciemnej nocy.

Po zachodzie słońca - już szarówką - ruszyliśmy. Tempo było dobre. Szliśmy najpierw polnymi drogami, a po jakiejś godzinie marszu

wyszliśmy na piękną asfaltową szosę. Minęliśmy niewielkie miasteczko. Ktoś lepiej znający teren informował po cichu, że to Błonie.

Koło godziny dziesiątej - jedenastej w nocy, weszliśmy do pewnej miejscowości położonej przy tej asfaltowej drodze. Po obu stronach były domy, sady i ogrody. I cisza. Ani człowieka nigdzie ujrzeć - ani pies nie zaszczekał. I wtedy z tych ogrodów zza tych domów - od czoła i z boków otworzono do nas ogień z broni maszynowej i z moździerzy.

Na drodze zrobiło się piekło. Jęki rannych i wzywanie Jezusa, i Maryi konających mieszały się z wybuchami granatów i suchym trzaskiem karabinów maszynowych. Koło mego wozu, na rowerach i pieszo uciekali do tyłu kolejarze, policja i cywile. Na drodze pozostali ranni i zabici. Reszta, jakby ją coś zmiotło, zaległa rowy i pobocza przylegających do drogi ogrodów.

A ja jak skamieniały, wciąż siedziałem na swoim wozie. W przerwach pomiędzy długimi seriami - nasłuchiwałem. Czekałem na tego, kto prowadził, kto dał rozkaz marszu na Warszawę. Ale z naszej strony nic się nie działo. Nie było widać żadnych oznak jakiegś samoobrony. Żadnych rozkazów - żadnych komend. I wtedy przypomniałem sobie, że przecież ja na tym wozie nie jestem sam. Że z tyłu na pośladku, okryty plandeką jedzie ze mną kolega. Odruchowo wyciągnąłem rękę do tyłu i po cichu zacząłem wołać: Stasiu!? Stasiu!? Ale **Stasiu** się nie odzywał. Plandeka leżała a **Stasia** już nie było.

Na drodze jakiś śmiertelnie ranny żołnierz zaczął wołać:

- Panie podchorąży! Panie podchorąży! Wody! Wody! Pić!".

Zeskoczyłem z wozu, odpiąłem manierkę i chciałem mu dać się napić. I nagle usłyszałem brzęk upadającej na asfalt manierki. Zacząłem jej szukać chyłkiem. Potem na kolanach. Szukałem jej długo i uparcie - może z piętnaście minut. Obmacałem wokoło całą drogę i nie znalazłem. Ranny żołnierz już dawno przestał wołać. I wreszcie uprzytomniłem sobie, że on już nie żyje. Podeszedłem do niego - nachyliłem się. Leżał jak żywy - jakby spał. Na naramiennikach miał jedną belkę a na kołnierzu munduru biało-czerwone proporczyki. I wtedy wokół mnie i poległego starszego ułana zaczęło się coś dziać. Coś - co jakby się roztoczyło - przeniknęło mnie i ogarnęło, i choć było niewidoczne

to jednak czułem niejako fizyczną obecność tej siły wokół siebie. Nie bałem się jej - nie czułem lęku - tylko było mi tak jakoś dziwnie. Było to jakby rozchodzenie się fal, którym towarzyszył lekki powiew, czym zapełniła się cała droga. Stałem w tym kręgu jak urzeczoney, a niemieckie kaemy siekały bez przerwy. Kule świstały i syczały na przemian, świetlne ze zwykłymi. A ja się przecież nie kryłem - nie myślałem o sobie i nie wiem, nie wiem, jak to się stało, że mnie żadna z tych kul nie trafiła.

Kiedy to się skończyło - minęło - pchnięty jakąś siłą wewnętrzną poleciałem na prawą stronę drogi, gdzie w rowie i pod parkanami przywarci do ziemi leżeli nasi żołnierze. Zacząłem do nich przemawiać, a mówiłem tak:

- Chłopczy! Obowiązkiem żołnierza jest bić się i umierać w walce! Nie będziemy biernie czekać na śmierć! Nie pójdziemy do niewoli! Nie będziemy knechtami niemieckimi!

Kilku się podniosło, ale reszta leżała nie reagując wcale. Wtedy z odbezpieczonym karabinem i bagnetem przypadłem do nich jak szalony i krzyknąłem:

- Powstań!

I znowu kilku się podniosło. Rozpoczęliśmy walkę. Lufy naszych karabinów kierowaliśmy tam - skąd szły serie nieprzyjaciela. Ruch i ogień z naszej strony zrobiły swoje. Chłopcy widząc, że my walczymy - sami podnieśli się z rowów, wyłazili z ukrycia i dołączali do nas.

Walka przybierała na sile. Odległość między nami a Niemcami nie była wielka - ale dostać się do nich nie było łatwo. Główną przeszkodę stanowiły wysokie parkany z siatki drucianej, za którymi w ogrodach były ukryte ich stanowiska. Próbowaliśmy znaleźć jakąś dziurę i dostać się do nich bliżej. Próbowaliśmy zająć ich od tyłu i tak walczyliśmy przez całą noc - do ostatniego naboju.

Około północy, kiedy szykowaliśmy się do skoku na ziejącą ogniem broń maszynową nieprzyjaciela, a ja w związku z tym wydawałem ostatnie rozkazy - podszedł do mnie jakiś porucznik i powiedział, że jest oficerem z pierwszej wojny światowej - że chce walczyć pod moją komendą. Tytułował mnie majorem.

Nad ranem Niemcy nasilili ogień z moździerzy. Pociski rwały się koło mnie i tryskały ogniem jak gejzery. I nagle wszystko ucichło. Początkowo myślałem, że to przerwa, że zmieniają taśmy, że studzą lufy. Ale po chwili zorientowałem się, że Niemców nie ma, że się gdzieś ulotnili.

NIEWOLA

Zaczęło świtać. Robił się dzień. Chciałem zobaczyć, która jest godzina. Ale zegarek z ręki gdzieś mi zginął. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem lustro - przyjrzałem się sobie. Byłem cały, tylko twarz miałem posiekaną czarnymi drobnymi kamykami i w gardle miałem strasznie sucho. W pobliżu nie było nikogo żywego. Niedaleko mnie, stał na przymie kamieni nasz ciężki karabin maszynowy. Taśma z amunicją zwisała, a obsługa leżała wybita. Na drodze i w rowach wśród połamanych i poprzewracanych wozów, pełno było ludzkich i końskich trupów. Jakaś mała dziewczynka - może dwuletnia - nie zdając sobie sprawy z tego co się tutaj stało, chodziła po drodze i wołała: mamó?! mamó?!. Obok w rowie leżała martwa kobieta, z której wybuch granatu zdarł częściowo garderobę i wyrwał całe kolano. Gdzieś tam stał jeszcze, oparty o dyszel, postrzelony, dogorywający koń. Na niebie ukazała się tarcza wschodzącego słońca. Patrząc pod blask w jego kierunku - majaczyły mi się wśród tego rumowiska jakieś postacie przypominające żywych ludzi. Zacząłem iść w ich kierunku. I wtedy nie wiadomo skąd i jak przyszły myśli o braterstwie wszystkich Słowian, o tym, że gdybyśmy byli razem - skuteczniej moglibyśmy się przeciwstawić germańskiej nawale.

Po drodze dołączyło do mnie kilku pozostałych przy życiu żołnierzy i zatrzymaliśmy się pod parkanem dużego ogrodu. Po lewej stronie stała tablica z napisem Ołtarzew, a po prawej stronie druga z napisem Warszawa - 17 km. I wtedy usłyszeliśmy jakieś ochryple głosy, gwizdki, komendy, nawoływania. Wrzawa ta zbliżając się od strony północno-zachodniej. Zrozumiałem, że Niemcy idą do szturm i że są pijani.

Byli jeszcze ze trzysta metrów od nas, kiedy we mgle zobaczyłem ich sylwetki. Szli tyralierą i wydawali jakieś dzikie okrzyki. Chłopcy cały czas patrzyli na mnie. Z ich oczu - z ich twarzy - widać było, że i oni to tak odebrali. Instynktownie chwyciłem siatkę ogrodzenia u dołu i podniosłem do góry. Bez słowa jeden za drugim usunęli się do ogrodu, a na ostatku zrobiłem to ja.

W ogrodzie oprócz drzew i krzewów owocowych rosły dziczące maliny i jakieś zielsko i tam żeśmy się ukryli. Położyliśmy się rzędem, żeby mieć z sobą bezpośredni kontakt. Ale mnie było jakoś duszno. Zdjąłem hełm, odpiąłem pas z ładownicami i położyłem go razem z karabinem przy sobie i zaraz zasnąłem. Śpiąc słyszałem jak Niemcy weszli na drogę. Jak krzyczeli, jak strzelali - jak się śmiali i jak rozbijali jakieś skrzynie na naszych wozach. A cały czas wydawało mi się, że gdzieś lecę, że unoszę się w powietrzu, że spadam na ziemię.

Potem przyleciał nad te ogrody samolot. Latał nisko nad samymi drzewami. Zrozumiałem, że jest to nieprzyjacielski samolot, że przyleciał tu na wywiad, że zaraz przyjdą tu Niemcy. I tylko ten samolot odleciał, jeszcze słychać było warkot silnika - jak poczułem, że mną ktoś rusza. A jednocześnie usłyszałem, że „Niemcy idą”. Przebudziłem się - ale w dalszym ciągu byłem jakiś ośpiały. Słyszałem tylko trzeszczenie gałęzi i widziałem, że to maliny wokół mnie się ruszają. To chłopcy, czołgając się uciekali dalej w ogród. A ja uniosłem się trochę - podparłem na lewej ręce i tak pozostałem.

Z przeciwległego końca ogrodu - wolno - krok za krokiem posuwała się w naszym kierunku tyraliera. Przed nią biegła w podskokach młoda dziewczyna i piskliwym głosem szwargocząc po niemiecku pokazywała ręką na te zarośla, w których myśmy się rano ukryli. A poruszała się po tym ogrodzie z taką swobodą - jakby to był jej ogród. Pomyślałem sobie wtedy, że ta Niemka jest naszą polską Niemką - tutejszą - z Ołtarzewa.

Tyraliera była już blisko, a ja leżałem jak zahipnotyzowany i czekałem. Wyszedł na mnie z wycelowanym pistoletem taki ogromny Niemiec - może miał z metr dziewięćdziesiąt i krzyknął „hande hoch!”.

Wstałem i podniosłem ręce do góry. Kazał mi iść do tyłu. Idąc musiałem przejść przez drugą linię. Mieli głębokie ugrupowanie. Drużyny w kolumnienkach dwójkowych, obładowane bronią i amunicją kłęwały pod drzewami, gotowe do rozwinięcia w każdej chwili.

Przeglądali mi się badawczo. Patrzyli na mnie spod tych swoich skopkowatych hełmów. Widocznie im się nie podobałem, bo oficer obok którego przechodziłem, wykonał taki ruch, co było jakby kopnięciem i podstawieniem nogi. Jak tylko ich minałem, zaraz kazali mi się zatrzymać. Po kilku minutach przyprowadzili wszystkich, którzy byli razem ze mną. Kazali nam opuścić ręce i ustawić się dwójkami.

Prowadzili nas w kierunku tej szosy, która była miejscem naszych całonocnych zmagañ. Przechodząc ją w poprzek, zerknąłem na te postrzaskane wozy, na postrzelone konie leżące z ogromnie porozdymanymi brzuchami, na zakurzone i poszarzałe na słońcu twarze poległych współtowarzyszy walki. Dalej prowadzili nas przez pola w kierunku południowo-wschodnim i przyprowadzili nas na podwórko jakiegoś na uboczu stojącego gospodarstwa.

Dom był niski, murowany, a stodoła była duża. Dookoła rosły całe zagony kapusty. Jeden z konwojentów wszedł do mieszkania - drugi się trochę zagapił, a ja wykorzystałem moment i schowałem się w tę kapustę. Tamtych zaraz poprowadzili, a ja zostałem.

Po jakimś czasie - kiedy się upewniłem, że nikt się tu nie kręci - uzbierałem sobie suchych liści kapuścianych i położyłem się na nich płasko z zamiarem odczekania w tej kapuście do nocy. Jak się położyłem - tak zasnąłem.

Chyba długo nie spałem. W pewnym momencie poczułem, że ktoś mnie trąca w buta. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że koło mnie stoi cała gromada młodych Niemców w czarnych uniformach. Byłem zaskoczony. Wstałem i patrząc w ziemię - powiedziałem im, że nie mówię i nie rozumiem po niemiecku:

- Ich sprechen nicht deutsche und ich ferstein nicht deutsche.

Po tym co usłyszeli - byli trochę jakby zdziwieni, że nie rozumiem po niemiecku. Zaczęli coś do siebie szwargotać i zaraz jeden poleciał. Za chwilę przyprowadził kolegę, który mówił po polsku gwaraą śląską.

Pytał mi się skąd ja się tu wziąłem.? Gdzie jest mój karabin i hełm? Powiedziałem mu, że tu w nocy była straszna wojna, że ja wtedy uciekłem i schowałem się w tej kapuście, a karabin i hełm zostawiłem na wozie. Tłumaczył im to wszystko po niemiecku. Na ostatku powiedział mi, że „zaraz zaprowadzą mnie tam, gdzie jest dużo polskich żołdatów”.

Konwojował mnie jeden żołnierz. Szliśmy koło jakiejś cegielni - chyba już od dawna nieczynnej, bo teren wokoło był porośnięty trawą, a cegły nigdzie nie było widać. Kawałek za tą cegielnią przy polnej drodze stał nasz wóz taborowy, a obok niego stał wysoki feldfebel. Trochę z boku pod drzewami na rozłożonych kocach siedziały dwie młode kobiety i jadły chleb z konserwami. Tu konwojent kazał mi się zatrzymać. Coś tam rozmawiał z feldfeblem i z tymi kobietami i zaraz odszedł, a ja pozostałem. Feldfebel zaczął coś do mnie mówić po niemiecku, a ja mu powiedziałem to samo, co tamtym w kapuście. I wtedy do dialogu włączyła się jedna z tych kobiet, które siedziały na naszych kocach i futrowały się naszymi konserwami. Mówiła dobrze po polsku. Pytała mnie, skąd ja jestem? Czy służyłem zawodowo - czy jestem rezerwistą - czy byłem w kompanii strzeleckiej - czy w karabinach maszynowych? Powiedziałem jej, że jestem rezerwistą z Kielc i że służyłem w taborach.

Wtedy feldfebel uśmiechając się ironicznie podszedł do wozu, coś tam pogrzebał, wyjął długi bagniet francuski z takimi bruzdami - przystawił mi do piersi i lekko naciskając zaczął się pytać, ilu ja Niemców zabiłem? Powiedziałem mu, że nie brałem żadnego udziału w walce, i że dopiero dziś po raz pierwszy Niemców zobaczyłem.

Widząc, że się nie boję - odłożył bagniet. Wziął od tych kobiet puszkę po konserwie i kazał mi czytać. Przeczytałem:

- Fabryka Konserw Mięsnych w Poznaniu.

Feldfebel przez chwilę milczał, jakby się nad czymś zastanawiał, a potem powtórzył dwukrotnie:

- Ja, ja! Pozen! Pozen!”.

Rzucił puszkę na ziemię i kazał mi iść z sobą.

Idąc zorientowałem się, że prowadzi mnie do jakiegoś ogromnego dołu, z którego kiedyś była brana glina do cegielni. Przy wyjściu i na

jego obrzeżach stały warty. Dalej szedłem już sam. Gapili się na mnie ci tam - stojący u góry niemieccy wartownicy. A nasi na dole byli jakby zdziwieni tym, że tak późno i w pojedynkę przychodzę. Ale kiedy już do nich dołączyłem i stałem się jednym z nich - nie było już w tym nic dziwnego.

Po moim przyjściu za jakieś półgodziny zrobiło się ciemno. Słońce zachodziło tak samo czerwono jak tamto - wschodzące rano w Ołtarzewie. Pokładaliśmy się na trawie - po trzech, po czterech pod jednym kocem. Było nas kilkuset w tym dole - ale tej nocy - chyba nikt z nas nie spał.

11 września rano przyszedł feldfebel i na cały głos zaczął się drzeć:
- Szerzant?! Szerzant?!

Wtedy z gromady naszych wyleciał niskiego wzrostu sierżant. Stał przed feldfeblem wyprostowany jak trzcina i zameldował mu się po niemiecku. Feldfebel coś tam mówił, a sierżant wkoło powtarzał:

- Jawol, jawol, jawol.

I zaraz potem zarządził zbiórkę. Uformowaliśmy dwie długie kolumny.

Po bokach - z przodu i z tyłu szli konwojenci. Po jakiejś godzinie marszu byliśmy znowu w Ołtarzewie. Na tej samej drodze, na której przed dwudziestoma czterema godzinami toczyliśmy śmiertelny bój. Tu już na nas czekali Niemcy - ci w czarnych uniformach i ci w mundurach koloru feldgrau. Dali nam łopaty i kazali wykopać ogromne doły w ogrodzie - zaraz przy drodze. Drzewa w tym ogrodzie były strasznie postrzelane i pokaleczone - a jedna czereśnia była rozdarta na pół i świeciła swym rozdartym pniem jak pochodnia.

Do południa pracowaliśmy w dwóch grupach. Każda grupa kopała swój dół. A po południu pracowaliśmy wszyscy razem - przy jednym dole. Nasi żołnierze Żydzi otrzymali najcięższą pracę. Oni znosili poległych z drogi i układali na wznak rzędami. Kilku innych przeszukiwało kieszenie i zbierało wszelkie dokumenty. Jeszcze inni układali tych sprawdzonych warstwami w dole i posypywali wapnem. Przed wieczorem dół był wypełniony wtedy przysypaliśmy to ziemią i w ten sposób powstała wielka zbiorowa mogiła.

Następny dzień 12 września różnił się od poprzedniego tym, że do pracy przy znoszeniu poległych oprócz naszych żołnierzy pochodzenia żydowskiego - Niemcy zapędzili kilku cywilnych Żydów. Jednego starego brodatego Żyda złapali w samo południe. Szedł gdzieś drogą w kierunku Warszawy.

Przyprowadzili go do nas - tam do tego dołu i urządzili sobie widowisko.

Szprechali, szwargotali - skubali go. Świecili zapałkami i podpalali mu brodę. Ale broda się podpalić nie chciała, wtedy rozpięli mu habit - taki świecący i zrewidowali go. Gdzieś w zanadrzu - znaleźli ogromny plik pieniędzy. Same papierki. Te grube - pięćsetki i setki - zabrali - a te drobniejsze - rozdali naszym żołnierzom - szczególnie tym, którzy mówili po niemiecku, a śmiali się przy tym - a szwargotali. A w tym szwargotaniu powtarzały się słowa: „Szwindel, handel, gielt i du mus arbeit”.

Upał był straszny i ja w ciągu tych dwóch dni czułem się fatalnie. Z rana kiedy było chłodno, to można było jeszcze wytrzymać. Ale później jak przygrzało słońce, powietrze stawało się jakieś mdłe. Czuć w nim było zapach parującej krwi, a w ustach robiło się dziwnie słodko. W południe, kiedy słońce było w zenicie myślałem, że nie wytrzymam, że zemdleję. Dopiero jakiś żołnierz - Żydek - miał przy sobie kostkę konserwowej kawy, postarał się gdzieś trochę gorącej wody i rozpuścił w niej tę kawę i dał mi chyba ze dwa łyki. Ta kawa mnie wzmocniła i poczułem się lepiej. Przed wieczorem praca przy grzebaniu poległych współtowarzyszy walki była skończona. Na ostatku z jakiejś rozwalonej stodoły, z niedopalonych krokwi - zrobiliśmy dwa krzyże i postawiliśmy na tych mogiłach. I to był koniec - koniec tej masakry w Ołtarzewie.

O zmroku wróciliśmy do tego glinianego dołu, w którym przesiedzieliśmy o głodzie i chłodzie chyba jeszcze ze dwa dni.

Gdzieś koło 15 września nad ranem, wpadł feldfobel z wartownikami i zaczęli się drzeć, żeby prędko, żeby „sznel” stawiać na zbiorę, a potem pędzili nas cały czas biegiem zamierzając się i strasząc nas granatami, na takich drewnianych pałach.

UCIECZKA

Było w czas rano, jak zgonieni i zziąjani zatrzymaliśmy się w jakiejś niewielkiej miejscowości. Po lewej stronie drogi był kościół z dwoma wieżami, a po prawej niskie parterowe domy. Jak zobaczyły nas kobiety - zaraz powynosiły, co która miała. Jedna wiadro wody z sokiem malinowym, inna jakieś owoce, a jeszcze inna trochę chleba. Zrobił się mętlik. Niemcy stracili panowanie nad nami. A mnie wtedy jakiś głos wewnętrzny szepnął: „uciekaj”.

Zaraz była furtka. Sprawdziłem - nie była zamknięta. Za furtką 0 parę kroków komórki, obórki, chlewiki. Zaryzykowałem. Raz, dwa już byłem w komórce. Jeszcze dobrze drzwi nie zamknąłem za sobą, a już usłyszałem gwizdki i komendy: „Masziren!”. I zaraz tamtych pościzili, a ja zostałem.

Po kilku minutach skrzypnęły drzwi i z mieszkania wyszedł starszy pan. Miał na sobie granatowy garnitur i wyglądał na emerytowanego kolejarza. Obserwując go dyskretnie przez szparę, doszedłem do wniosku, że to gospodarz - właściciel tej posesji. Kiedy zbliżył się do tych komórek - uchyliłem drzwi i dałem mu znak.

Powiedziałem - żeby mi się postarał o cywilne ubranie. Trochę postać, popatrzył na drogę i kazał mi poczekać. Za jakieś dwadzieścia minut - znowu skrzypnęły drzwi i z mieszkania wyszedł ten sam starszy pan, a pod pachą miał jakieś zawiniątko. Przyniósł mi bieliznę, pantofle, skarpety, spodnie, marynarkę, kamizelkę i kapelusz. Zaraz przy nim się przebrałem. Moje wojskowe ubranie gdzieś tam schował. Wyszliśmy z tej komórki na podwórko razem i rozmawialiśmy, jak gdyby nigdy nic.

Powiedział mi, że jestem w Żbikowie, że niedaleko stąd jest Pruszków, a tam trochę dalej - Komorów. W mieszkaniu dał mi brzytwy i ogoliłem się - zjadłem śniadanie - no i pozostałem aż do następnego dnia. Na drugi dzień zaraz z rana ruszyłem w kierunku Warszawy. I to mógł być 16 września.

Podszedłem pod jakieś wysokie wieże stalowej konstrukcji i wtedy uprzytomniłem sobie, że jestem w Raszynie. Na widok tych wieży

ożyły we mnie wspomnienia, a z nimi strofy wiersza o Cyprianie **Go-debskim**, które w głębi duszy same się teraz w rymy układały:

*Pod Raszynem huczą działa
Grzmiać salwami karabiny
Krwawe słońce cudnie pała
I krew płynie przez równiny.*

Tego dnia pola pod Raszynem były puste. Niebyło na nich widać zbrojnych szyków księcia **Józefa** - prowadzącego je z karabinem w rękę do ataku. Gdzieś tam stały tylko sterty zboża. Wykorzystałem je jako osłonę i zza nich obserwowałem linie miernicze niemieckie. W blasku słońca świeciła się ich broń. Na tej obserwacji i na szperaniu po polach - upłynął mi cały dzień. Noc spędziłem w stercie, a nazajutrz jeszcze trochę popatrzyłem na unoszące się dymy nad Warszawą i zawróciłem do Żbikowa.

Teraz już wiedziałem, że pierścień hitlerowskich wojsk otaczających Warszawę jest tak szczelny, że nawet mysz się z zewnątrz nie przedostanie. Przed obiadem byłem z powrotem u tych swoich dobrych ludzi. Przyjęli mnie miło i dzielili się ze mną tym, co mieli. Posiedziałem u nich chyba jeszcze ze dwa dni.

Gdzieś koło 18 września w południe - ubrany elegancko w kapeluszu - wyszedłem sobie z domu i szedłem taką polną dróżką - jakby miedzą. Od tak po prostu, żeby się przejść. Dzień był ładny, ze wschodu niósł się głuchy łoskot wybuchów bombowych i artyleryjskiej kano-nady. I wtedy zobaczyłem, że tą samą dróżką idzie w moim kierunku jakaś starsza kobieta w ciemnych okularach. Mijając mnie przystanąła, popatrzyła na mnie i powiedziała:

- Pan jest wojskowy, pan jest żołnierzem.

I tak zaczęła się rozmowa.

Powiedziała mi, że ma dwóch synów lotników, i że jeden już zginął. Że byli u niej w domu Niemcy i widzieli ich fotografię. Że rozmawiała z nimi po niemiecku, a na ostatku powiedziała im tak:

- Jesteście tacy młodzi, tacy przystojni i dokąd was ten bandyta **Hitler** prowadzi? Mówiła mi, że Niemcy byli zaskoczeni jej postawą,

że bez szmeru opuścili jej mieszkanie, a został tylko jeden oficer. Że usiadł sobie na krześle i jeszcze długo z nią rozmawiał. Kiedy mi to wszystko opowiedziała - przyjrzała mi się jeszcze raz. Ale tak jakoś inaczej. I zapytała mi się - czy ja mam w okolicach Warszawy jakichś krewnych - albo znajomych. Powiedziałem jej, że krewnych nie mam, a znajomych miałem w Komorowie - państwa **Szczypiorów** i że pan **Szczypior** pracował na EKD. Zauważyłem, że to ją w jakiś sposób poruszyło. Zaraz się pożegnała i poszła. A ja usiadłem sobie na trawie i obserwowałem jak obładowane bombami szły z jękiem na wschód niemieckie eskadry i po niedługim czasie już na zwolnionych obrotach wracały na wschód.

Przed wieczorem na podwórko moich gospodarzy zajechała rowem Łódzia **Krawczykówna** z Kozienic - siostra pani **Szczypiorowej** i zabrała mnie do Komorowa.

W Komorowie u państwa **Szczypiorów** miałem tak dobrze, jak w domu, albo jeszcze lepiej. Pan Czesław [**Szczypior**], bo tak było na imię panu **Szczypiorowi** - cały dzień buszował po mieście. Wpadał do domu na godzinę, na półtorej, zawsze ze świeżymi wiadomościami i znowu znikał. Pani Stacha - pani **Szczypiorowa** i **Łódzia** troszczyły się o to, żeby było śniadanie, obiad i kolacja. A to było wtedy największą sztuką. Mały **Boguś** - synek państwa **Szczypiorów**, na szczęście chyba sobie jeszcze nie zdawał sprawy z tego, co się na tym bożym świecie dzieje. Bawił się. A ja miałem ostry dyżur przy radiu.

Cały dzień od świtu do północy sterczałem i słuchałem, co mówiła Warszawa. Warszawa mówiła: „Uwaga, uwaga! Nadchodzi!”. Nie podobало mi się to ciągle powtarzanie w koło Macieju „Uwaga, uwaga! Nadchodzi!”. Wydawało mi się, że na tle ogólnej sytuacji brzmi to jakoś sztucznie i nieszczerze. Że jest to swoistego rodzaju dymna zasłona - za którą coś się kryje.

Wieczorem po nerwowym dniu w pokoju na górze zbierała się przy radiu cała rodzina państwa **Szczypiorów**. Przychodzili sąsiedzi i wszyscy słuchaliśmy aż do końca. A każdej następnej nocy kładliśmy się spać z cięższymi sercami. Jediną nadzieją, źródłem siły pozwalającym przetrwać tamte trudne chwile - była melodia Mazurka

Dąbrowskiego, którą Polskie Radio o godzinie 12 w nocy kończyło swój program. Jeszcze Polska nie zginęła - niosło się na falach eteru na cały świat.

Pamiętam przemawiającego prawie codziennie, co raz to bardziej ochrypłym głosem, prezydenta Warszawy Stefana **Starzyńskiego**. Jego apele do mieszkańców stolicy o zachowanie spokoju i dyscypliny, 0 zgłoszenie się do pracy przy budowie barykad, grzebaniu poległych i do pomocy w szpitalach.

Na jakieś 2-3 dni przed kapitulacją **Starzyński** charakteryzował ogólną sytuację, jaka panowała w mieście. Mówił, że liczba rannych i poległych rośnie z każdą godziną, że szpitale są przepełnione, że brakuje wody, światła i żywności, że w wojsku kończy się amunicja.

Pamiętam przemówienie dowódcy obrony Warszawy generała **Czumy**. Mówił, że „sytuacja jest trudna, i że z każdym dniem staje się trudniejsza. Że ubiegłej nocy sprawdzał linie naszej obrony, i że o mało nie został zabity, i to przez naszych. Że tego by tylko jeszcze brakowało.”

Po tych dramatycznych przemówieniach może się było tylko jednego spodziewać - kapitulacji. I tak się stało. Pamiętam - byłem - sterczałem przy aparacie, i nie było to dla mnie zaskoczeniem.

Specjalny komunikat Dowództwa Obrony Warszawy mówił o „honorowej kapitulacji”. „Oficerowie idą do niewoli, ale mają prawo zabrać ze sobą broń boczną. Szeregowi żołnierze idą do domu”.

I to był 27 września.

Mnie ta honorowa kapitulacja nie dawała spokoju. Nie potrafiłem jej sobie wyobrazić. Chciałem ją zobaczyć z bliska, chciałem jej dotknąć, tak jak tych okopów tam za Widawką. A poza tym, to byłem jakiś drętwy i zagubiony. Nie wiedziałem, co mam dalej robić? Dokąd mam iść?

To wszystko, co przeżyłem w ciągu tych ostatnich kilku tygodni, widziałem jak przez mgłę. Wiedziałem, że Ojczyzna jest w niewoli, że nie ma już naszej armii i mojego 15. pp „Wilków” - a trudno mi było w to uwierzyć. Wydawało mi się, że to nieprawda. Moi chlebodawcy jakby to wszystko przeczuwali, nie wymawiali mi gościnności. Przesiedziałem u nich jeszcze chyba 3 czy 4 dni.

Wieczorem po dawnemu przychodzili sąsiedzi i słuchaliśmy radia. W czasie jednego takiego „nasłuchu” jakaś zagraniczna stacja podała wiadomość, że nasza łódź podwodna ORP „Orzeł”, internowana w estońskim porcie Tallinie - uciekła do Anglii. A więc - to jeszcze nie koniec.

To jeszcze coś z tej niepodległej Polski zostało.

W dzień siedziałem sam i myślałem. Myślałem o tym, jak to się stało, że w niecałe cztery tygodnie przegraliśmy wojnę i straciliśmy niepodległość, o którą walczyło i przelewało krew kilka pokoleń.

Przypomniały mi się lata dziecinne. Gajówka w Kamiennej Woli - skąd było widać szczyt Perzowej Góry. A ja wtedy nie wiedziałem, czy tam gdzie ta góra styka się z niebem, kończy się świat? Czy jest jeszcze coś dalej? Nocna jazda ruskich dragonów drogą koło naszych okien. I piechota, która na drugi dzień szła za nimi. Zapach ciepłego, razowego chleba, który mama wysadziła z pieca i wszystkim rozdała. Śpiewane „spasiba”. Jakieś huki i błyski widoczne nocą na zachodzie. Niekończące się kolumny niemieckiej piechoty ciągnące pastwiskami od Przyłóg w kierunku Błotnicy i Duraczowa. Austriacy i Janek **Kos** w maciejówce z polskim orzełkiem. Józef **Chudzik** w mundurze halerczyka.

Gromada policjantów uzbrojonych w karabiny, która w słoneczne przedpołudnie przyszyła drogą od Miedzierzy i zatrzymała się u nas. Odezwa Wincentego **Witosa** nawołująca chłopów polskich do walki z bolszewikami, którą głośno jeden z nich czytał. Chłopcy z Dziadka i Kamiennej Woli, którzy poszli na wojnę: Stefan **Wierzkowski**, Władek i Janek **Śliwowie**, Jakubek **Kornecki**, Wicek **Opara**, Janek **Chudzik**, Ludwik **Starkowski** i Włodek **Opala**. Poszli i pobili wroga. A my? Myśmy ten cały ich wysiłek i poświęcenie zmarnowali. Ale z nimi był Komendant i Witek, i rząd. A z nami? Kto z nami był? Rząd i Prezydent uciekli. A naczelny wódz, ten który powiedział, że „nie damy guzika” - też uciekł.

Zostawili nas samych - własnemu losowi - myślałem usprawiedliwiając w duchu siebie i wszystkich żołnierzy września.

Przypomniął mi się profesor Franciszek **Szwarc** - nauczyciel historii z dęblińskiego gimnazjum. Opowiadał nam, że „był całe życie

biedny z tym swoim nazwiskiem. Jak tylko przyszedł do szkoły nowy germanista i zobaczył w dzienniku nazwisko **Szwarc**, to zaraz zaczął do niego mówić po niemiecku, a on po niemiecku ani w ząb."

Roztoczył się przede mną obraz naszej klęski pod Piławcami i Żółtymi Wodami. **Szwarc** obarczył za nią dowodzących wojskiem trzech hetmanów. Mówił, że: „Jeden był stary - więc zabrał na wojnę ze sobą pierzynę. Drugi był bardzo młody - jeszcze prawie dziecko. A trzeci był biegły w łacinie, ale na wojsku, na wojnie, wcale się nie znał. I stąd powstało przysłowie: pierzyna, dziecina i łacina". Porównując tamtą klęskę z naszą - wrześniową, palmę pierwszeństwa przyznałem tej ostatniej. Uważałem, że jest większa i bardziej kompromitująca.

I znowu wróciłem myślami do lat dziecinnych. Ożyły tamte odległe doznania, dramaty i tragedie: Ciężka choroba mamy. Przeniesienie ojca na gorszą posadę. Śmierć mamy. Ponowny ożenek ojca. No i moje wojsko - Dęblińska Twierdza.

Pierwszy marsz z orkiestrą - z werblem, na front nr 4. Nauka gry na flecie i oboju. Próby, koncerty, zabawy, defilady, strzelnice, manewry, doksztalcanie. Nasz kapelmistrz - kapitan **Kosecki** Józef. Z bródką - podobny do cara **Mikołaja**. Twórca poematu symfonicznego *Cud nad Wisłą*. Teraz wydawało mi się, że za wcześnie odszedł na emeryturę, że powinien do tej pory służyć w wojsku.

To znowu jak **Treviranus** zaczął krzyczeć, żeby Gdańsk przyłączyć do Niemiec. Jak **Kosecki** na próbie powiedział nam, że „Niemcy nie pogodzili się z postanowieniami Traktatu Wersalskiego. Że nie wolno im mieć więcej wojska - tylko sto tysięcy. Ale oni mają rozbudowaną organizację, która się nazywa Stalhelmi i jest szkolona jak wojsko. Że nie wolno im budować fabryk czołgów, ale oni budują fabryki traktorów, a to jest prawie to samo."

Jak wystąpiłem z inicjatywą zbiórki pieniężnej na łódź podwodną i jak nam „Polska Zbrojna" przyklasnęła artykułem „Brawo wilki." Jak starzy podoficerowie opowiadali, że „**Piłsudski** miał świetny plan". Że tworząc po 123 latach niewoli Państwo Polskie z ziemiami ukraińskimi, białoruskimi i litewskimi na wschodzie - chciał stworzyć federację: Polsko-Ukraińsko-Białorusko-Litewską. Ale sprzeciwili się temu nasi

możni panowie: **Radziwiłł** mający swe dobra na Białorusi i metropolita lwowski arcybiskup hrabia **Szeptycki**.

Jak gdzieś tam „Dziadek” miał się zalić, że „obleźli go jak wszy kożuch”. Jak po jego śmierci krążyły po Dęblinie ciche wieści: „Że jakiś wachmistrz żandarmerii pełniący służbę w Belwederze został skrytobójczo zamordowany. Że Marszałek jakoby miał zostawić testament, w którym napisał, że dowództwo nad wojskiem ma objąć po jego śmierci generał Władysław **Sikorski**”.

Przypomniała mi się nocna wizyta w naszym pułku inspektora armii generała **Gustawa Orlicza Dreszera**.

Pełniłem służbę w orkiestrze. I wtedy usłyszałem, że ktoś idzie na górę po schodach, że drzwi się otwierają. Zapaliłem światło i zobaczyłem wysokiego, dobrze zbudowanego barczystego chłopca w wojskowym ubraniu z dystynkcjami generała. Dziwne mi się to wydawało. Był sam. Bez oficera inspekcyjnego pułku. Po odebraniu meldunku ode mnie przeszedł się wzdłuż łóżek po salach. Podoficerowie nadterminowi i elewi chrapiąc - twardo spali. Generał słuchając tego chrapania - powiedział do mnie:

- To są silni ludzie.

Niedługo potem przeczytałem w gazecie, że wyleciał awionetką na spotkanie żony wracającej Batorym ze Stanów Zjednoczonych, że wpadł do morza i utopił się.

Po generale **Dreszerze** przyszła refleksja na temat innego generała. Był nim komendant Twierdzy i Garnizonu Dęblińskiego - generał **Frej**. Mieszkał na peryferiach Dębłina w małym domku na Stawach, nieopodal Składowicy Uzbrojenia Nr 2. Odizolowany, odcięty od świata - zapomniany przez wszystkich. W ciągu mojego całego pobytu w Twierdzy, nie zaproszono go ani razu na święto pułkowe, ani na żadną uroczystość. Chodziły słuchy, że „to za karę - bo nie chciał iść razem z legionistami obalać rząd prezydenta **Wojciechowskiego**”.

A potem znowu te katastrofy lotnicze w Centrum Wyszkożenia Oficerów Lotnictwa, jakie miały miejsce w ostatnich latach przed wybuchem wojny. Po trzy, po cztery jednego dnia. Co, który wyleciał w powietrze, to kraksa i trup. A orkiestra nasza wszystkim grała.

Wszystkich żegnaliśmy „*Marszem żałobnym* Nideckich” albo *W mogile ciemnej*. Trębacze grali *Hasło wojska polskiego*, a kompania honorowa prezentowała broń. Ilu tych młodych podchorążych i oficerów pozostało na wojkowych cmentarzach Dęblina? Tym koło szpitala garnizonowego i tym nowym. Ile tych krzyży z połamanymi śmigieł znaczy do dziś ich mogiły?

Teraz - w obliczu tej wielkiej narodowej klęskisamo mi się to wszystko cisnęło do głowy.

Już wtedy podejrzewałem, że sprawczynią tych nieszczęść, tych tragedii, musi być jakaś zakonspirowana, wroga naszej ojczyźnie siła, która bezlitośnie niszczy kwiat naszej młodzieży. Jak żywy stanął przede mną z przyprószonymi siwizną włosami generał z Poznania, który w trumnie zabierał swojego syna do rodzinnego miasta. To znowu wdowa uboga odziana w chustce, chyba gdzieś od Łukowa, której nikt nie towarzyszył w czasie tego pogrzebu, która zostawiła na tym nowym cmentarzu przy drodze prowadzącej do Stężycy całą swoją nadzieją na stare lata. Patrząc wtedy na nią myślałem: Musiał być zdolny, ten twój syn matko, skoro został oficerem lotnictwa - bo protekcji nie miał na pewno.

Zestawiając wydarzenia tamtych lat z tym, co się stało we wrześniu, utwierdziłem się w przekonaniu, że tą wrogą siłą czyhającą na naszą zgubę - były Niemcy.

To za ich sprawą - myślałem - został zamordowany pierwszy prezydent odradzającego się Państwa Polskiego - Gabriel **Narutowicz**. To oni „obleźli jak wszy kozuch” „Dziadka” **Piłsudskiego** i pociągnęli go w maju 1926 roku na Belweder. To oni postarali się o to, że przepadł bez wieści generał **Zagórski** i wpadła do wody awionetka generała **Dreszera**. To oni skazali na długoletnią bezczynność i milczenie - generała **Sikorskiego** i generała **Freja**. To ich sprężyny działające skrytobójczo sprawiły, że w tajemniczych okolicznościach popełnił samobójstwo najbliższy przyjaciel i powiernik tajemnic Marszałka pułkownik Walery **Sławek**. To oni pobili rękami polskich oficerów redaktora „Słowa Wileńskiego” za to, że napisał, że „posiadanie przez Polskę iluś tam dywizji pancernych jest kwestią życia albo śmierci”. To oni byli

reżyserami tych seryjnych katastrof w Centrum Wyszkożenia Oficerów Lotniczych. To oni po śmierci Marszałka spośród plejady polskich generałów wybrali następcę, który teraz dał im się wyprowadzić do Rumunii - zostawiając w kraju walczącą armię.

Przypomniałem sobie, jak krótko przed wybuchem wojny - ni stąd ni z owąd w repertuarze pieśni żołnierskich pojawiły się utwory sławiące bojową przeszłość **Rydz-Śmigłego**. Że jakby sam „Dziadek” miał powiedzieć, że „**Rydz-Śmigły** jest jego uczniem”.

„Pod Anielinem w twardej uczony szkole - Sam Dziadek mówił **Rydz-Śmigły** uczeń mój”.

Albo, że: „Nikt nam nie zrobi nic, nikt nam nie weźmie nic, Bo z nami Śmigły, Śmigły, Śmigły-Rydz”.

Jak nasze wojsko śpiewało:

Nie damy popradowej fali-

Spisza, Orawy, praojców sławy

Tam oni ziemię posiadali

Hen po wyżyny - hen po doliny

A potem jak Niemcy wkroczyli do Czechosłowacji i jak marszałek **Śmigły** powiedział: „Nazywacie mnie wodzem! A zadaniem wodza jest rozkazywać! Rozkazuje: Maszerować!”

Jak generał **Bortnowski** pomaszerował z wojskiem na Zaolzie w Twierdzy zapanowało głucho milczenie. Czegoś - jakbyśmy się wstydzili. Bo wszyscy od dowódcy pułku do ostatniego szeregowca wiedzieliśmy, że jest to kompromitacja.

I jeszcze raz wróciłem myślami do **Szwarc**a - do jego lekko pochylonej sylwetki i świecącej łysiny. Do tej lekcji historii, na której była mowa o wierzeniach starożytnych Greków i Rzymian. Do tego, że „Rzymianie mieli swoich bogów, ale na wszelki wypadek modlili się jeszcze do greckich”. Do tego, że „wszystkie ustroje są w zasadzie dobre - tylko ludzie są źli”.

Przypomniałem sobie, jak pokazując na mapie Europy Półwysep Skandynawski i Półwysep Jutlandzki mówił, że łatwo je odnaleźć,

bo są blisko siebie, i że ten większy podobny jest do niedźwiedzia. Że na tych półwyspach od czasów najdawniejszych mieszkali Germanie. Że stamtąd wyszli i podbijają je inne plemiona - nie germańskie, opanowali tereny nad Dolnym Renem. Że powiedzieli sobie, że muszą iść na wschód.

„Drang nach Osten”. I że idąc za tym hasłem podbili mieszkające w Dorzeczu Łaby plemiona słowiańskich Luetyków, Obodrytów, Serbów Łużyckich i na ich ziemiach utworzyli nową marchię, którą nazywali Brandenburgią. Że dokładnie w tym miejscu gdzie stała prastara słowiańska osada Branibor - założyli swoją stolicę - Berlin.

Że byli okrutni i podstępni. A kiedy szli do walki, nakładali na swoje głowy czaszki zwierząt, aby w ten sposób w szeregach przeciwnika wzbudzić lęk i trwogę. Że wojowali nie tylko mieczem, ale i trucizną, Że margrabia saski **Geron**, zaprosił na ucztę 30 słowiańskich książąt i wszystkich w czasie tej uczty otruł. Że już za panowania **Mieszka I** Niemcy najechali na nasz kraj i że drużyna **Mieszka** stoczyła z nimi zwycięską bitwę pod Cedynią. A potem jak Bolesław **Chrobry** wojował z nimi przez 16 lat. Jak kazał kmieciom ścinać drzewa, zawałać drogi, napadać z nienacka, aż ich zmęczył i zmusił do zawarcia pokoju, przyłączając do Polski słowiańskie Milsko, Miśnię i Łużyce. Jak głogowianie pozabijali swoje dzieci, które Niemcy poprzywiązywali do machin oblężniczych, a miasta nie oddali. Jak Bolesław **Krzywousty** w bitwie koło Wrocławia „narobił z nich kapusty”. Jak psy ich ciała włożyły po polu i pole to zostało nazwane Psim Polem. Jak **Łokietek** pod Płowcami, a **Jagiełło** pod Grunwaldem rozprawił się z niemieckim zakonem - z krzyżakami.

To znówu, że „plany rozbiórów Polski wylęgły się w umysłach niemieckich”. Że królowie pruscy byli głównymi sprawcami tych rozbiórów. Że Polacy najbardziej byli prześladowani w zaborze niemieckim. Przypomniała mi się działalność Hakaty, Marcin **Drzymała** i jego wóz. *Bartek Zwycięzca*, Magda Ślimakowa z *Placówki*. Dzieci Wrześni - bite za to, że nie chciały się uczyć katechizmu po niemiecku. Maria **Konopnicka** i jej *Rota*.

Nie rzucim ziemi skąd nasz ród - zacząłem powtarzać.

*Nie damy pogrześć mowy
Polski my naród - polski lud
Królewski szczep piastowy.*

*Nie damy by nas gnębił wróg
Tak nam dopomóż Bóg
Tak nam dopomóż Bóg
Do krwi ostatniej kropli z żył
Bronić będziemy ducha
Aż się rozpadnie w proch i w pył
Krzyżacka zawierucha-*

*Twierdzą nam będzie każdy próg-
Tak nam dopomóż Bóg
Tak nam dopomóż Bóg.
Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz
I dzieci nam germanił-
Oreżny stanie hufiec nasz
Duch będzie nam hetmanił-
Pójdzie gdy zabrzmi złoty róg-
Tak nam dopomóż Bóg
Tak nam dopomóż Bóg.*

Rotę znałem od dziecka. Nauczyłem jej się w szkole. Była taka porywająca. I często ją sobie nuciłem. A potem w wojsku śpiewałem ją chyba z dziesięć lat. Zawsze na apelu wieczornym po odśpiewaniu modlitwy *Wszystkie nasze dzienne sprawy* - śpiewaliśmy *Rotę*. Wyrывała się wtedy z tysiąca serc, uderzała o mury Twierdzy i pomnożona o wielokroć wieczornym echem, niosła się hen aż ku Zajezerzu, aby spotkać się nad cicho płynącą Wisłą z taką samą *Rotą* śpiewaną na drugim brzegu przez żołnierzy 28. palu.

Nie rzucim ziemi skąd nasz ród.

Aż przyszedł rozkaz, żeby nie śpiewać *Roty*.

Rota miała w naszym wojsku swoją tradycję. Przechodziła z rocznika na rocznik. Śpiewana latami stała się organiczną częścią naszego - koszarowego życia. I długo - długo było nam jej brak. Teraz zastanawiałem się - komu zależało na tym, aby nasze wojsko - polskie wojsko - przestało śpiewać *Rotę*. I znowu wewnętrzny głos podpowiadał mi, że to musiała być niemiecka robota.

To ich wywiad, ich ludzie - myślałem - „obleźli” naszą armię pozostawiając od pułku, aż po ministerstwo spraw wojskowych i postarali się o to, że „zabrano” nam *Rotę*.

*Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz
I dzieci nam germanił-
Oreżny stanie hufiec nasz
Duch będzie nam hetmanił*

To im się nie podobało. To ich kłuło w ślepie. Bali się tego „ducha” narodu polskiego, którego pokonać - złamać - nie mogli na przestrzeni wieków.

Więc starali się przynajmniej go osłabić. Przypomniałem sobie, jak nasze gazety pisały, że Niemcy mówią, że „Polska to taki tymczasowy twór - Sezonstadt”. Że „nie jesteśmy zdolni do samodzielnego bytu - do tego, żeby mieć niepodległe - własne państwo”.

I teraz już wiedziałem, że to niemiecka dywersyjna działalność leżała u podstaw naszej wrześniowej klęski. Bo jak inaczej mogłem sobie wytłumaczyć to, że na front od Wielunia jechaliśmy przez Łuków? Albo to, że przez dwa dni siedzieliśmy w Rębieszowie i nic żeśmy nie robili, a kiedy trzeba było ruszyć w bój, to dopiero sobie przypomnieli, że coś tam „nie zostało wykończone”? Albo to, że pułk otrzymał rozkaz wymarszu na noc - kiedy jest utrudniona działalność rozpoznawcza i nim doszedł na linię frontu - został rozbity? Albo ten codzienny postój w Puszczy Kampinoskiej. Czy nie można było iść dalej, tak jak szliśmy przez cały czas od Pabianic i dojść za dnia do Warszawy? Tylko w nocy wprowadzili nas w przygotowany przez Niemców kocioł w Ołtarzewie?

To znowu ta niespodzianka, jaką było wkroczenie Armii Czerwonej na nasze wschodnie tereny. Bo ja od wiosny - od marca codziennie myślałem, że Rosjanie, że Białorusini, że Ukraińcy, że przecież to Słowianie, że pobratymcy, że nam pomogą. A teraz dowiedziałem się, że Armia Czerwona wkroczyła na nasze Kresy, ale nie po to, żeby nam pomóc...

Przypomniat mi się redaktor **Jan** z redakcji Gazety Polskiej, który po powrocie ze Związku Radzieckiego przyjechał do Dębina i miał odczyt w kinie na Lotnisku. Mówił, że „...odstawili do granicy ciupasem. Że przemysł i szkolnictwo udały się Sowietom, a rolnictwo nie. Że **Stalin** wystrzelał starych bolszewików: **Zinowiewa, Kamieniewa, Bucharina, Tuchaczewskiego**”

Że **Woroszyłow** i **Budionny** też są w niełasce. Że jak **Stalin** ma dobry humor, to im pozwoli przyjść na posiedzenie Komitetu Centralnego, a jak ma zły humor - to nie pozwoli. Że na procesach pokazowych

skazywani na śmierć wzrok mieli jakiś błędny. Że przyznawali się do winy do współpracy z obcymi wywiadami, choć cały świat wiedział, że to nieprawda. Tok moich rozmyślań przerwała **Lodzia**, która wróciła z miasta i przyniosła świeże wiadomości. Powiedziała, że „Niemcy uruchamiają kolej. Że **Czesiek** idzie do pracy. Że w Pruszkowie w magistracie wydają uciekinierom jakieś „auswajsy””.

Pomyślałem sobie, że ja muszę się ruszyć z tego Komorowa, bo przecież dłużej nie mogę siedzieć na karku tym ludziom. Pruszkowa nie znałem, ale tego dnia robił wrażenie miasta wyludnionego. W magistracie też były pustki. Jeden jedyny urzędnik to był ten, który wydawał te „auswajsy”. Wracając zauważyłem, że w jednym sklepie drzwi są uchylone. To był sklep z odzieżą. Za ostatnie 100 zł które mi pozostały, kupiłem sobie jesionkę. Bo to przecież zbliżała się zima, a ja byłem w tym podarowanym, letnim garniturze.

Kiedy byłem już blisko Komorowa, zobaczyłem, że polną drogą w kierunku Pruszkowa maszeruje jakieś wojsko. Pomyślałem sobie: A może to Niemcy prowadzą obrońców Warszawy? Stałem na boku i przyglądałem się. Szli czwórkami. Obok żołnierza szedł junak, obok junaka student, a obok studenta cywil. Co jakieś 200-300 metrów jechał wolno samochód terenowy z pełną obsługą, z wycelowanymi lufami karabinów maszynowych w plecy maszerujących przed nim obrońców Warszawy. Na ostatku szły tabory. Na jednym wozie otulony płaszczem jechał podporucznik - chyba rezerwista. Niemców w pobliżu nie było. Podeszedłem do tego wozu i chciałem z nim porozmawiać. Ale on tak na mnie spojrzał i zrobił taki ruch ręką, co zrozumiałem, że powinienem natychmiast stąd się oddalić. Odszedłem parę kroków od drogi i dalej przyglądałem się. Niemcy patrzyli na mnie spode łba, a ja stałem i stałem, aż przeszli.

Na drugi dzień, zaraz po śniadaniu, podziękowałem państwu **Szczypiorom** za opiekę. Przeprosiłem za wszystkie kłopoty, których tym swoim siedzeniem przysporzyłem i poszedłem na dworzec.

Dworzec w Pruszkowie był pierwszym obiektem kolejowym z którym się zetknąłem po kapitulacji. Zaraz na wstępie zorientowałem się, że nie jest zniszczony. Nic tu nie było spalone, ani rozwalone, a pomimo

to - wydawał mi się dziwnie smutny. Tory i perony były puste. Ramiona semaforów opuszczone - jak chorągwie do połowy masztu na znak żałoby. W kącie stacji na bocznym torze stał parowóz i trzy wagony towarowe. Dyżurny ruchu powiedział mi, że „stąd ten odejdzie do Koluszek, tylko musi jeszcze trochę poczekać, aż się więcej ludzi zbierze.” W południe przyjechałem do Koluszek. Atmosfera była tu taka sama, jak w Pruszkowie. Dowiedziałem się, że w kierunku na Końskie pociągi nie chodzą, bo linia jest uszkodzona. Nie mając innego wyboru ruszyłem wzdłuż toru piechotą.

Chyba ze dwa kilometry, tor szedł przez pola, przez jakieś nieużytki a dalej przez las. Kiedy minąłem Słotwiny i byłem gdzieś w połowie drogi między Tomaszowem i Koluszkami - spotkałem dwóch czeskich żołnierzy uzbrojonych w karabiny, którzy szli torem w kierunku Koluszek i zatrzymali mnie.

- Wasze papiry? - powiedział jeden.

Kiedy usłyszałem czeską mowę, jakoś lżej mi się zrobiło na duszy, bo początkowo myślałem, że to są Niemcy. Wyjąłem z kieszeni auswajs i podałem im. Czytali - spoglądali na mnie i znowu czytali. A ja obserwując ich widziałem, że są w jakiś sposób zażenowani. I nie wiem, czy uwierzyli w to, że „jestem uciekinierem z Dębłina” - czy nie, bo zaraz oddali mi ten auswajs i powiedzieli, że mogę iść.

To spotkanie z Czechami i to ich zachowanie sprawiły, że wróciły do mnie tamte wszystkie myśli, które co dopiero przeżyłem jak sen w Komorowie. Idąc samotnie wzdłuż toru myślałem o tym, że Niemcy nas biją, że realizują swój „drang nach Osten”, że my Słowianie nie umiemy się zjednoczyć, że nie umiemy połączyć swych sił dla skutecznego przeciwstawiania się germańskiemu naporowi. Mijałem jakieś stacje kolejowe, jakieś wioski. Ale były one wśród ciągnących się Koluszek do Tomaszowa lasów jak małe polany.

W pewnym miejscu zobaczyłem niedaleko toru coś białego na drzewie. Podeszedłem bliżej, aby się przekonać co to takiego. Na sęczek sosnowy nadziana była fotografia, a na niej młoda kobieta i dwoje dzieci pod tą sosną niewielki kopczyk ziemi usypany naprędce - już obeschnięty - spod którego wзираły czubki żołnierskich butów. Dwie

cienkie gałązki związane na krzyż powrósełkiem z leśnej trawy stały wetknięte u wezglowia.

Zdjąłem fotografię. Przyjrzałem się z bliska matce i drobnym twarzyczkom dzieci. Odwróciłem ją. Myślałem, że może jest coś napisane. Była czysta. Nasadziłem z powrotem na sęczek - tak jak była. I mając świeżo w pamięci masakrę w Ołtarzewie postąpiłem trochę, pomedytowałem i rad nie rad zostawiłem samotną mogiłę. O zmierzchu dotarłem do Tomaszowa. Niedaleko dworca, po lewej stronie toru, było takie osiedle domków jednorodzinnych i tam zanocowałem.

A na drugi dzień z samego rana ruszyłem w kierunku Opoczna. Przeszedłem most na Pilicy i zaraz zaczął się las. Parę kilometrów za stacją Jeleń spotkałem młodego, wystraszonego Żydkę, który szedł wzdłuż toru w kierunku Tomaszowa i pytał mi się „jak daleko jest do Jelenie”? Powiedziałam mu, że niedaleko, że parę kilometrów i zaraz żeśmy się rozeszli.

Około godziny w pół do drugiej byłem na stacji w Opocznie. Budynek dworca wydawał mi się taki jakiś bliski, znajomy choć widziałem go pierwszy raz. Był pomalowany na biało i bielą swych ścian przypominał mi kielecką wieś.

Na peronie, stał pociąg towarowy złożony z różnych wagonów a w nich pełno ludzi. Powiedzieli mi, że idzie do Skarżyska. Wlałem po zderzakach do jednej takiej węglarki i po niedługim czasie nastąpił odjazd. Po drodze - od samego Opoczna - myślałem co robie? Czy jechać do Dębina? Czy wysiąść w Końskich? Minęliśmy Kornicę, już było widać Końskie, a ja wciąż byłem nie zdecydowany. I zaraz pociąg zatrzymał się.

Spojrzałem w kierunku dworca. Stał na tym samym miejscu. I taki sam jak ten, który widziałem przed sześcioma tygodniami, kiedy odjeżdżałem z urlopu. Dla upewnienia się - czyaby mi się nie przewidziało - spojrzałem trochę wyżej, gdzie był umieszczony napis: Stacja Końskie. Mignęła mi na chwilę znajoma twarz dyżurnego ruchu. I w tej samej chwili usłyszałem, że w węglarkach coś się zaczęło dziać. Zrobił się ruch. Jacyś ludzie wysiadali i w pośpiechu - na poprzek przez tory

- kierowali się do drzwi. Chwyciłem się rękami tylnej ściany wagonu opuściłem nogi na zderzaki i zeskoczyłem na ziemię. Idąc w kierunku dworca, zobaczyłem na peronie jakąś kobietę siedzącą na tobołkach z trojgiem dzieci.

Początkowo wzięłem ich za Niemców. Pomyślałem sobie, że już jadą osiedlać się na naszych ziemiach, że jadą kolonizować Polskę. Ale kiedy się przyjrzałem lepiej, przekonałem się, że nie. Ta zapaska w barwne pasy, ręcznie utkana na krosnach, którą była odziana kobieta mówiła mi, że jest nasza, to polska rodzina, tutejsza - konecka. Mój kontakt z dziećmi w czasie całej służby wojskowej był z natury rzeczy ograniczony. Na froncie prócz tej dziewczynki, która o świcie 10 września chodziła po drodze w Ołtarzewie i wołała: „Mamo”?! żadnego dziecka nie widziałem. Aż tu naraz trójka wiejskich dzieci i matka w zapasce. Podeszedłem do niej, przeprosiłem i zapytałem się dokąd ona w takie niespokojne czasy z tymi dziećmi się wybiera. Spojrzała na mnie - trochę jakby nieufnie i nie tracąc rezonu wypaliła:

- A do Niemiec!

A kiedy ja ze zdziwieniem powiedziałem:

- Co? Już biorą?

- Nie! My na ochotnika.

Aż mnie zatkało, kiedy to usłyszałem. Pomyślałem sobie: Jeszcze dymią ruiny zbombardowanej Warszawy, jeszcze żołnierz polski walczy, a wy już „na ochotnika” jedziecie do Niemiec.

W trakcie dalszej rozmowy, chciałem się dowiedzieć, skąd oni są. Ale moja krajanka nie wymieniła nazwy wsi, z której pochodzili. Powiedzieli mi tylko:

- A my tu od Rudy Malinieckiej

I wtedy zauważyłem, że ze stacji wyszedł mężczyzna średniego wzrostu ubrany w kurtkę i kieruje się w naszą stronę. Kiedy zobaczył, że ja tam stoję i rozmawiam - zatrzymał się w połowie drogi, jakby na coś czekając. Zaraz za nim wyszedł żołnierz niemiecki i również kierował się w naszą stronę. Wtedy ten niby na coś czekający cywil, zapytał go się, która jest godzina:

- Wie spat ist es?"

Niemiec przystanął, wyjął z kieszeni zegarek na dewizce - popatrzył i powiedział:

- Es ist richtig drei Uhr.

Spojrzałem w kierunku zegara kolejowego. Była jak raz trzecia godzina.

Trzecia godzina po południu w początkach października, to nie jest znowu tak późno. Ale ja chciałem jeszcze zobaczyć miasto.

Na poczekalni nie było absolutnie nikogo. Bufet był zamknięty. Po drugiej stronie stacji, gdzie zawsze stały konne dorożki też było pusto.

Szedłem ulicą Małachowskiego, później Szymańskiego, a następnie skręciłem w 3-go Maja i zatrzymałem się na Skwerze pod pomnikiem Tadeusza **Kościuszki**. Spojrzałem w kierunku apteki **Osowskich**, na wielkie drzwi Kościoła Parafialnego i dalej na Pocztową, gdzie na chwilę wychylił się z bramy jakiś człowiek i zaraz się schował.

Ze Skweru poszedłem na Pocijów. Sklepy żydowskie były, albo na głucho pozamykane, albo pootwierane do połowy. Wszędzie walały się jakieś tekturowe pudła, jakieś papiery, a człowieka nigdzie ani ujrzeć. Przypomniały mi się dziecinne lata, kiedy byłem tu z Mamą w zimę i widziałem jak Żydzi trzymali na ladach żeliwne garnki z żarzącym się w nich drzewnym węglem i grzali sobie ręce.

Z Pocijowa skręciłem powtórnie w 3-go Maja. Minąłem sklep spożywczy **Kledzika**, Skład Apteczny **Olkuskich**, Aptekę **Tuksiewicza**, Halę Targową, a dalej kawałek Kazanowską do Berka **Joselewicza**, którą powszechnie nazywano ulicą Żydowską.

Podpułkownik Berek **Joselewicz** - myślał „Zginął jak Berek pod Kockiem”, gdzie ja to słyszałem?. I znowu przeniosłem się myślami do Dębina i do Kocka. Kock leżał jakieś 40 kilometrów na północny wschód od Dębina. Tam nasz pułk chodził na zimowe ćwiczenia. Berek **Joselewicz** tam zginął w obronie wolności i niepodległości Polski. A tu w Końskich, w nazwie tej ulicy miał swój pomnik. Tak rozmyślając doszedłem do Kopcowej. I znowu zrodziła się inna refleksja. Przypomniała mi się rozmowa z kobietami z Piekła. Opowiadały mi, że tu

na rogu Kopcowej najczęściej stoją narodowcy i pilnują, kto z Polaków kupuje u Żydów. Że jednej kobiecie, która sprzedawała jagody i kupiła dla dzieci trochę cukru i mąki chcieli w to wszystko nalać nafty.

Myślałem wtedy, że musi być coś szatańskiego w tej doktrynie narodowego socjalizmu, bo przecież oni mówią, że wierzą w Boga, że wierzą w **Chrystusa**, a **Chrystus** był Żydem i kazał „miłować nawet nieprzyjaciół”, a oni chcą wszystkich Żydów wymordować.

Dalej była masarnia **Muszyńskiego**. Tu przychodziłem z Mamą na gorący barszcz z kiełbasą i chlebem. Czysto tu było i przytulnie. A pachniało tym barszczem i tą kiełbasą tak, że można się było samym zapachem zasycić. Kiedy przychodziło popołudnie i zegar na kościele bił 12-tą, **Muszyński** odwracał się twarzą w jego stronę, klękał i po cichu odmawiał modlitwę. Po chwili wstawał i znowu zmieniał się w uprzejmego pana obsługującego swoich klientów. Dziś już nie było pana **Muszyńskiego**. Nie było tamtych zapachów.

Sklep był zamknięty. I tylko wymalowana na szyldzie szynka i kiełbasa wyglądały tak samo apetycznie jak wtedy.

Wracając w kierunku kościoła, minąłem po drodze restaurację **Jakubowskich** i znalazłem się na rogu Pocztowej. Jeszcze raz spojrzałem na Skwer. Naczelnik stał na swoim miejscu. Wyniosły, dumny z twarzą zwróconą na zachód, jak gdyby rzucał wyzwanie tej teutońskiej bandzie, która zalała nasz kraj.

Zegar na Kościele wybił godzinę siedemnastą. Zbliżał się wieczór. A mnie czekało jeszcze parę kilometrów drogi. W mieście nie miałem nikogo, więc trzeba było uciekać.

Słońce zachodziło, jak byłem koło ogrodu **Tarnowskich**. Wysokie, zakrzywione u góry betonowe słupski, rznięte grube sztachety, ciągnące się szpalerem wzdłuż parkanu świerków stały tak samo jak w sierpniu, kiedy szedłem tą drogą odjeżdżając z urlopu. Potem była Sokolnica i Kapłowa Sadzawka, mały domek **Zwolińskiej** pod Księżą Chojną, Stadnicka Wola, kilka chałup pod lasem a dalej las. Szedłem i myślałem: jak mnie tam przyjmą w domu? Jak ja się tam znowu znajdę po 13 latach? Wracałem goły jak pale. Tyle miałem, co na sobie.

W DOMU

Było już zupełnie ciemno, kiedy zapukałem do drzwi. Nikt mnie się w domu nie spodziewał. Byłem pierwszym z trzech braci wracających z wojny. Chyba jakieś dwa dni po mnie przyszedł młodszy o 3 lata brat **Władek**, a najmłodszego **Józka** odbywającego służbę czynną w Świeciu nad Wisłą wciąż nie było.

I tak przesiedziałem kilka dni, coś tam trochę pomagałem bratu **Marcinowi** w gospodarstwie: sieczki urzązać, drzewa urąbać i cały czas myślałem o Dęblinie.

Kiedy dziś po 47 latach sięgam pamięcią do tamtych trudnych dni, to wydaje mi się, że moja jaźń była wtedy podzielona na dwie różne połowy. Jedna połowa to była ta, która przyjmowała do wiadomości, że stała się rzecz straszna. Że straciliśmy niepodległość, że nie mamy już własnego państwa, że nie ma naszej armii i mojego 15. pp „Wilków”, że nic już z tego co pozostawiłem w Dęblinie nie odnajdę, że wszystko stracone, że przepadło.

I druga połowa, według której wydawało mi się, że to nieprawda, że to był tylko sen, że istnieje nadal niepodległa Polska, że jest nasza armia i mój 15. pp „Wilków”, że oni się tam bronią w niezdobytej dotąd Twierdzy, że tam za Wisłą - jest wolność.

W niedzielę 8 października wzięłem swój ausweis i wybrałem się w drogę. W Końskich wsiadłem do pociągu, który szedł do Skarżyska. Dzień był ładny, pogodny - węglarki nie były wysokie. Stojąc przyglądałem się wszystkiemu, co było blisko toru. Czytałem znane mi nazwy stacji kolejowych: Najpierw była Wąsosz, kawałek za Janowem Czarniecką Górą, trochę dalej Niekłan, a za Niekłaniem Sołtyków i na ostatku Bliżyn. Miałem świeżo w pamięci ich wygląd. Tak niedawno przecież widziałem je. Pięknie tu wtedy kwitły i pachniały wrzosey. I pomimo tej czarnej - z zachodu nadciągającej chmury tchnęły nadzieją i wiarą w zwycięstwo naszej słusznej sprawy.

W wagonie, do którego wsiadłem i w ogóle w całym tym pociągu, jechali prawie sami młodzi mężczyźni. Ich wygląd i zachowanie mówiły mi, że są to tacy jak ja „uciekiniery”, którzy wyrwali się z rąk

niemieckich i teraz każdy, jak umie wraca w rodzinne strony. Przez cały czas tej podróży, nic ześmy do siebie nie mówili - panowała zmo-wa milczenia. A wydaje mi się, że działo się to na zasadzie, że wszyscy wiedzieliśmy to samo, że wszyscy byliśmy świadkami tej naszej sromotnej klęski.

W południe przyjechaliśmy do Skarżyska i zaraz dowiedzieliśmy się, że do Radomia na razie nie będzie żadnego pociągu, że coś pojedzie, ale dopiero przed wieczorem.

Stację i dworzec w Skarżysku znałem. Czasu miałem dużo, bo do wieczora było jeszcze daleko. Chodziłem, przyglądałem się i wspomi-nałem to, co mnie kiedyś ze Skarżyskiem łączyło. A łączyło mnie przede wszystkim to, że wtedy prowadziła droga z Dębłina do Końskich, że wtedy jeździłem na urlop do domu i wtedy powracałem z urlopu do Twierdzy.

Podziwiałem wtedy ruch pociągów i rytm w jakim się ten ruch odbywał. Tych pośpiesznych z napisami „Kaszub” i „Krakus”, które le-ciały z północy na południe i z południa na północ i tych zwykłych osobowych i towarowych.

Dziś było tu głucho. Tory i perony były puste. I prócz budynku dworca nie było tu nic z tamtego Skarżyska.

Przypomniało mi się lato 1936 roku. Byłem tu wtedy na dwutygo-dniowym kursie kolejowym. Mieszkalem w hotelu dla drużyn konduk-torskich. Obiady jadłem w restauracji, a śniadania i kolacje robiłem sobie sam. Prowianty kupowałem w sklepie Spółdzielni Spożywców „Społem” niedaleko dworca.

Pracowały tam same młode dziewczyny. Ich stosunek do klienta, ich zachowanie i cały sposób bycia kreowały je w moim pojęciu do tytułu pionierek ruchu spółdzielczego. To one były impulsem zapładniającym moją wyobraźnię myślą o napisaniu wiersza poświęconego pionierkom ruchu spółdzielczego na Kielecczyźnie: *Córom Kieleckiej Ziemi*.

Teraz myślałem o nich i o tym wierszu. Bo jakoś tak się złożyło, że odjechałem i nawet im go nie przeczytałem.

Pociąg, którym odjechaliśmy ze Skarżyska, stał na torach, daleko od stacji w kierunku Szydłowca. Poszliśmy tam całą gromadą. I szarówką

byliśmy już w Radomiu. Zaraz na dworcu obskoczyli nas jacyś cywile z karabinami, z opaskami na rękawach z hakenkreuzem. Mówili dobrze po polsku i znali dobrze Radom. Kazali nam się ustawić w czwórki i popędzili nas do miasta. A następnie zamknęli nas w kinie na całą noc.

Jak żeśmy się zatrzymali przed tym kinem, to mnie zaraz zaczęło się wydawać, jakbym ten budynek już kiedyś widział, jakbym tu już kiedyś był. Spojrzałem do góry. Szklane litery, specjalnie stylizowane z bliska można było przeczytać. Poznałem ich charakterystyczny układ - Kino Czary. To samo, w którym w zimie 1929 roku odbywał się konkurs orkiestr 28. Dywizji Piechoty. A dalej już w środku kontynuowałem rozpoczętą za drzwiami refleksję. Kwaterowaliśmy w koszarach 72. pułku piechoty. Miałem wtedy 19 lat.

Na sali było ciemno. Macając rzędy krzeseł wznoszących się amfiteatralnie ku górze szedłem i zaszedłem do łoży. Połączyłem ze sobą 2 czy 3 miękkie fotele położyłem się na nich i zasnąłem.

Na drugi dzień zaraz z rana, ci sami uzbrojeni cywile otworzyli drzwi, powiedzieli nam, że pociągi w kierunku Dębłina nie chodzą i kazali nam się rozejść.

Wiara się rozsypała po mieście, a ja odszedłem kawałek, stanąłem i myślałem, jak ja mam iść do tego Dębłina? Czy wzdłuż toru kolejowego przez Jedlinę, Pionki, Garbatkę, Bąkowiec, Zajezerze, czy szosą przez Kozienice, Sieciechów, Opactwo, Zajezerze. Tak czy inaczej to był kawałek drogi. Zdawałem sobie sprawę, że w ciągu jednego październikowego dnia to się nie da przejść.

Przypomniiał mi się rok 1932. Szliśmy wtedy na manewry piechotą z Dębłina pod Rawę Mazowiecką. Przez Radom, Przytyk, Nowe Miasto nad Pilicą.

O czwartej rano wyruszyliśmy z Twierdzy. Zmęczeni z poobcieranymi nogami ledwośmy przed zachodem słońca dotarli do przedmieść Radomia. Podpułkownik **Chojnowski** jeździł swoim łązikiem i zbierał po drodze tych - co ustali.

Zdecydowałem się pójść przez Kozienice. W Kozienicach mieszkała rodzina pani **Szczypiorowej**. Zanocuję u nich myślałem, a jutro będę

ciągnął dalej. Zaraz za Radomiem zaczął się las - Puszcza Kozienicka. Po obu stronach drogi rosły wspaniałe wysokie sosny. Gładkie, wysmukłe, prościutkie jedna w drugą, jak ulane. I cisza była wokoło. I znowu przypomniły mi się lata dziecinne.

Duraczowski Las - gdzie gajowym był **Urban**. I ten między Adamkiem i Kamienną Wolą ciągnący się gdzieś tam aż pod Baran i Trawniki. I ten przy Małachowskiej Drodze pod Poborzą i Cisownikiem. I tam rosły takie wspaniałe, potężne sosny. Będą Niemcy rąbać, będą ciąć, będą niszczyć - myślałem, bo to przecież nie ich.

Nie wiem, jak daleko uszedłem od Radomia, kiedy zobaczyłem na drodze dużo ludzi. Wszyscy byli jednakowo ubrani. Coś jakby robili, jakby się chwalili. Ale z daleka trudno było się zorientować, co tam się dzieje. Jak podszedłem blisko okazało się że to wojsko. Mieli takie same mundury, jak ci dwaj, którzy legitymowali mnie na torze między Koluszkami i Tomaszowem. „Wasze papiry”? przypomniało mi się. Reperowali zoraną czołgami drogę, a ja szedłem. Spoglądali na mnie, poruszali wargami, coś tam mamrotali pod nosem i w niektórych oczach widziałem wtedy zgoła nieprzyjemne błyski. Zdawało mi się, że lada moment zaczną krzyczeć: „Chciało wam się spółki z Niemcami?! Chciało wam się Zaolzia?! Macie Zaolzie!” Ale jakoś szczęśliwie ich minąłem i nic mi nie mówili.

Kiedy byłem blisko Kozienic znowu odezwały się wspomnienia. Bo przecież ja te Kozienice znałem. Bo tu był obóz ćwiczeń dla drużyn strzeleckich i przysposobienia wojskowego z terenu warszawskiego dowództwa okręgu korpusu. Tu w czasie wakacji letnich odbywali swoje ćwiczenia. I zawsze nasza orkiestra przyjeżdżała na otwarcie i zakończenie obozu. Chłopcy popisywali się gimnastyką, śpiewem, skeczami, monologami. Był tu też gdzieś wielki piasek, teren ćwiczeń bojowych, który nazwali „Saharą”. I jeden z nich śpiewał ułożoną przez siebie piosenkę o tej „Saharze”, której fragment pamiętam do tej pory:

*Sahary wielkie ciało,
tuż u stóp mych leżało.*

Drugi znów o „Słonecznych Kozienicach gdzie kozy na ulicach pasą się - czasem po dwie”.

Robiło się ciemno, jak byłem na głównej ulicy. I wtedy zobaczyłem, że od strony Dęblina Niemcy wiozą na samochodach ciężarowych nasze wojsko i nasze konie. Jeden z przechodniów powiedział mi, że to żołnierze z Samodzielnej Grupy Operacyjnej Polesie, generała Franciszka **Kleberga**, która parę dni temu skapitulowała pod Kockiem.

Do rodziny pani **Szczypiorowej** mieszkającej na wschodnich przedmieściach było chyba z półtora kilometra i jak zaszedłem, był już wieczór. Takich nieproszonych gości wędrowały wtedy po Polsce tysiące. I ludzie się już przyzwyczaili do tego, że zawsze na nokość może przyjść.

Okazało się też, że w międzyczasie przyjechała na rowerze z Komorowa **Lodzia**. Opowiedziała mi o swoich perypetiach, jakie miała w podróży. Coś jej się zepsuło przy rowerze i nie mogła sobie sama z tym poradzić. Że Niemcy okazali się dżentelmenami.

Przyszli z kluczami i rower jej naprawili, i że jakoś szczęśliwie dojechała do domu.

Opowiedziała mi też o tym, jaką przygodę miała jej koleżanka:

- Kiedy Niemcy weszli do Kozienic, to ona się jednemu spodobała, a on chcąc zwrócić na siebie uwagę - uszczypnął ją w pośladek. Wtedy ona zapytała go się czy to jest niemiecka kultura? *Das ist deutsche kultur?* I powiedziała mu że on jest niemiecki pies. *Du bist ein deutsche hund*. Niemiec zdębiał. Rozczarował się i poszedł jak zmyty.

Na drugi dzień we wtorek 10 października wyszedłem po śniadaniu z Kozienic i przed wieczorem byłem na skrzyżowaniu dróg: Zajezerze-Most Kolejowy na Wiśle, Głuszcze-Borki. Tam gdzie stał drogowskaz z napisem - Kozienice 27 km.

Od tego skrzyżowania do Twierdzy było około kilometra, a z twierdzy do miasta 2 kilometry. Ale ja nie wiedziałem o sytuacji na moście. Przypuszczałem, że stoją tam niemieckie posterunki i nie chciałem na noc pchać się na ten most.

Na odległych o półtora kilometra Borkach miał narzeczoną **Stasiu**. Nie znałem tej narzeczonej i nie znałem rodziców. Wybór był trudny, ale zawsze był to kolega.

Idąc na Borki, przeszedłem przez wał przeciwpowodziowy, żeby trochę popatrzeć na Wisłę. Płynęła cicho. Niedaleko od brzegu rozciągała się obrosnięta wikliną - znajoma dzika plaża. Po drugiej stronie u ujścia Wieprza, tonął ukryty wśród drzew Port Arciszewskiego. Na północnym wschodzie, za mostem, przez który prowadziła jedyna droga na prawy brzeg widać było wały Twierdzy. A na południu - hen - po Puławską Górę, rozciągała się złocista panorama wierzb i topoli. Postąłem trochę - popatrzyłem, ale zaraz słońce zgasło i zaczęła robić się noc. No i trzeba było z Wisłą się rozstać.

Kawałek szedłem wałem, a dalej dołem po bruku i zaraz była wieś. Jakiś człowiek, któremu powiedziałem o kogo mi chodzi podprowadził mnie pod same drzwi.

Zapukałem.

Zaraz usłyszałem znajomy głos:

- Proszę.

Otworzyłem drzwi i zobaczyłem stojącego po środku izby **Stasia** - zwróconego twarzą w moim kierunku. W mieszkaniu świeciła się lampka naftowa, ale pomimo to panował lekki półmrok. **Stasiu** znieruchomiał. Nastąpiła chwila konsternacji, a kiedy to minęło zaczęliśmy się całować. Potem była kolacja, nocleg i śniadanie. Na drugi dzień przed moim odejściem, **Stasiu** zaczął mi zagajać, gdzie i jak on to później jeszcze nie walczył. I pod Garwolinem, i gdzieś tam jeszcze. A o Ołtarzewie zapomniał - zapomniał, że „mieliśmy się trzymać razem”.

Na pojęcie Dębina w przedwojennym znaczeniu tego słowa składały się: Dęblin Twierdza, Dęblin Stacja Kolejowa, Dęblin Lotnisko i niewielkie miasteczko Irena. W tej właśnie Irenie, w każdą środę odbywał się targ. Tak się złożyło i chyba szczęśliwie, że 11 października 1939 roku to była środa. Idąc z Borków w kierunku mostu na Wisłę, myślałem, że może jacyś ludzie będą szli na targ to i ja z nimi przeprawię się na drugą stronę. I tak było. Chyba z 15 kobiet stało przy budce i czekało na przejście. Dołączyłem do nich i zaraz Niemiec nas przepuścił.

Po przejściu mostu odłączyłem się od kobiet i skręciłem w stronę Twierdzy. Koło kina, naprzeciw pomnika piętnastaków, spotkałem emerytowanego sierżanta z orkiestry Erwina **Kotula**, który bardzo

lubił rozmawiać o muzyce i miał takie swoje własne powiedzonko: „so-profundo”. **Kotula** był ślązakiem i perfektnie mówił po niemiecku. I jeśli się nie mylę był podoficerem z austriackiej armii. Zamiatął ulicę. Jak mnie zobaczył, przyłożył palce do ust żebym był cicho i powiedział:

- Panie **Bednarski?! Co pan tu robi?! Niech pan stąd natychmiast ucieka!**

Stuknąłem **Kotuli** obcasami. Podaliśmy sobie ręce. Krótkie wymowne spojrzenie - jak w takich razach i to wszystko.

Szedłem ścieżką wzdłuż drogi koło ogrodów. Po lewej stronie zostało kasyno oficerskie i poczta. A dalej był park. Ten sam gdzie przed sześcioma tygodniami było nas tu tak dużo. Tyle wojska, tyle koni i tyle nadziei. Teraz nie było nikogo.

Kiedy minąłem przejazd kolejowy i byłem koło gimnazjum przypomniałem sobie, że tu gdzieś mieszka plutonowy **Żochowski**.

Wstąpiłem żeby porozmawiać, żeby się czegoś dowiedzieć. Pani **Żochowska** powiedziała mi, że „my tu już żeśmy wszyscy pana opłakali, że pan zginął i że msza się już odbyła.” I zaraz poczęstowała mnie herbatą.

Myślałem wtedy, kto mógł przynieść do Dębłina wiadomość o mojej śmierci? I zdawało mi się, że mógł to zrobić albo **Stasiu**, albo sierżant **Bal** - bo tylko oni mogli być gdzieś blisko, mogli widzieć i słyszeć co w nocy z 9 na 10 września działo się w Ołtarzewie.

Po wyjściu od **Żochowskich**, jakieś 150 metrów w kierunku środka, spotkałem kaprala **Wróbla** - wolonczelistę z orkiestry. Jechał na jakimś zdobycznym motocyklu. I dalej szedłem ulicą Warszawską aż do rynku. Sklepy były pozamykane, a ludzi było mało. Co kilkanaście kroków stał Niemiec z bagnetem na karabinie. Spojrzałem w kierunku poczty i lotniska, w kierunku Ryk i Mierzwiączki i tam stali Niemcy z bagnetami na karabinach. Teraz już wiedziałem, jak jest w Dęblinie. Trochę powiedział mi swym wymownym gestem **Kotula** - resztę zobaczyłem sam. Nie mając tu nikogobliskiego, żadnego stałego punktu oparcia - rozumiałem, że muszę wracać w rodzinne strony - do Końskich na Piekło.

Idąc z powrotem w kierunku Twierdzy, myślałem o Niemcach, o tym, że oni dobrze wiedzą, że Dęblin był jednym z większych naszych

garnizonów i stąd ta ich ostrożność. I wtedy zupełnie niespodziewanie przed samym przejazdem „wlałem” na **Połomskiego**. Zmieszał się, bo on chyba też już wiedział, że ja „zginałem”.

Chytrze zaczął mi opowiadać o swojej odysei, że „on też o mało nie zginął - tu w Dęblinie. Co miałem rozumieć, że my tam nad Widawką i w ogóle na froncie mieliśmy lepiej niż oni ten, tak zwany drugi rzut, który pozostał w Twierdzy. A dalej znowu o tym jak on to uciekał przed Niemcami i zapędził się aż pod Kowel, a tam panie Ukraińcy i tam też można było zginąć”. A o tym, co się stało z moim kożuskiem, który zostawiłem w bibliotece pułkowej, oddając mu klucze od tej biblioteki - ani słowa. I o moim mieszkaniu, w którym zostało wszystko co miałem i on wiedział, że nie miałem czasu, żeby to gdzieś ulokować też ani słowa.

W dalszej drodze ku Wiśle myślałem, że podstawą wartości moralnych człowieka jest jego charakter. I o tym mądrym przysłowiu, które powiadam, że „przyjaciół poznajemy w nieszczęściu, a ludzi poznajemy w wojnie”.

Konfrontując te mądrości z moim spostrzeżeniami i doświadczeniami z ostatnich kilku tygodni wydawało mi się, że wojna jest takim procesem, w którym ujawniają się ludzkie charaktery.

Że jest ona niejako papierkiem lakmusowym, dzięki któremu można zobaczyć to, czego w normalnym pokojowym czasie zobaczyć nie można.

Można w niej poznać i przyjaciół i tych, co swoje życie gotowi są poświęcić za ojczyznę, i tchórzów, i dezterterów, i zdrajców, i karierowiczów, i zwyczajnych pospolitych złodziei.

Około godziny trzeciej po południu byłem znowu przy moście. I znowu jak rano zebrała się gromada ludzi, z którymi przeszedłem na drugi brzeg. Teraz postanowiłem trzymać się toru. Minałem Stację Zajezerze. Spojrzałem w dół na prawo, w kierunku koszar 28. Pal-u. Nikogo tam nie było widać. Na placach przed koszarami stały puste koniowiazy, przy których nie tak jeszcze dawno były związane kasztanki, bułanki, gniadosze i siwki.

Dalej tor biegł przez bagniste łąki poprzetykane gdzieniegdzie niewielkimi jeziorami, nad którymi były poprzierzucane mostki.

Przechodząc przez nie, myślałem o tym strażniku kolejowym, który gdzieś tam we wrześniu stał na posterunku przy takim moście, i jednym strzałem z karabinu zważył na ziemię niemiecki bombowiec. I tak bawiąc się własnymi myślami, doszedłem do Bąkowca.

Stacja Bąkowiec - taki jakiś drewniany baraczek - stała samotnie, jak strażnica na granicy. Zostawiłem ją. Skręciłem w lewo, gdzie pod lasem było kilka chałup i tam zanocowałem.

Z Bąkowca do Garbatki szedłem piechotą, a z Garbatki do Radomia i z Radomia do Skarżyska jechałem pociągiem. Ze Skarżyska do Bliżyna znowu piechotą i w Bliżynie zanocowałem - w takim niskim parterowym domu po prawej stronie toru.

Na drugi dzień rano około godziny 9. wsiadłem do pociągu, który szedł w kierunku Końskich i w południe byłem już w domu.

I to był 13 października 1939 roku

W czasie tej mojej kilkudniowej nieobecności, wrócił najmłodszy brat, który ze Świecia zaszedł aż pod granicę rumuńską. W domu było trochę ciasno, ale jakoś ześmy się zgadzali. Było już po wykopkach i nie było specjalnie co robić. Chodziłem na grzyby, na spacer.

Odkryłem na nowo stare, kiedyś dobrze znajome mi ścieżki. A sołtys z Piekła - mówił do ludzi, że „chodzę po lesie jak bandyta, że powinienem jechać do Niemiec”. W lesie - w samotności rozpamiętywałem nasze dzieje. Wskrzeszałem wizję narodowych powstań.

Walke dziadów i pradziadów. I myślałem: Czy my ich wnukowie i prawnukowie mielibyśmy być gorsi? Wiedziałem - czułem to całą swą duszę, że coś z tych lasów wyjdzie, że się coś zacznie, że już niedługo, a wtedy może i ja się na coś przydam.

PODPORUCZNIK „DRZAZGA”

Kontakt z patrolem „Hubalczyków” nawiązałem na Piekle w niedzielę 29 października 1939 roku, a na drugi dzień w poniedziałek 30 października w mieszkaniu wdowy Tekli **Opaliny** w Dziadku (obecnie Modrzewna) rozmawiałem z majorem „**Hubalem**” i od niego otrzymałem



*Major Henryk Dobrzański Hubal
(1897-1940).*

hasło do Radoszyc - do krawca Wacława **Wilczyńskiego**: „Chcę sobie uszyć narciarkę z własnego materiału, ale nie mam podszewki”.

Potem odbyłem dwukrotny marsz do **Wilczyńskiego** i kiedy wracałem z drugiego spotkania, i byłem na moście w Sielpi, wtedy Niemcy w Cisowniku dopadli „**Hubala**”. Robiło się ciemno. Było to 5 listopada w niedzielę 1939 roku.

Pierwszą rozmowę ze **Stoińskim** miałem 6 listopada w mieszkaniu sędziego **Zarębskiego** w Końskich przy ulicy Zamkowej 18. Podczas drugiego spotkania również u **Za-**

rębskich, na początku drugiej dekady listopada złożyłem przysięgę. Przysięga była bez krzyża. Rotę przysięgi otrzymałem. Pisana była na maszynie, na takiej cienkiej bibułce. Przyjąłem pseudonim „**Drzazga**”, a dla Drużyny Kadrowej kryptonim „**Jadzia**”, którą zorganizowałem w rejonie wsi Dziadek - Kamienna Wola. Drużyną tą dowodziłem do końca czerwca 1941 roku, a z dniem 1 lipca rozpocząłem pracę jako zwrotniczy na Wąsoszy i przyjąłem obowiązki zastępcy szefa dywersji kolejowej, które wykonywałem do początków stycznia 1944 roku - to jest do chwili aresztowania Bronka **Wieczorkiewicza** „**Wilka**”. Jako „spalony” do marca 1944 roku ukrywałem się u szwagra Józefa **Malinowskiego** w Dziadku, byłego Żołnierza Drużyny Kadrowej „**Jadzia**”.

Komenda Obwodu przestała się mną interesować. Nie otrzymałem żadnego wsparcia, choć podobno takie było dla „spalonych”.

W marcu [1944] przypomnieli sobie o mnie. Potrzebny im był szef wyszkolenia w Podobwodzie „**Bug**” (gminy: Końskie, Duraczów i Gowarczów). Wiadomość na Dziadek przyniósł mi „**Wojnicz**”

Władek **Panek**. Powiedział mi, że „Mam się zameldować u Bronka **Ejgierda** „Molendy” w takim małym młynie, jak się idzie na Borowiec”

Gdzie Dziadek?, a gdzie Gowarczów? Gdzie Borowiec? Bez krótkiej broni, bez lewych dokumentów. Ale rozkaz jest rozkazem. Poszedłem. **Bronka** „Molendę” znałem jeszcze z czasów „Hubalowskiej Konspiracji”, ale nigdy ześmy z sobą na ten temat nie rozmawiali. Powiedział mi, że potrzebuje szefa wykszolenia, że chodzi o trzy gminy.

Dał mi kontakty do dowódców drużyn. Ale o „lewych” dokumentach, o krótkiej broni dla mnie, o jakimś materialnym wsparciu ani nie wspomniał.

Chodziłem i szkoliłem. Poruszałem się tylko nocą. Z Dziebałtowa na Kozią Wolę i na Smarków, ze Smarkowa do Szczerbackiej Kolonii, ze Szczerbackiej Kolonii na Baczynę, Drutarnię i do Nieświnia, z Nieświnia do Kamaszyc, z Kamaszyc do Gowarczowa, z Gowarczowa do Bębnowa, z Bębnowa na Barycz i Kornicę, z Kornicy do Proćwinia, z Proćwinia do Modliszewic a z Modliszewic znowu do Dziebałtowa. I tak było do 11 sierpnia 1944 roku.

Wieczorem 11 sierpnia wpadłem do domu, żeby zmienić bieliznę, żeby się z wszy otrząsnąć. Żona pokazała mi kartkę. Pisało na niej, że 11 sierpnia o godzinie 23.00 mam się stawić na koncentrację w Długiej